

MEG ALEXANDER

DZIECKO MIŁOŚCI

ROZDZIAŁ PIERWSZY

1789 rok.

Było to od niepamiętnych czasów najgorsze lato i nawet teraz, pod koniec września, bez przerwy padał deszcz. A oni, krok za krokiem, szli podmokłą drogą i, zaiste, tworzyli wielce żalną parę.

Prudence spojrzała na swego towarzysza. Trudno było ocenić, które z nich wyglądało gorzej: ona w wystrzępionym surducie i spodniach poprzedniego dnia zdjętych ze stracha na wróble czy Dan w starym i zbyt kusym ubraniu, z kosmykami lepiącymi się do czoła.

Zdjęła z głowy starą czapkę z kreciego futerka i podała chłopcu, ale on odmówił jej przyjęcia:

- Lepiej włóż ją z powrotem - powiedział stanowczo - bo bez niej rzeczywiście wyglądasz jak prawdziwy strach na wróble.

- Wiem! Jak jednak miałam udawać chłopaka, gdy loki opadały mi na ramiona?

- Dobrze, że reszta twojego stroju nie cuchnie koniem.

- Dan skrzywił się wymownie. - To straszdyło pewnie wypchano słomą ze stajni.

- Idź drugą stroną drogi, jeśli tak ci przeszkadza ten smród. - Prudence powiedziała to znacznie ostrzejszym tonem, niż zamierzała, i twarz chłopca natychmiast posmutniała. Dodała więc szybko: - Nie gniewaj się. Jestem zmęczona i bolą mnie nogi. Nie chciałam być niemiła.

- Może byśmy trochę odpoczęli? - zaproponował Dan. - Tam, pod tym dużym drzewem, jest sucho i płynie jakiś strumień. Mogłabyś wymoczyć nogi.

- Bo ja wiem ... - zawahała się Prudence i rozejrzała wokół. - Jeśli zdejmę buty, to pewnie już ich z powrotem nie włożę. - Mówiąc to, krzywiła się z bólu, gdyż każdy krok powiększał jej cierpienie. Już od dłuższego czasu wyraźnie kulą.

Doszedłszy do zacisznego miejsca pod drzewem, z ogromną ulgą usiedli na miękkiej podściółce z liści. Szemrzący w pobliżu strumień wyglądał tak zachęcająco i kusząco, że Prudence nie była w stanie mu się oprzeć. Ściągnęła więc buty, odrzuciła je na bok i z przerażeniem spojrzała na swoje pięty. Obtarte przez namokłą skórę butów do żywego mięsa, wyglądały jak krwawa miazga.

Dziewczynie od niezmiernego bólu łzy napłynęły do oczu, lecz powstrzymawszy je siłą, zanurzyła stopy w lodowatej wodzie. Poczła się znacznie lepiej, po chwili jednak ponownie ogarnęły ją czarne myśli. Czy uda im się uciec?

Trzy dni wędrówki na południe okazały się bardzo wyczerpujące. Kilka kromek chleba, które zaoszczędzili ze skromnych kolacji w tkalni, dawno już zjedli. Od tamtej pory jedynym ich posiłkiem był chleb i zimny tłusty bekon, którym poczęstował ich poprzedniego dnia pewien gospodarz.

Prudence wstrząsnęła się na wspomnienie tego człowieka, który od razu ofiarował im schronienie w stodole, co ona wzięła za objaw litości dla dwojga zmarzniętych i wygłodzonych stworzeń.

Wkrótce jednak zaczął ich wypytywać, mierząc taksującym wzrokiem stojącą przed nim zgrabną dziewczynę, ubraną w prosty bawełniany fartuch i brązowy płaszcz. Spod białego czepka, zawiązanego pod brodą tasiemkami, wymykały się rude gęste włosy, opadające kaskadą na plecy i sięgające niemal pasa.

Szczególną uwagę gospodarza przykuły jej jasnopiwnie oczy ocienione długimi czarnymi rzęsami, w których jaśniała wdzięczność, gdy dziękowała mu za jego uprzejmość.

Wówczas niespodzianie objął ją w talii i przeraził dziwnym, pożądlivym wzrokiem.

- Wezmę całusa jako zapłatę. - Zbliżył czerwoną, ordynarną twarz i zionął na nią smrodliwym oddechem.

- Proszę mnie nie dotykać! - krzyknęła przerażona Prudence, która trzymała w ręku kuchenny nóż. - Użyję go, jeśli pan mnie nie puści!

- Nie zdążysz, mała złośnico! - Sięgnął ręką, żeby wyrwać jej nóż, a wtedy wysliznęła się z jego uścisku i rzuciła do ucieczki.

- Uciekaj! - krzyknęła do Dana i chłopiec pobiegł za nią.

Byli znacznie szybsi od swego prześladowcy, który niebawem zaniechał pościgu, lecz Prudence długo jeszcze nie mogła ochłonąć.

To doświadczenie wzburzyło ją do głębi. Wiedziała, że podczas ich wyprawy dręczeni będą głodem, pragnieniem i zmęczeniem, - nie przewidziała jednak, że sama jej płeć może stać się dla niej zagrożeniem.

I nagle dostrzegła stojącego na polu stracha na wróble. Natychmiast zrzuciła z siebie ubranie oraz poplamiony czepk i przebrała się za żywopłotem, wywołując tym wielkie zdziwienie Dana.

- Po co to robisz? - zapytał.

- Dla zmylenia śladów. Będą szukali chłopca i dziewczyny, a nie dwóch chłopców.

Na szczęście zadowolił się tym wyjaśnieniem, trudno byłoby jej bowiem wytłumaczyć dwunastolatkowi, na czym polega czyhające na nią niebezpieczeństwo.

- A teraz zetnij mi włosy - powiedziała Prudence, podając mu nóż.

- Nie, Prudy, nie mogę!

- Musisz. Wtedy nie będzie ich widać pod kaszkietem. Wreszcie ustąpił i zabrał się do obcinania jej ciężkich loków, które opadły w nieładzie u stóp dziewczyny, a na koniec roześmiał się.

- Czemu się ze mnie wyśmiewasz? - powiedziała z żalem. - Sama wiem, że wyglądam okropnie.

- Jeszcze gorzej! Końce włosów sterczą ci na głowie we wszystkie strony.

- Całe szczęście, że nie mam lustra. - Prudence złapała starą czapkę, wcisnęła ją na głowę i spojrzała groźnie na Dana.

Chłopiec od razu umilkł, a ona szybko odzyskała dobry humor. Strojąc miny, zaczęła naśladować złośliwych opiekunów z Domu Sierot. Robiła to tak doskonale, że Dan śmiał się na cały głos.

Tę noc spędzili w opuszczonej oborze z wałącym się dachem, dla rozgrzania przytuleni do siebie. Popędzani dokuczliwym głodem, wczesnym świtem ruszyli w dalszą drogę.

Ujrawszy starszą kobietę, która rozwieszała pranie pod prowizoryczną przybudówką, Prudence poprosiła ją o chleb, ale wieśniaczka poszczuła ich psami.

To samo powtórzyło się przy następnych dwóch gospodarstwach, co doprowadzało Prudence do rozpacz. Powinna była wyruszyć sama. To nie było w porządku, że także Dana narażała na głód, a nawet pobicie.

Chłopiec wyczuł jej nastrój i uśmiechnął się do niej wesoło.

- Nie martw się, Prudy! - zawołał. - Popatrz na mnie!

I nim zdążyła zaprotestować, wybiegł na środek drogi i zaczął robić gwiazdy.

- Chyba zostanę akrobatą! - krzyknął.

Żadne z nich nie usłyszało nadjeżdżającego powozu. Nagle na zakręcie pojawił się pędzący zaprzęg konny.

Prudence chciała ostrzec Dana, lecz głos zamarł jej w gardle. Z przerażeniem ujrzała, jak chłopiec stanął bez ruchu, zbyt wystraszony, by uskoczyć w bok.

Woźnica skręcił gwałtownie, ale było już za późno. Rozległo się głuche uderzenie. Mała figurka Dana jakby w zwolnionym tempie uniosła się do góry, a potem opadła na pobocze drogi.

Prudence, zapominając o obolałych stopach, rzuciła się ku chłopcu i uklękła na mokrej trawie. Dan leżał przeraźliwie nieruchomy i nie dawał znaku życia.

W ciszy, która nastąpiła, słychać było tylko tupot kopyt rasowych koni z zaprzęgu. Potem do uszu Prudence doszedł odgłos czyichś kroków.

Poprzez zasłonę łez cisnących się do jej oczu dostrzegła zbliżającego się w ich kierunku mężczyznę.

- Morderca! - krzyknęła. Zerwała się na równe nogi i ogarnięta nieopanowaną wściekłością rzuciła się na niego z pięściami. - Zabił pan Dana!

Nieznajomy odsunął ją bez słowa na bok, po czym, nie zważając na swoje nieskalane spodnie z koźlej skóry, uklękł na błotnistej drodze i odwrócił Dana. Delikatnie zaczął badać, czy chłopiec nie odniósł jakiegś rany.

- On żyje - powiedział w końcu. - I nie ma żadnego złamania. Jest tylko głębokie rozcięcie nad brwią. Musiał się uderzyć, kiedy upadł.

- To pańska wina! - krzyknęła Prudence. - Widziałam, jak uderzył go powóz...

- Miał szczęście, że nie dostał się pod kopyta koni. Poranił go tylko błotnik. Trzeba go stąd zabrać.

- Niech pan nie dotyka Dana! - zawołała. - Nie dość złego pan już zrobił? Ja się nim zajmę.

Mężczyzna spojrział na nią.

- Na razie twoje wysiłki nie na wiele się zdały. Uspokój się! Histeria mu nie pomoże.

Potem spojrział ponad nią i spoważniał. Prudence odwróciła się i ze zdumieniem zobaczyła, że za nimi stoi milcząca gromada ludzi.

Był to dziwny tłum przebierańców i choć nikt z nich nie ruszał się, Prudence poczuła się nagle bardzo nieswojo.

Nie byli to miejscowi gospodarze ani poczciwi wieśniacy lub też robotnicy. Większość z nich miała na sobie łachmany lub zwykłe worki, a wszyscy byli niewiarygodnie brudni.

Prudence zauważyła kilka kalek oraz kobiety z niemowlętami przytroczonymi do bioder, lecz wcale jej to nie uspokoiło, zamiary bowiem tej bandy były zupełnie jednoznaczne. Wszystkie twarze wyrażały to samo: drapieżną chciwość.

Trafiała im się niezła gratka. Zamożny podróżny, który niczego się nie spodziewał i pewnie dlatego był bez eskorty. Kilkanaście par oczu zabłysło w nadziei na bogaty łup.

Kiedy podróżny wstał z ziemi, z gromady wystąpił jeden z mężczyzn.

- Wasza miłość miał jakiś wypadek? - zapytał. - Mam nadzieję, że pańskim koniom nic się nie stało? - Nie doczekawszy się odpowiedzi, podszedł bliżej i dodał: - Czy zechciałby pan dać parę groszy biedakom, którzy odnieśli rany w służbie dla ojczyzny? Potraktowano nas niegodziwie...

Prudence mimo woli przysunęła się do właściciela powozu. Przywódca żebraków miał przerażający wygląd. Długie tłuste włosy zasłaniały mu twarz do połowy. Jedno oko zakrywała czarna przepaska, spod niej zaś wymykały się splątane jak u dzikiego zwierzęcia gęste jasne kudły. Ponieważ brakowało mu prawej nogi, opierał się ciężko na kuli. Kiedy jednak dziewczyna spojrzała na jego potężną klatkę piersiową i szerokie ramiona, pomyślała, że nie wolno go lekceważyć.

W tym, co powiedział, mogła kryć się prawda, ale Prudence mu nie ufała. Spojrzenie jego rozbieganych oczu obudziło w niej strach. Wyczuwała, że ten człowiek na coś czeka...

Odwróciła się i ujrzała ludzi wychodzących ukradkiem spomiędzy drzew niezbyt odległego lasu.

- Jest ich więcej – szepnęła.

- Wiem. Szykują się, żeby na nas napaść. - Nieznajomy podróżny wsunął rękę do kieszeni pięknego surduta.

Przywódca żebraków znieruchomiał, po czym krzyknął i cały tłum ruszył w ich kierunku. Jednak po chwili się zatrzymali.

Prudence spojrzała w dół i zobaczyła w rękach stojącego obok niej mężczyzny dwa groźnie wyglądające pistolety.

- Cofnijcie się! - rozkazał. - Zastrzelę pierwszego, który zrobi krok do przodu.

- To nie będzie konieczne, sir - powiedział z przymilnym uśmiechem kuternoga. - Nie chcemy zrobić wam krzywdy. - Mówiąc to, spoglądał z ukosa w bok.

Wtedy rozległ się tupot stóp i za plecami Prudence oraz jej towarzysza znalazła się jedna z kobiet. Mimo iż wysoka, potwornie gruba i z obwisłym brzuchem, bardzo szybko pokonała dzielącą ich odległość. Jednym grubym łapskiem wywijiała pałką, w drugim trzymała nóż.

Prudence najpierw krzyknęła, gdy jej towarzysz uskoczył, dzięki czemu uniknął ciosu, a potem bez zastanowienia kopnęła z całej siły kobietę, która straciła równowagę i upadła na ziemię.

Żebracy bez namysłu wykorzystali tę chwilę zamieszania. Jeden z nich wyrwał się do przodu i uderzył kijem w pistolet. Jęk bólu był odpowiedzią na głuchy odgłos wystrzału. Opryszek upadł do tyłu, chwytając się za zranione ramię.

- To było nierozsądne posunięcie, wasza miłość! - zaśmiał się złowieszczo jednooki. - Teraz został panu już tylko jeden strzał.

- Ale mam posiłki. - Nieznajomy, wciąż trzymając bandytę na muszce, drugą ręką machnął w kierunku powozu.

Wszyscy spojrzeli w tamtą stronę, po czym cały tłum ogarnęła panika. Przy zaprzęgu stał lokaj w liberii, mierząc do nich z potężnej rusznicy.

- Teraz, mój młody przyjacielu, zechciej wolnym krokiem pójść do powozu i wejść do środka. - Głos mężczyzny brzmiał bardzo spokojnie.

- Nie zostawię Dana.

- Chwalebne, ale głupie. Bądź tak uprzejmy i zrób, co powiedziałem. - Tym razem był bardziej stanowczy. - Sam, ognia!

Gdy rozległ się huk wystrzału, żebracy rozbiegli się i po kilku sekundach droga była pusta.

Bez dalszych ceregieli nieznajomy schował pistolety do kieszeni i schylił się, by podnieść z ziemi Dana.

- Chwileczkę! Gdzie go pan zabiera? - zaniepokoiła się Prudence i, zupełnie nie wiedząc co robić, pokuśtykała do powozu.

- Twój przyjaciel potrzebuje opieki - wyjaśnił krótko. - Musi tu być gdzieś jakiś zajazd przy drodze.

- Przecież nie możemy jechać z panem! - krzyknęła. Lokaj podzielał jej zdanie.

- Znowu pana nabrali, milordzie - odezwał się ponuro. - Na pewno zostali wysłani przez tamtych, żeby zatrzymać pański powóz.

Prudence, wyczerpana przeżytym strachem i długim marszem, przestała nad sobą panować.

- To nieprawda! - krzyknęła. - Gdyby twój pan nie jechał jak szalenciec, Dan nie zostałby poturbowany.

- Ty bezczelny szczeniaku, Jego Lordowska Mość powozi doskonale. - Lokaj już podnosił rękę, żeby dać jej w ucho, ale pan powstrzymał go spojrzeniem.

- Nie mamy czasu na dyskusje - powiedział chłodno. - Sam, pospiesz się. Natychmiast otwórz drzwiczki powozu.

Służący wypełnił polecenie z nie ukrywaną niechęcią, lecz nie powstrzymał się od złośliwości pod adresem Prudence.

- Ależ on cuchnie. Lepiej by było, żeby jechał na koźle. Nie będzie tak czuć tego smrodu.

- I tak go nie poczujesz - odrzekł pojednawczo lord - gdyż tobie zostawiam powożenie, o ile oczywiście nie przeszkadza ci zapach koni. A teraz przestań zrzędzić i pomóż mi ułożyć tego chłopca.

Gestem ręki nakazał Prudence wsiąść do wnętrza powozu i ułożył Dana w taki sposób, że głowa chłopca spoczęła na kolanach dziewczyny.

Sam, wcale nie zrażony reakcją swego pana, nadal mamrotał o zdradzie i oszustwie, lecz nikt go nie słuchał. Powóz ruszył i Jego Lordowska Mość zajął miejsce naprzeciw Prudence.

Dziewczyna nawet na niego nie spojrzała, zajęta całkowicie Danem. Stłuczenie na jego głowie stawało się coraz bardziej widoczne i z rozcięcia u nasady włosów sączył się strumyczek krwi. Chłopiec leżał z zamkniętymi oczami, a bladość dziecinnej twarzy podkreślały jeszcze liczne piegi.

Poczuła nagle ucisk w gardle i pochyliła głowę, żeby ukryć napływające do oczu łzy. Szykując się na najgorsze, nie przewidziała takiego nieszczęścia. Czy w ten sposób miałyby się skończyć ich wyprawa? Z rannym Danem i z poranionymi nogami nie było mowy o dalszym marszu.

W dodatku przy drodze zostawiła buty. Uświadomiwszy sobie ten fakt, Prudence załamała się. Wierzchem dłoni usiłowała wytrzeć oczy, ale łzy płynęły coraz szybciej i spadały na czoło Dana.

- Utopisz chłopca we łzach! - Nieznajomy, mówiąc to, podał jej białą chusteczkę do nosa. - Nie trać ducha! Nie zrobiłeś na mnie wrażenia kogoś, komu brak odwagi.

Próbowała coś powiedzieć, lecz ani jedno słowo nie zdołało się przebić przez jej łkanie.

- Wspaniale się zachowałeś na drodze - mówił dalej spokojnie lord. - Obawiałem się, że zostawisz mnie na pastwę tych żebraków. - W jego tonie zabrzmiała nuta kpiny.

Prudence odzyskała wreszcie głos.

- Jechał pan za szybko - szepnęła. - Złękłem się, że pan go zabił.

- To zrozumiałe... ale nie mogłem się przecież spodziewać, że na środku drogi jakiś chłopiec będzie robił gwiazdy.

- Chciał mnie rozweselić - zaszlochała ponownie Prudence. - Byłem zmęczony i miałem już wszystkiego dość.

- Rozumiem. Idziecie z daleka?

Nie była przygotowana na takie pytanie i nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Nie tak bardzo - mruknęła zmieszana. Potem spojrzała na swoje stopy. - A teraz zapomniałem zabrać buty. Zostawiłem je na drodze. - Tego było już za wiele i jej oczy znowu napełniły się łzami.

Na surowej twarzy lorda odmalowało się ledwo widoczne współczucie.

- Wyobrażam sobie, że to dla ciebie poważny problem. Z takimi nogami nie ujdiesz daleko.

W jego słowach nie było żadnej przesady. Szmaty, którymi owinęła stopy, nasiąkły już krwią.

- Pęcherze popękały - powiedziała. - Gdzie nas pan wiezie, sir?

- Jak wcześniej wspomniałem, chłopiec potrzebuje opieki. Doznał poważnego urazu i na stłuczenie trzeba położyć zimny kompres. Czy w pobliżu macie jakichś znajomych lub rodzinę?

Prudence potrząsnęła przecząco głową.

- Nie wiem, gdzie jesteśmy. Czy to hrabstwo Derbyshire?

- Tak. A dokąd się udajecie?

- Wybieramy się na południe... Na wybrzeże.

- No to macie przed sobą kawał drogi. Jak długo już idziecie?

- Trzy dni.

- To znaczy, że wyruszyliście z hrabstwa Cheshire?

Prudence zeszywniała. Odpowiadając na pytania, zapomniała o ostrożności, a lord mógł dzięki temu łatwo zorientować się, jaki dystans pokonali w tak krótkim czasie.

Ogarnięta niepokojem, po raz pierwszy przyjrzała mu się dokładnie.

Ponieważ wcześniej zdjął pelerynę podróżną i nakrył nią Dana, miała przed sobą mężczyznę, który od wykrochmalonego fularu do czubków lśniących butów z cholewami, stanowił uosobienie elegancji. Ubrany był w doskonale skrojony surdut z czarnego sukna. Nigdy dotąd nie widziała tego rodzaju tkaniny, ani też nie spotkała nikogo, kto nosiłby swoje ubranie z tak niewymuszonym wdziękiem.

Oceniła go na niewiele więcej niż trzydzieści lat, ale najbardziej interesująca wydała się jej twarz lorda. Nie był on, w dosłownym tego słowa znaczeniu, przystojnym mężczyzną, a wyraziste rysy twarzy zdradzały silną osobowość. Błyszczące ciemne kosmyki opadały na szerokie czoło, lecz ani przez moment nie wątpiła, że nie jest to typ fireyka. Czują bijące od niego siłę i opanowanie.

Ciemne oczy, które wpatrywały się w nią z niezwykłą intensywnością, mogły wydawać się czarne, ale tak naprawdę były niebieskie.

I gdyby była na tyle naiwna, by przypuszczać, że da się go łatwo oszukać, to przeczył temu mocny zarys ust nad silnie zaznaczoną szczęką.

Prudence poprawiła się niepewnie na siedzeniu. Musi być bardziej ostrożna. Może się okazać, że ten człowiek o władczym wyglądzie jest sędzią, a ona pragnęła unikać wszelkiego kontaktu z przedstawicielami prawa. Jego ostatnie pytanie wprawiło ją w zmieszanie. Wiedziała, że odpowiedź, na którą wciąż czekał, nie zadowoli go w pełni.

Skinęła głową potakująco i wtedy Dan otworzył oczy.

- Boli mnie głowa - jęknął. - Prudy, gdzie jestem?

- Nie ruszaj się - powiedziała szybko. Nie chciała, żeby Dan wymienił jej imię. - Upadłeś i uderzyłeś się w głowę, ale jesteśmy bezpieczni i wkrótce poczujesz się lepiej.

- Dokąd jedziemy?

- Nic nie mów - poradził mu lord. - Myślę, że dojechaliśmy już do zajazdu. Zaraz wygodnie cię ułożymy i opatrzymy twoją ranę.

Właścicielka zajazdu z nie ukrywanym zdziwieniem przyglądała się małej grupce podróżnych. Dojrzała herb na drzwiczkach powozu i skłoniła się nisko, gdy lord wnosił na rękach Dana, ale kiedy poczuła zapach stajni bijący od Prudence, zagroziła jej drogę.

- Chłopak niech wejdzie od tyłu. Umyje się na podwórzu.

- Słucham, co pani mówi? - Pod wpływem spojrzenia, jakie towarzyszyło temu pytaniu, kobieta aż się skurczyła.

- Naturalnie, jeśli Jego Lordowska Mość tak sobie życzy - dodała pospiesznie.

- Ten młodzieniec będzie mi towarzyszył. Potrzebujemy pokoju i osobnego saloniku. - Wszedł po schodach za gospodynią do niezbyt dużego pomieszczenia. - Czy to najlepszy, jaki macie?

- Ten jest największy, panie. Nie często gościmy ludzi z wyższych sfer, ale może pan skorzystać z mojego salonu.

- Dziękuję pani. - Prudence była zaskoczona, bowiem na dotychczas surowej twarzy lorda nieoczekiwanie pojawił się miły uśmiech. Robiło to takie wrażenie, jakby nagle słońce wyjrzało zza chmur. Jak widać, ten groźny mężczyzna nie był aż tak bardzo nieprzystępny.

- Chłopiec jest ranny - wyjaśnił kobiecie. - Proszę przynieść gorącą i zimną wodę oraz czyste szmaty.

- Czy mam posłać po doktora, sir?

- Na razie nie. Zobaczymy, jak się będzie czuł.

- Biedny chłopiec. Żyjemy w strasznych czasach, kiedy nie jest się bezpiecznym nawet we własnym kraju.

Właścicielka zajazdu doszła do wniosku, że spotkała ją szczęście. Ludzie z wyższych sfer, jak słyszała, mają niekiedy dziwne pomysły. Jeśli ten dżentelmen chce być szczodry dla pary włóczęgów, to ona również może skorzystać z jego hojności.

- Ma pani rację. A teraz prosimy o wodę.

Gdy kobieta wyszła, lord ułożył Dana na łóżku i zwrócił się do Prudence:

- Obmyj mu głowę. Ja muszę porozmawiać z Samem. Prudence wykonała jego polecenie. Wytarłszy krew z paskudnego rozcięcia, z ulgą stwierdziła, że rana, wbrew jej obawom, nie była zbyt głęboka. Wprawdzie Dan miał posiniaczoną i opuchniętą twarz, wyglądało jednak na to, że nie odniósł innych poważnych obrażeń. Chłopiec dotknął jej ręki.

- Kto to jest ten pan? - wyszeptał.

- Jeszcze nie wiem, ale to on prowadził powóz, który cię uderzył. Uważaj, Dan! On nie może się dowiedzieć, że jestem dziewczyną.

Pukanie do drzwi przerwało ich rozmowę.

Do pokoju, wciąż coś mamrocząc pod nosem, wszedł Sam. Rzucił na łóżko sakwojaż swego pana i usunął się, gdy do izby wszedł lord.

Spojrzał na Dana i stwierdziwszy, że chłopiec czuje się lepiej, powiedział do Prudence:

- Teraz, młody przyjacielu, zdejmij te okropne łachmany i umyj się, byś przestał cuchnąć stajnią. Czy masz w co się przebrać?

Prudence pokręciła przecząco głową.

- Zostawiłem tobolek przy drodze razem z moimi butami.

Już wcześniej doszła do wniosku, że pozbycie się czepka i fartucha ułatwi jej udawanie chłopaka. Ten bystry człowiek bez trudu rozpoznałby po ich ubraniu, że są wychowankami sierocińca. Właśnie dlatego zostawiła swój charakterystyczny płaszczyk w oborze u gospodarza.

Z drugiej strony, zastanowiła się dziewczyna, jest mało prawdopodobne, aby ten wytworny przedstawiciel arystokracji mógł kiedykolwiek widzieć sierotę z przytułku. Mimo to muszą zachować ostrożność.

Lord jednak znów ją zaskoczył, bo szybkim ruchem ręki zerwał z jej głowy starą czapkę.

- Chciałem zauważyć, że dobry obyczaj nakazuje zdjąć nakrycie głowy, kiedy wchodzi się do czyjegoś domu. .. - zaczął i po chwili, z inną już miną, powiedział ciszej: - Mój Boże! Zdradź mi, panie, nazwisko twojego mistrza nożyc. Będę za wszelką cenę go unikał!

- To ja! - rozległ się śmiech od strony łóżka. - Uprzedzałem, że to nie najlepszy pomysł ścinać włosy nożem.

- I miałeś całkowitą rację! - zgodził się z nim lord. - Czy mogę prosić cię, Danie, byś nie wybierał zawodu fryzjera?

- Mam zamiar wstąpić do marynarki, sir.

- Dzięki Bogu! Jako marynarz będziesz mógł popuścić cugli swoim dzikim instynktom. - Po czym zwrócił się do Prudence, ignorując jej pełne oburzenia spojrzenie: - Weź to - podał jej wyjętą z sakwojaża koszulę przybraną falbankami. - Będzie dla ciebie za duża, ale na razie musi wystarczyć. Mogę ci też zaoferować kalesony zamiast tych portek, podwiążesz je w pasie. - Popatrzył na jej stopy i pokiwał głową. - Dziś wieczór musisz chodzić boso.

- Dziś wieczór? Sądziłem, że zamierza pan dalej jechać - przestraszyła się Prudence.

- Nie mogę - odparł spokojnie. - Jeden z moich koni zgubił podkowę. Sam ma udać się do kowala.

- To przykre, panie, ale my z Danem nie możemy dłużej tutaj zostać...

- Dlaczego? To bardzo dobre miejsce, a nasza gospodyni na pewno przygotuje nam coś smacznego do jedzenia. - Widząc spłoszony wzrok Prudence, mówił dalej: - Ani Dan, ani ty nie jesteście w stanie kontynuować podróży. Co do mnie zaś, nie mam nic przeciwko solidnemu obiadowi, wam też się on przyda... i to, jak sądzę, bardzo.

Ich wzrok przyciągnęło jakieś gwałtowne poruszenie na łóżku. Dan z rozjaśnioną twarzą prosto usiadł, a potem zrobił ruch, jakby zamierzał zrzucić okrywający go pled.

- Jestem okropnie głodny - oznajmił. - Kiedy będziemy jeść, sir?

- W swoim czasie, ale ty dostaniesz obiad na tacy. Nie powinieneś dziś wstawać z łóżka. Wprawdzie twój przyjaciel trzyma swoje imię w sekrecie, ale to mi nie przeszkadza. Zasiądzie ze mną do stołu, o ile oczywiście zechce się umyć i przebrać w czyste rzeczy. - Powiedziawszy to wszystkim tonem nie znoszącym sprzeciwu, wyszedł z pokoju.

Prudence aż dygotała ze złości. Czy ten arogant sądzi, że ona nie ma własnej woli? O wszystkim sam decydował, nawet przez grzeczność nie pytał jej o zdanie. A to, że we wszystkim miał rację, było dodatkowym źródłem irytacji. A poza tym, bardzo ją obraził.

- O co chodzi, Prudy? - Dan natychmiast zauważył, że coś ją trapi.

Prudence popatrzyła na niego z niepokojem w oczach. Nie podobała się jej perspektywa spędzenia reszty dnia w towarzystwie lorda. Był zbyt inteligentny i łatwo mogła się przed nim zdradzić. Nie ma co się łudzić, przy nim na nic się zdadzą wszelkie wykręty.

- Wydaje się bardzo uprzejmy - powiedział Dan. - Chyba nie podejrzewasz, że chce nam zrobić krzywdę?

- Niezupełnie... może nieświadomie... zadaje tyle pytań. Nie ufam mu.

- Ty nikomu nie ufasz.

- Życie mnie tego nauczyło, Dan. Lord mógł już wysłać o nas wiadomość.

- Na pewno nie. Nie wie przecież, kim jesteśmy. Poza tym ma rację. Dziś nie możemy wyruszyć, a w tym łóżku jest mi tak dobrze. - Chłopiec ułożył się wygodnie na poduszce. - Przyrzekł też, że dostaniemy coś do jedzenia.

Prudence musiała się poddać, mimo iż rozsądek podpowiadał jej co innego. Zdążyła się już przekonać, że bywają gorsze rzeczy niż zimno, głód i poranione stopy czy nawet guzy na głowie, lecz pokusa przespania się pod dachem i najedzenia się do syta była zbyt wielka.

Schowała się za parawanem stojącym w kącie pokoju i zdjęła ohydne łachmany, które ze wstrętem rzuciła na podłogę. Wprawdzie woda w dzbanku już ostygła, ale Prudence umyła się cała, szorując skórę do czerwoności. Potem wypłukała też głowę, w nadziei, że mokre włosy dadzą się jakoś przygładzić.

Niestety, pomimo wysiłków podsuszone rude kędziory znów sterczały na wszystkie strony. Kiedy spojrzała w lustro, na moment znieruchomiała, ledwie rozpoznając samą siebie. Z jej twarzy, wymizerowanej zmartwieniami i trudami podróży, spoglądały na nią nienaturalnie wielkie, smutne piwne oczy. Po sekundzie otrząsnęła się, nie miała czasu zastanawiać się nad swoim wyglądem.

Włożyła falbaniastą koszulę, która była zbyt obszerna i sięgała jej aż do kolan. Ramiona opadały nisko, a ręce gubiły się w przydługich rękawach, szybko je więc podwinęła. Potem podarła czystą szmatę na pasy i obandażowała nimi nogi, a na koniec włożyła kalessony.

Ze zdziwieniem stwierdziła, że nie były zbyt szerokie w pasie, choć oczywiście nogawki opadły nisko na podłogę. Kiedy je zawinęła, usłyszała wchodzącego lorda.

Z duszą na ramieniu wyszła zza parawanu. Mogła pogodzić się z tym, że nie wygląda najlepiej, lecz dalszych kpin nie zniesie. Jeśli ten paskudny typ będzie się z niej naśmiewał, nigdy mu tego nie wybaczy.

ROZDZIAŁ DRUGI

Obawy Prudence okazały się płonne. Wprawdzie kącik ust lorda drgnął lekko, lecz ani słowem nie skomentował on jej wyglądu.

Dan nawet na nią nie spojrział, gdyż całą uwagę skupił na tacy przyniesionej przez służącą.

Kiedy kobieta opuściła pokój, ich towarzysz powiedział do Prudence:

- Siadaj, trzeba coś zrobić z twoją głową, bo w takim stanie nie możesz usiąść ze mną do stołu.

Silną ręką zmusił ją do zajęcia miejsca na krzesło, a potem wyjął z torby nożyczki. Prudence patrzyła na niego z buntowniczą miną, podczas gdy on przez dobre kilka minut zabawiał się we fryzjera. Potem odsunął się na bok, by przyjrzeć się efektom swojej pracy.

- Myślę, że tak jest lepiej, nie uważasz, Dan?

- O wiele lepiej! - Chłopiec, zajęty pałaszowaniem kurczaka, ledwie spojrział na Prudence.

- Ja też tak sędzę. Możemy teraz przystąpić do obiadu? - I nie czekając na odpowiedź dziewczyny, skierował się do sąsiedniego pokoju, gestem nakazując jej, by szła za nim.

Mając przykrą świadomość swego dziwaczego wyglądu, wprost nie była w stanie patrzeć na lorda. Nie uważała się za piękność, ale nigdy jeszcze nie czuła się tak bardzo zażenowana. Na domiar złego jej wybawca przebrał się, co dodatkowo zwiększyło kontrast między nimi.

Mimo przykrych emocji, jakie ją ogarnęły,omal nie krzyknęła z zachwytu na widok stroju lorda, na który składały się eleganckie modne pantalone, kolejny dopasowany do figury surdut i śnieżnobiała koszula.

Nie poczuła się też pewniej, gdy zobaczyła stół nakryty na dwie osoby oraz przygotowane na podręcznym stoliku półmiski z soczystą szynką pieczoną w cieście, paszteciki i placek z malinami. Właścicielka zajazdu najwyraźniej postanowiła dogodzić podniebieniu znakomitego gościa, jak tylko umiała najlepiej.

Mimo głodu, Prudence nie mogła pozbyć się lęku. To, że ten arystokrata zaprosił do wspólnego obiadu zwykłą sierotę z przytułku, nie było przecież rzeczą normalną.

- Robisz wrażenie zakłopotanego. Co cię dręczy? - usłyszała pytanie zadane głębokim głosem.

- Dlaczego pan to robi, sir? To niemożliwe, żeby pan pragnął mego towarzystwa...

- Mylisz się. Czyż nie uratowałeś mi życia? Gdybyś nie kopnął tej strasznej kobiety, pewnie by mnie zabiła.

- Sądzi pan, że naprawdę zamierzali nas zamordować?

- Nie mam cienia wątpliwości. Tacy rabusie nie zwykli pozostawiać przy życiu świadków swych zbrodni.

Prudence wzdrygnęła się.

- Przeraziłem się - wyznała. - Zachowywali się jak wataha wilków.

Jej towarzysz uśmiechnął się.

- Popuszczasz wodze fantazji. Przyznaję, że stanowili przedziwną gromadę, w większości złożoną z dezerterów i złodziei. - Podniósł pokrywkę wazy i zajrzał do środka.

- Mamy szczęście - oznajmił. - Nasza gospodyni jest, jak można sądzić z tego aromatu, doskonałą kucharką. Czy zjesz trochę zupy? Powiedziałem, że obsłużymy się sami, aby móc spokojnie porozmawiać.

Prudence spojrzała podejrzliwie, ale jego twarz niczego nie wyrażała.

- Ja naleję zupę - powiedziała. - Proszę usiąść. Postawiła przed nim parujący talerz, zadając sobie w duchu pytanie, zbyt późno zresztą, czy nie wyda mu się dziwne, że chłopak potrafi robić to tak zręcznie.

- Czy napijesz się ze mną wina? - Nie czekając na odpowiedź, napełnił jej kieliszek. - Za twoje zdrowie i przyjmij wyrazy mojej wdzięczności!

Prudence oblała się rumieńcem.

- Stanowczo pan przecenia moją rolę w tym zdarzeniu. Nic panu nie groziło, gdyż pański lokaj miał tych żebraków na muszce.

Roześmiał się, odchylając przy tym do tyłu głowę.

- Sam, zanim go zatrudniłem, pracował jako strażnik wozu pocztowego. Nie rozstaje się nigdy ze swoją rusznicą.

- Kiedy wystrzelił, brzmiało to jak wystrzał z armaty - powiedziała z przekonaniem Prudence.

- Pożyteczna broń! Teraz proponuję, żebyś zabrał się do jedzenia, jeśli nie chcesz, żeby zupa całkiem wystygła.

Tym razem Prudence posłuchała go z niekłamanym zadowoleniem. Zupa była wyśmienita i zjadła ją z ogromnym smakiem.

- Jeszcze trochę?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Wobec tego pozwól, że odkroję ci dwa plastry szynki. - Napełnił jej talerz pieczystym z półmiska, stojącym na podręcznym stoliku. - Nie lubisz wina?

- Nie przywykłem go pić, panie.

- Spróbuj!

Bardzo jej się chciało pić, a zimne wino było wyborne. Nieświadoma możliwych skutków, wypila więcej niż połowę kieliszka.

- Tak lepiej! - Z pozornie obojętnym wyrazem twarzy, lecz bacznie jej się przyglądając, napełnił ponownie kieliszek Prudence.

Dziewczyna nie zwróciła na to uwagi. Było jej dobrze, czuła się najedzona i marzyła o ciepłym łóżku. Toczyła ze sobą walkę, aby nie zasnąć przy stole.

Musiała się zastanowić. Choć jej towarzysz był dla niej wyjątkowo uprzejmy, niewielkie doświadczenie, jakie już zdobyła, mówiło jej, że od ludzi nie wolno się zbyt wiele spodziewać. Robił za dużo szumu wokół jej zachowania na drodze. Działała przecież pod wpływem impulsu. Musiał dobrze wiedzieć, że niczym nie ryzykował, mając za sobą lokaja Sama i dlatego zainteresowanie, jakie jej okazywał, było zupełnie niezrozumiałe. Miała ochotę zadać mu kilka pytań.

Zdawało się, że czyta w jej myślach.

- Co, twoim zdaniem, miałem zrobić? - zapytał. - Zostawić was na drodze?

- Przypuszczam, że nie brał pan pod uwagę takiej możliwości. - W jej odpowiedzi nie było śladu wdzięczności.

- I słusznie przypuszczasz. Powiedz mi, czego tak się boisz?

- Ja się nie boję! - zaprotestowała gwałtownie. - To dlatego, że... wszystko potoczyło się nie tak, jak oczekiwałem.

- Rzadko bywa inaczej, nie sądzisz? Życie pełne jest niespodzianek. Weź na przykład mój przypadek. Jadę sobie spokojnie drogą, a za chwilę atakuje mnie jakieś dzikie stworzenie i nazywa mnie mordercą.

- Zasłużył pan na to! Zapomniał pan wspomnieć o tym, co spowodowało to oskarżenie.

- Nie zapomniałem i pragnę wnieść pewne poprawki.

- Znów napełnił jej kieliszek.

Niespodzianie Prudence ogarnęła niezrozumiała chęć do śmiechu.

- Gospodyni nie jest zachwycona naszą obecnością - powiedziała zupełnie bez związku.

- Przeciwnie, ogromnie wam współczuje z powodu niemiłej przygody, jaka was spotkała. Wyraziła ubolewanie, że dwoje moich młodych krewnych, gdy wyszli z powozu, aby po kilku godzinach podróży rozprostować nogi, zostało napadniętych przez złodziei.

- Musiały ją chyba zdziwić nasze niezwykle stroje!

- Byłeś rozebrany i zostawiony na pewną śmierć. Kiedy cię odnalazłem, okryłem cię, jak umiałem, szmatami porzuconymi przez żebraków.

- I ona w to uwierzyła? - zapytała z powątpiewaniem Prudence. - Nie wygląda pan na naszego krewnego.

- Jesteście dziećmi mojego brata - odrzekł łagodnie.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko takiemu stryjowi.

Prudence przytaknęła, na wpół śpiąca. Powieki same się jej zamykały i tylko z wielkim trudem udawało się jej trzymać oczy otwarte.

- Pan ją oszukał - mruknęła niewyraźnie.

- To prawda. Odpokutuję za to później. Sam już się o to zatroszczy...

- On nam nie ufa. - Prudence prawie już spała. - I pan wie, że on ma rację. Skąd pan wie, że nie zamierzamy w nocy pana zamordować?

- Podejmę wszelkie środki ostrożności. Od razu zauważyłem, że jesteście parą dzieciaków o zdecydowanych charakterach. - Bez zdziwienia stwierdził, że siedząca po przeciwnej stronie Prudence zasnęła z głową opartą o stół.

Z zagadkowym uśmiechem wziął ją na ręce i zaniósł do sąsiedniego pokoju. Tam ułożył ją obok śpiącego już Dana i nakrył oboje pledem.

Potem spojrzął jeszcze raz na swoich niezwykle podopiecznych i wyszedł z pokoju.

Prudence obudziły hałasy dobiegające z dziedzińca. Przez moment leżała bez ruchu, rozglądając się bezmyślnie po nieznanym otoczeniu.

Nagle wszystko sobie przypomniała i ogarnęła ją panika. Głośne gęganie gęsi świadczyło o tym, że w obejściu znaleźli się obcy. Z przerażeniem pomyślała, że żebracy zaatakowali zajazd, a może stało się jeszcze gorzej... może ścigający ją i Dana ludzie wpadli na ich trop!

Po chwili doszła jednak do wniosku, że było to mało prawdopodobne. Ich prześladowcy wiedzieli przecież, że Prudence i Dan nie mają ani grosza, wobec czego nie mogli zatrzymać się w zajazdzie.

Wyjrzała ukradkiem przez zasłony i stwierdziła, że przyczyną pełnej oburzenia wrzawy podniesionej przez ptaki był Sam.

Gdy przemierzał podwórze, z drzwi poniżej jej okna wyszedł lord.. Jak zwykle starannie ubrany, skinął na swego lokaja.

- Czy Jego Lordowska Mość zjadł już śniadanie? - zapytał z nadzieją w głosie Sam.

- Jeszcze nie, przedtem muszę zająć się kilkoma sprawami. Nie będę potrzebował powozu jeszcze co najmniej przez godzinę.

Sam spochmurniał.

- Nie miałbym nic przeciwko, żeby stąd wyjechać - rzekł. - Tym obwiesiom źle z oczu patrzy, gotowi są mnie zabić. Mówiłem wcześniej, że nie można im ufać.

Jego pan uśmiechnął się.

- Troska o moje bezpieczeństwo świadczy o tobie jak najlepiej, ale, jak widzisz, przeżyłem tę noc i nikt nie poderznął mi gardła ani nie obrabował.

- Zadbałem o to, panie, spałem pod pańskimi drzwiami.

- Mój Boże! Musiało ci być strasznie niewygodnie. To tłumaczy twój zły humor. Nie było najmniejszej potrzeby, abyś tak spędzał noc. Byłem przezorny i zamknąłem na klucz ich drzwi.

- Nie przewidziałem tego...

- Nie sądziłeś, że będę na tyle rozsądny? - zaśmiał się lord. - Zrobiłem tak zresztą z innych powodów, niż myślisz. Zjedz sobie, chłopie, kawał mięsa i popij kuflem piwa, a od razu poczujesz się lepiej.

Po tych słowach zawrócił i wszedł do zajazdu, nieświadom, że nad jego głową Prudence aż kipiała ze złości.

Podbiegła do drzwi i usiłowała je otworzyć, lecz wciąż były zamknięte.

- Co się stało, Prady? - Dan patrzył na nią z niepokojem.

- Zamknięto nas - odrzekła wolno. - Chyba już wiedzą, kim jesteśmy. Gdzie jest twoje ubranie?

- Ta kobieta wzięła je do wysuszenia.

- No tak! Pewnie się domyśliła, że to ubranie z przytułku. Gdybyśmy nie byli zamknięci, moglibyśmy się wymknąć...

- Nie mogę wyjść bez spodni, a ty nie masz butów.

- Mogę iść boso. Moje stopy trochę już się zagoiły. Jak twoja głowa?

- Guz zniknął. - Dan dotknął czoła. - Co zrobimy?

- Musimy wykorzystać jedyną szansę. Kiedy przyniosą twoje ubranie, bądź w pogotowiu, a na mój znak - uciekaj.

- Zrobię, jak chcesz, ale miałem nadzieję, że najpierw zjemy śniadanie.

Na zgrzyt klucza obracającego się w zamku, Prudence odwróciła się, spodziewając się ujrzeć służącą. Tymczasem do pokoju wszedł Sam i rzucił na łóżko naręcze ubrań.

- Szybko się oporządźcie - powiedział kwaśnym tonem. - Jego Lordowska Mość czeka na was ze śniadaniem.

Po chwili z saloniku doszły ich odgłosy rozmowy. Prudence z palcem na ustach podkrađła się do drzwi i zaczęła nasłuchiwać. Sam protestował podniesionym tonem, jego pan zaś tłumaczył mu coś cicho, ale nie zdołała zrozumieć słów.

- Ubieraj się szybko! - rozkazała. - Zapomniał zamknąć drzwi za sobą.

Przejrzała rzucone na łóżko ubrania. Kurtka i spodnie Dana były suche, podała je więc chłopcu. Znalazła też parę sztruksowych spodni, flanelową koszulę i kurtkę z samodziału. Potem jej wzrok padł na wełniane skarpety i szybko wsunęła je na obandażowane nogi. Lepsze to niż nic.

Spodnie dobrze pasowały do jej szczupłych bioder, a koszula i kurtka były wystarczająco długie, by przykryć wypukłości figury Prudence.

Obejrzała się w lustrze i z zaskoczeniem stwierdziła, że krótko obcięte loki nadawały jej twarzy chłopięcy wygląd. Przy pobieżnym oglądzie nikt się nie domyśli jej prawdziwej płci.

- Jeszcze nie jesteś gotowy? - krzyknęła niecierpliwie. - Nie mamy zbyt wiele czasu.

- Nic się na mnie nie dopina, bo moje ubranie się skurczyło. Prudy, czy naprawdę musimy uciekać bez śniadania? Z tamtego pokoju dochodzą takie zapachy...

- Nie mamy wyboru. Dobrze wiesz, co się z nami stanie, jeśli nas złapią.

Podbiegła do drzwi wyjściowych i otworzyła je, jak tylko mogła najciszej, po to jedynie, by przekonać się, iż cała jej ostrożność nie przydała się na nic.

- Dzień dobry! - powitał ich wesoło lord. - Wyspalicie się?

- No... tak... panie. - Prudence rzuciła Danowi ostrzegawcze spojrzenie.

- Siadajmy więc bez zwłoki do śniadania. Chciałbym przed nocą dojechać do Stevenage. - Poprowadził ich do salonu, kłaniając się gospodyni, która zajęta była wycieraniem talerzy.

Kiedy kobieta uśmiechnęła się do nich mile, Prudence pomyślała, że jej poprzednie obawy okazały się bezpodstawne.

- Widzę, sir, że pańscy bratankowie doszli do siebie po wczorajszych przeżyciach...

- Ma pani rację. Teraz proszę nas zostawić. Obsłużymy się sami.

Odprowadził ją wprawdzie bardzo stanowczo, ale zrobił to z tak czarującym uśmiechem, że nie mogła czuć się obrażona. Ukłoniła się więc z uszanowaniem i wyszła.

- Dan, nie zapiałeś koszuli. - Pod pozorem, że chce mu pomóc, Prudence nachyliła się do chłopca i szepnęła ostrzegawczo: - Uważaj! Ja będę odpowiadać na wszystkie pytania.

Dan przytaknął, lecz oczy miał zwrócone na parujące dania. Nie trzeba go było długo prosić, aby napelnił swój talerz, jednak Prudence nie poszła w jego ślady.

- Nie jesteś głodny? - zapytał uśmiechnięty lord, patrząc na nią z wysoka. - Zaskakujesz mnie!

Dłużej nie była już w stanie powstrzymać rozsadzającej ją złości.

- Dlaczego pan nas zamknął?

- Ze zwykłej ostrożności. Nie znam tego zajazdu ani wy go nie znacie. Nie miałbyś chyba ochoty, by napadli na ciebie pijani awanturnicy, prawda?

- Oczywiście, że nie, ale myślałem...

- Myślałeś, iż bałem się, że pod osłoną nocy mnie zaatakujecie, nieprawdaż? Ależ ty masz o mnie złą opinię!

Jego uśmiezek jeszcze bardziej ją rozwścieczył.

- Dobrze wiem, że nie spodziewał się pan niczego podobnego. I że nie myślał pan o naszym bezpieczeństwie. Podejrzał pan, że spróbujemy uciec? Czy tak było?

- Ciekawa myśl. Czy uciekanie stało się waszym nawykiem?

- Niech pan mnie nie zwodzi! - odrzekła krótko.

- Prawdę mówiąc, nie uważałem tego za możliwe. Już spałeś, kiedy cię zostawiłem na łóżku, więc taki pomysł nawet mi nie przyszedł do głowy.

- To dlatego poił mnie pan winem?

- Młody przyjacielu, do niczego cię nie zmuszałem. Przeciwnie, wydawało mi się, że sprawia ci to przyjemność.

- Piłeś wino? - spytał z niedowierzaniem Dan. Prudence zaczerwieniła się.

- Tak, piłem, pierwszy i ostatni raz w życiu. Nigdy już go nie skosztuję.

- Masz rację, podczas śniadania wino nie jest wskazane - zgodził się z nią lord. - Przed długą podróżą najlepsza jest gorąca czekolada. A może wolałbyś piwo? - Widząc oburzone spojrzenie Prudence, mówił dalej: - Nie patrz na mnie tak ponuro, proszę. Czy każdego ranka tak się złościysz? - Zaczął nakładać jedzenie na jej talerz. - Jedz! Przystanie cię boleć głowa.

Powinna była odmówić, ale byłby to szczyt głupoty. Nie miała pojęcia, kiedy znowu będą jedli. Doświadczenie minionych trzech dni przekonało ją, że bez życzliwych ludzi i bez pieniędzy łatwo można w podróży umrzeć z głodu.

Zabrała się do jedzenia, ale jej umysł cały czas pracował. Wyglądało na to, że ten dziwaczny nieznajomy uparł się, by utrzymywać, że ona i Dan są jego bratankami, dlaczego jednak tak postępował, w żaden sposób nie mogła dociec.

Skończywszy posiłek, odsunęła od siebie talerz, a gdy uniosła wzrok, stwierdziła, że lord ją obserwuje. Z lękiem czekała na dalsze pytania, ale on się nie odzywał.

Cisza przeciągała się i w końcu Prudence nie wytrzymała. Postanowiła sama podjąć rozmowę.

- Czy zechciałby pan coś mi wyjaśnić? - zapytała obojętnym tonem i jednocześnie dostrzegła w jego oczach błysk kpiny.

- Zasnąłeś wczoraj podczas naszej pogawędki - odrzekł. - Nie opowiedziałeś mi o was zbyt wiele.

- Już w powozie mówiłem, że wybieramy się na wybrzeże.

- A konkretnie na jakie?

- Na... południowe.

- To bardzo rozległy teren. Do jakiej miejscowości zmierzacie?

- Do Dover - odpowiedziała natychmiast. Była to jedyna nazwa, jaką знаła w hrabstwie Kent.

- Rozumiem. I co tam chcecie robić?

- Dan chce zaciągnąć się do marynarki.

- A ty?

- Ja tak samo.

- Naprawdę? - zdziwił się. - Nie sądziłem, że przyjmują też dziewczęta.

Prudence zamarła. Odwróciła się do Dana z pobladłą twarzą, ale chłopiec nie był w stanie niczego powiedzieć.

- Kiedy pan się domyślił?

- Moja droga, sama rzuciłaś się w moje ramiona przy pierwszym spotkaniu. Jeszcze nie zdziękinniałem i potrafię odróżnić mężczyznę od kobiety.

Prudence, oszołomiona, milczała.

- Nie było to trudne - wyjaśniał dalej lord - chociaż oskarżałaś mnie o morderstwo.

- Naprawdę? - Dan nie wydawał się zbyt przejęty faktem, że sekret Prudence wyszedł na jaw. -

Dlaczego tak powiedziała?

- Bo myślała, że cię zabiłem.

- Prudy potrafi być naprawdę groźna, gdy straci panowanie nad sobą.

- Prudy?

- To skrót od imienia Prudence - wyjaśnił ochoczo Dan.

- Prudence? - Głos lorda dziwnie zabrzmiał. Zadrzał i uniół dłoń do oczu.

- Czy boli pana głowa? - zapytała cierpkim tonem Prudence.

- Nic takiego, chwilowe niedomaganie. Przepraszam, ale był to dla mnie wstrząs. - Wracał do równowagi z wyraźnym wysiłkiem.

- Nie pojmuję, dlaczego moje imię wydało się panu takie zabawne. - Prudence nie ukrywała rozdrażnienia.

- Wcale nie śmieję się z twojego imienia. Może zechcesz mi jednak wytłumaczyć, z jakiego powodu przebrałaś się za chłopca?

Ponieważ nie kwapiła się z odpowiedzią, lord spojrział na Dana.

- Prudence pomyślała, że tak będzie lepiej, bo nie będą szukać dwóch chłopców... - Urwał, uświadamiając sobie, że zdradził ich sekret.

- Jesteście ścigani? Przez kogo?

- To nie pańska sprawa - odrzekła niechętnie Prudence.

- Wolałbym jednak wiedzieć - nalegał lord. - Musicie zaspokoić moją ciekawość. Dan, wyjaśnij mi, proszę, całą sprawę. - Powiedział to tak stanowczo, że chłopiec pochylił głowę i mruknął:

- Prudy mi zabroniła.

- Ja zaś nakazuję, żebyś mi odpowiedział. Skończmy już z tą całą komedią. Zrozumcie, nie mam zamiaru zrobić wam krzywdy.

- Nie odeśle nas pan z powrotem? - Dan patrzył na niego z nadzieją.

- Byłoby mi raczej trudno, biorąc pod uwagę, że nie wiem, skąd przybyliście.

- I nie dowie się pan! - odrzekła hardo Prudence, chociaż była zawstydzona i nieszczęśliwa. Sytuacja wyglądała inaczej, gdy była przebrana za chłopca i nikt nie znał jej sekretu. Teraz jednak siedziała w obecności tego eleganta, mając na sobie zbyt szerokie spodnie i koszulę, której brakowało u góry dwóch guzików. Owinęła się ciaśniej, zarzucając sobie w duchu własną głupotę. Nie czas teraz martwić się wyglądem.

- Nie bądź taka pewna! Wolę usłyszeć tę historię od was samych, w przeciwnym razie polecę Samowi, żeby zasięgnął języka.

- Zrobi to na pewno z wielką przyjemnością - krzyknęła z goryczą. - Uważa nas za zwyczajnych obwiesiów i włóczęgów.

- Możesz dowieść, że nie ma racji. Dlaczego mi nie ufasz?

Prudence milczała. Dan patrzył na nią błagalnym wzrokiem, lecz ona pozostawała nieugięta.

- No cóż... - Lord podszedł do dzwonka u drzwi. - Sam dowie się, skąd przybyliście. Nie zajmie mu to dużo czasu, ponieważ odbywaliście tę drogę na piechotę, a on pojedzie konno.

- Prudy, proszę cię, powiedz mu! - Dan trząsał się na całym ciele. - Nie chcę znowu być zamknięty z trupem!

- Czy ja dobrze słyszę? - Lord odwrócił się, trzymając już rękę na sznurze dzwonka.

- Tak, panie, i właśnie dlatego stamtąd już wcześniej uciekaliśmy. To była kara...

- Nie do wiary! - krzyknął z widocznym oburzeniem lord. - Kim byli ci ludzie?

- Zarządca tkalni i jego żona. Oni opiekują się terminatorami.

- Gdzie?

- W tkalni.

- Jak się tam znaleźliście?

Prudence popatrzyła na niego z rezygnacją. Wiedział już wystarczająco dużo, żeby odesłać ich tam, gdzie czekała na nich praca ponad siły i żadnej nadziei na lepszy los. Większość zakładów przemysłowych znajdowała się dalej na północ. Nie będzie trudno odnaleźć tę tkalnię w Cheshire.

- Jesteśmy sierotami - wyznała ponuro. - Miejskowa opieka społeczna wysłała nas do tkalni.

Przyglądał się jej bacznie swymi ciemnymi oczyma i w jego wzroku było coś takiego, iż pomyślała, że da się go uprosić.

- Jego Lordowska Mość nas nie odeśle, prawda? - powiedziała błagalnym tonem. - Niech się pan nie przejmuj naszym losem. Znajdziemy na pewno jakąś pracę na południu Anglii. Wszystko będzie lepsze od życia, które tam pędziliśmy.

- Wierzę ci. - Zaczął chodzić wielkimi krokami po pokoju. - Co mam z wami zrobić? W tkalni mieliście zapewnione jedzenie i schronienie...

- Jedzenie dawali nam okropne - odezwał się Dan. - W chlebie były robaki, a mleko mieszano z kredą, mąką i wodą.

Lord usiadł ponownie i Prudence zauważyła, iż twarz mu stężała.

- Mówcie dalej - rozkazał nagle. - Jak dużo jest tam takich jak wy?

- Czasami około stu, ale niektórzy są chorzy i nie mogą pracować. Któregoś razu pas transmisyjny przygniół mi palce. - Dan podniósł prawą rękę, aby pokazać, że nie ma czubka na jednym z nich.

- Pas transmisyjny?

- To część maszyny tkackiej - wyjaśniła Prudence. - Praca przy nim dla najmłodszych dzieci jest bardzo niebezpieczna, bo czasami zasypiają. Męczy je duchota i unoszący się wszędzie pył. Zdarza się, że mdleją.

- I co się wtedy dzieje?

- Wywlekane są na zewnątrz i inne dzieci zajmują ich miejsce. Pracowaliśmy od szóstej rano do siódmej wieczór. Nie odeśle nas pan tam z powrotem?

Twarz lorda niespodzianie rozjaśnił ciepły, życzliwy uśmiech. Dziewczyna po raz kolejny odczuła jego niezwykły urok.

- Z pewnością nie zrobię tego - odpowiedział. - Odbędziecie dalszą podróż ze mną. Jadę do Canterbury.

- Gdzie to jest?

- W hrabstwie Kent.

Prudence patrzyła na niego zaskoczona.

- Chyba nie zamierza pan zabrać nas z sobą aż tak daleko?

- A dlaczego nie? Czy mam was tu zostawić, żebyście znów wpadli w ich ręce? Niewykluczone, że już zaniechano pościgu za wami.

- To by znaczyło, że nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo.

Lord zrobił zdziwioną minę.

- Tak uważasz? Czy niczego nie nauczyły cię zdobyte już doświadczenia?

- Nie wiem, co ma pan na myśli. Westchnął.

- Sądziłem, że to oczywiste. Ile czasu zajmie wam podróż przez całą Anglię i z czego będziecie żyć? Przyznaj, że głodowaliście, kiedy was spotkałem.

Nie miało sensu zaprzeczać. Wiedziała, że lord ma rację.

- I druga sprawa. Przypuśćmy, że natknęlibyście się na tych żebraków i w pobliżu nie byłoby nikogo innego. Co wtedy?

- Nie mamy przecież nic, co miałyby jakkolwiek wartość.

- Mylisz się. Szybko odkryliby twój sekret. Jesteś młoda i na tyle ładna, żeby skusić...

- Jakiegoś złodzieja? - burknęła opryskliwie.

- Coś w tym rodzaju... każdego łotra bez zasad, któremu nie dałabyś rady. W najlepszym wypadku kazaliby wam dla nich żebrać, a w najgorszym... czy mam mówić dalej?

Prudence zaczerwieniła się aż po korzonki włosów, lecz on nie zauważył tego i odwrócił się do Dana.

- Co powiesz na jazdę ze mną w powozie?

- Wspaniale! - padła natychmiastowa odpowiedź. - Nie złość się, Prudy. Nie ujdiesz daleko bez butów, przecież wiesz.

- Ja też tak uważam i mam nadzieję, że Prudence nie będzie się już... złościć. Pociągnij za sznur dzwonka, Danie. Każę Samowi zaprzęgać konie.

Dziewczyna wciąż jednak nie była przekonana.

- Nawet nie znamy pańskiego nazwiska... - powiedziała z wahaniem.

- Oburzające niedopatrzenie z mojej strony. Proszę o wybaczenie. Jestem Sebastian Wentworth...

- Lord Wentworth?

- Do pani usług, panno Prudence. - Skłonił się. - Nie lubię pośpiechu, ale tym razem myślę, że jest to konieczne. - Uśmiechnął się. - Jeśli zaraz nie ruszymy, od narzekań Sama spuchnie mi głowa.

- Dlaczego? - spytał zaintrygowany Dan.

- Będzie lamentował, że narażam się władzom, ponieważ pomagam uciekinierom.

- Ale przecież on tego nie wie.

- To prawda, więc musimy wymyślić dla niego jakąś historyjkę. To zadanie zostawimy Prudence. Wydaje mi się, że ma do tego talent. Gdzie podziewa się Sam? - Lord wyszedł na poszukiwanie swego lokaja.

- Sam jest na dole, na podwórzu - oznajmił Dan. Podbiegł do okna. - Nie, tylko nie to... - szepnął przerażony chłopiec.

- Co się stało?!

- Odnaleźli nas. Z Samem rozmawia zarządca Henshaw...

ROZDZIAŁ TRZECI

Prudence chwyciła Dana za rękę. Przerazona pociągnęła go ku drzwiom, ale chłopiec stawiał opór.

- Nie zejść na dół! - krzyknął. - Czy nie możemy się gdzieś ukryć?

- Gdzie? Nie ma tu żadnej kryjówki, a Sam z pewnością nas wyda. Pośpiesz się! Będą tu lada moment. Nasza jedyna szansa to uciec...

Powlokła go za sobą po schodach w dół, gdy nagle ktoś zagroził im drogę.

- Wybieracie się gdzieś? - zapytał uprzejmie Wentworth.

Prudence próbowała go jakoś wyminąć, lecz on zastawił przejście dla służby.

- Nie bądź niemądra - powiedział łagodnie. - Zostańcie tutaj i siedźcie cicho.

Po tych słowach zawrócił, by dołączyć do lokaja, strzepując niewidoczny pyłek z rękawa.

- Samie, zmęczyłem się już czekaniem. Gdzie mój powóz? - usłyszeli jego głos, bardzo wyraźny w przejrzystym powietrzu poranka.

- Proszę o wybaczenie, sir. Zatrzymał mnie ten dżentelmen...

- A mogę wiedzieć, dlaczego? - zapytał chłodno lord.

- Wielmożny panie, szukam dwojga uciekinierów - padła odpowiedź, której towarzyszył unижony ukłon - chłopca i dziewczynę.

- I sądzi pan, że ukrył ich mój lokaj?

Sarkazm zawarty w tym pytaniu wywołał rumieniec na twarzy zarządcy, który mówił dalej:

- Przypuszczałem, że mógł ich widzieć...

- Samie? - Czując na sobie wymowny wzrok pracodawcy, lokaj potrząsnął przecząco głową.

- A pan, sir, nie minął ich przypadkiem na drodze? Chłopiec ma około dwunastu lat i płomiennorude włosy. Dziewczyna ma lat siedemnaście i jest wyższa od niego.

- Samie, czy widzieliśmy kogoś takiego? - spytał obojętnym tonem lord. Dawał jasno do zrozumienia, że ta rozmowa go nudzi.

- Nie sądzę, sir.

- No to wyjaśniliśmy tę sprawę. Zresztą, nie sposób zwracać uwagę na każdego przybłądę. Z daleka uciekli?

- Widziano ich w okolicy pewnego gospodarstwa w hrabstwie Cheshire. Dziewczyna jak zwykle...

- Oszczędź mi tych szczegółów, dobry człowieku. Znajdujemy się obecnie w hrabstwie Derbyshire. Czy zauważył to pan? Zresztą, pańscy podopieczni mogli ulec jakiemuś wypadkowi. Choćby wczoraj, ja sam zostałem napadnięty przez bandę rabusiów...

- To im raczej nie groziło - odrzekł kwaśno zarządca. - Nie mieli nic, co warto byłoby ukraść.

- Żadnych pieniędzy ani jedzenia? Pański optymizm jest zdumiewający. Niewykluczone, że zostali zmuszeni do zebrania dla tamtych. Może poszukałby pan tej bandy złodziei? Nie, niech pan tego nie robi, bo byłoby to niebezpieczne. To zgraja łotrów, gdy pan ich spotka, od razu niech pan wyciąga pistolety.

- Niestety, lordzie, nie mam broni.

- Mój Boże! Podziwiam pańską odwagę. Pański koń i ubranie stanowią łakomy kąsek, nie mówiąc już o sakiewce.

- Nie... pomyślałem o tym. - Zarządca był najwyraźniej zaniepokojony. Rozglądał się podejrzliwie po podwórzu, jakby spodziewał się, że zaraz ukażą się bandyci.

- No cóż, nie mam zamiaru powstrzymywać pana przed wykonywaniem pańskich obowiązków. Jeśli o mnie chodzi, nie chciałbym podróżować samotnie. Gdyby lokaj nie był wtedy ze mną, straciłbym wszystko, co mam przy sobie, a być może również życie... Teraz jednak muszę już jechać. Widzę, że jest pan zdecydowany kontynuować poszukiwania, nie chcemy więc panu przeszkadzać.

- Radzi pan, sir, żeby zaniechał pościgu?

- Niech Bóg broni! Oczywiście, że nie! Decyzja należy do pana, chociaż ja osobiście nie ryzykowałbym mojej skóry dla dwojga zaginionych dzieciaków. Pańskie poczucie obowiązku dobrze o panu świadczy i szczerze panu życzę, by zakończył pan swą misję pomyślnie.

Wyraźnie przestraszony zarządca wsiadł na konia.

- Postąpiłem lekkomyślnie, wyruszając samotnie. Żyjemy w smutnych czasach, kiedy to terminatorzy uciekają od swoich obowiązków i od tych, którzy sprawują nad nimi opiekę.

- Niewdzięcznicy! Wyobrażam sobie, jak trudną ma pan pracę. - Wentworth przytaknął mu uprzejmie i odwrócił się.

- Nie jest tak źle, panie. - W głosie zarządcy zabrzmiała groźba. - W końcu zawsze ich łapiemy. Gdybyśmy pozwolili któremuś z nich uciec, nie mielibyśmy już potem spokoju. Każdego, kto próbuje ucieczki, surowo karzemy, aby odstraszyć innych. Niech tylko ta dziewczyna z piekła rodem dostanie się w moje ręce...! - Na jego twarzy pojawił się wyraz nienawiści.

Gdy zarządca odjechał, Sam spojrzął na swego pracodawcę.

- Już chciałem ich wydać, sir - powiedział z namysłem - nie spodobała mi się jednak mina tego indywiduum.

Wentworth klepnął go po ramieniu.

- Doskonale znasz się na ludziach, Samie. Gdyby było inaczej, ściągnąłbyś na siebie mój wielki gniew. Sprowadź czym prędzej powóz. Powinniśmy już być dawno w drodze, daleko stąd.

- Czy sądzi pan, że on wróci? - Popatrzył za jeźdźcem, który oddalał się z widocznym pośpiechem.

- Wątpię. Przypuszczam, że zatrzyma się dopiero w jakimś bezpiecznym miejscu. A gdyby nawet wrócił, to nic nie zyska, bo nas już tu nie będzie.

Sam spojrzął na niego z nie ukrywanym przerażeniem.

- Chyba nie zamierzasz, panie, zabrać ich z sobą?! Lord dał mu do zrozumienia, że taki jest właśnie jego zamiar.

- Ależ, panie, to są dzieci podległe opiece społecznej i oddane do pracy jako terminatorzy!

- I cóż z tego?

- Złamię pan prawo. - W głosie Sama brzmiała śmiertelna powaga.

- Złe jest to prawo, które skazuje dzieci na niewolnicze życie. No więc, Samie, zaprzęgniesz powóz, czy mam poprosić o to chłopca stajennego?

- Niech nie waży się dotknąć pańskich koni. - Sam, potrząsając głową, odszedł w kierunku stajni.

- Prudy, jesteśmy bezpieczni! - zawołał radośnie Dan i wyskoczył z ukrycia. - Lord Wentworth odprowadził z kwitkiem starego Henshawa. Coraz bardziej go lubię, a ty?

- Wydaje mi się dziwny - odrzekła z namysłem Prudence. - Dlaczego on chce nam pomagać?

- Przejął się tym, co opowiedziałas o tkalni.

- Co on o tym wie? Współczucie nic jeszcze nie znaczy. Gdy się już rozstaniemy, lord szybko o nas zapomni.

- Jeśli zostanę bogaczem, kupię tę tkalnię i wypuszczę ich wszystkich - oznajmił stanowczym tonem Dan.

- W takim razie muszę ci pomóc w zdobyciu fortuny. - Prudence ujęła go za rękę i zeszli razem na podwórze.

Wentworth siadł na koźle i bez przeszkód dotarli w południe do Stamford.

Na początku podróży Dan zajęty był wypatrywaniem zajęcy i lisów. Kiedy mu się to znudziło, zaczął liczyć zauważone na drzewach wrony i sroki.

Dopiero po jakimś czasie zdał sobie sprawę, że Prudy, wbrew swemu zwyczajowi, milczy.

- Co cię martwi? - zapytał. - Chyba lepiej jechać, niż iść piechotą? I powóz jest piękny. - Usadowił się wygodniej na wyściełających ławkę poduszkach, po czym zabrał się do dokładnej lustracji mosiężnych ozdób drzwiczek.

- Nie ruszaj niczego - ostrzegła go Prudence. - Sam wiesz, że czeokolwiek się dotkniesz, natychmiast musisz to zepsuć.

- To dlatego, że lubię wiedzieć, jak wszystko działa - odrzekł urażonym tonem. Po chwili jego twarz rozjaśniła się ponownie. - Jak sądzisz, czy lord zatrzyma się na jakiś posiłek?

Prudence roześmiała się. - Przestań myśleć tylko o swoim żołądku, łakomczuchu.

- Smakował mi wczoraj ten kurczak. Nie jadłem przedtem niczego takiego, a ten placek z malinami mógłbym zjeść cały...

- I prawie ci się to udało. Bałam się, że rozboli cię brzuch.

- Naprawdę? To dlatego jesteś taka smutna?

- Nie, zastanawiam się tylko, co z nami będzie.

- Ty zawsze martwisz się na zapas, Prudy. - Uśmiechnął się do niej z ufnością i ponownie oddał się liczeniu ptaków.

Tymczasem myśli Prudence poszły innym torem. Była wzruszona, że Dan tak w nią wierzył, ale też niepokoiła się tym. Chłopiec był absolutnie pewien, że jego towarzyszka niedoli potrafi pokonać wszelkie trudności, a przecież nie było to prawdą.

Na jej twarzy pojawił się wyraz smutnej zadumy. Gdy przed trzema laty ujrzała tego przestraszonego dziewięcioletniego chłopca, od razu poczuła do niego sympatię. Krępy i niewysokiego wzrostu, wraz innymi pracującymi w tkalni dziećmi zdejmował pełne szpule z wrzecion i zastępował je pustymi.

Była to praca ponad siły małego chłopca, lecz Dan był bardzo dzielny. Nawet wtedy, gdy jego dłoń przyciął pas transmisyjny, nie wydał z siebie najmniejszego jęku.

Wzięła go wówczas pod opiekę, kradła dodatkowe porcje jedzenia i troskliwie pielęgnowała, dopóki rana się nie zagoiła.

Potem posadzono go przy dwóch maszynach, z których każda miała pięćdziesiąt wątków przędzy. Jego zadanie polegało na pilnowaniu wątków i ich powtórny nawijaniu, gdy któryś się zerwał. Nauczył się rozkładać maszyny na części i oliwić. Widać było wyraźnie, że z czasem Dan wyrośnie na świetnego mechanika i Henshaw musiał boleśnie odczuć jego stratę. Zajądło ścigając uciekinierów, chciał nie tylko zapobiec innym ucieczkom, chodziło mu również o to, że chłopiec już teraz był cennym pracownikiem tkalni.

Ona też była coś warta, pomyślała z satysfakcją Prudence. Od pierwszego dnia, gdy się tam pojawiła, zdobyła sobie powszechny autorytet. Wspominając to, uśmiechnęła się do siebie.

- Czy pomyślałaś o czymś wesołym? Opowiedz mi!

- Nic takiego! Zastanawiałam się tylko, czy pan Henshaw zostanie zwolniony, bo nie udało mu się mnie odnaleźć.

- Mam nadzieję, że tak - powiedział Dan. - Mówił, że ty masz des... des...

- Destrukcyjny wpływ? I tak było. Postanowiłam, że nie uda mu się mnie złamać.

- I nie udało się - zapewnił ją Dan. - Cieszę się, że uciekliśmy, a ty?

- Oczywiście. - Była to prawda. Z każdym przebytym kilometrem oddalali się od strasznej przeszłości. Poczuli się podniesiona na duchu. - Spójrz, zbliżamy się do jakiegoś miasta.

- Tam jest jarmark! - Dan wychylił głowę przez okno.

- Na pewno pokazują zapasy niedźwiedzi i walki kogutów...

- Ty krwiożerczy mały potworze! Gdzie o tym słyszałeś?

- Od ludzi w tkalni.

- Nie będzie ci się to podobać - orzekła stanowczo.

- Ani mnie. Zresztą, lord Wentworth nie zatrzyma się tu pewnie na długo.

Pomyliła się. Gdy wjechali do Stamford, powóz stanął przy zajęzdzie „Pod Baranem”. Na ich widok wybiegli stajenni, którym Wentworth rzucił cugle i zeskoczył z kozła.

Zanim Sam zdążył rozstawić schodki, lord otworzył drzwiczki powozu i wyciągnął ręce do Prudence.

- Nie potrzebuję pomocy - oświadczyła z godnością, gdy jednak postawiła nogę na progu, zachwiała się.

Otoczyła ją para silnych ramion.

- Duma nie chroni przed upadkiem - zażartował, wypuszczając ją z objęć.

Choć ten fizyczny kontakt trwał krótko, nie pozostał jednak bez wrażenia. Przez ostatni rok zalecali się do niej mężczyźni z tkalni, ale bijący od nich smród brudu i potu napełniał ją obrzydzeniem.

Wentworth był zupełnie inny. Gdy trzymał ją w ramionach, czuła zapach czystego ciała i mydła, zmieszany z lekką wonią tytoniu. Nie było to przykre, ale pragnęła jak najszybciej się od niego uwolnić. Nie marzyła o bliskości z żadnym mężczyzną. Przeżyte doświadczenie nauczyło ją, że może to być dla niej niebezpieczne.

Spojrzał na nią z dziwnie rozbrajającym uśmiechem. Nie potrafiłaby zgadnąć, o czym myślał w tym momencie. Potem odwrócił się do Dana.

- Głodny? - zapytał.

- O, tak! - padła natychmiastowa odpowiedź. - Czy tutaj także mają placek z malinami?

- Niewykluczone. Wchodzimy do środka? - I ruszył pierwszy do zatłoczonego zajazdu.

- Jaka to radość gościć pana u nas znowu, sir! - powitał go właściciel, prowadząc do wnętrza wśród rozstępujących się podróżnych. - Pańskimi końmi już się zajęto i zostaną odpowiednio oporządzone.

- Tak przypuszczałem, inaczej nie powierzyłbym ich pana opiece. Chciałbym dostać osobny salonik, Briggs, i możliwie jak najszybciej coś do jedzenia. Jest nas troje.

Właściciel skłonił się unizienie.

- Jeszcze jedno - dodał lord. - Czy macie placek z malinami?

- Naturalnie, panie.

- Wobec tego proszę nam przynieść jedną dużą porcję, a może i dwie...

Oczy Dana zabłysły. Pociągnął Wentwortha za rękaw.

- Nie damy rady tyle zjeść - szepnął.

- No to zabierzemy z sobą. Umili ci to drogę do Stevenage.

- Ale ja nie będę głodny, jeśli tu zjemy obiad.

- Wybacz, ale ci nie uwierzę. - Wentworth podążył za właścicielem do pokoju na górze, a za nim poszli jego towarzysze.

Wszystkim posiłek bardzo smakował. Dan, oparłszy się wygodnie, westchnął.

- Czy daleko stąd do Stevenage? - zapytał.

- Dość daleko, ale dojedziemy do tego miasta przed zapadnięciem zmroku. Dlaczego pytasz?

- Czy nie zauważyłeś, panie, że odbywa się tu jarmark i że przyjechało mnóstwo ludzi?

- Danie, jarmark nie interesuje lorda Wentwortha - skarciła go Prudence.

- Bo ja wiem... - Wentworth przyglądał się jej spod oka. - Właśnie nad czymś się zastanawiałem.

Czy miałas do czynienia z igłą?

- Potrafię szyc - odrzekła chłodnym tonem.

- Są tam chyba kramarze, którzy sprzedają materiały, wstążki, nici i igły. Mogłabyś sobie uszyć sukienkę.

- Nie mam żadnych pieniędzy, panie.

- To bez znaczenia - odrzekł. - Posłuchaj! To będzie pożyczka. Kiedy znajdziesz pracę, zwrócisz mi ją. - Patrzył na nią, świadom jej uczuć. - Nie mam żadnych innych powodów, jeśli tego się lekasz.

- Już zbyt wiele panu zawdzięczamy. Nie mogę...

- Nalegam. Nie jest ci chyba wygodnie w tym stroju, no i przypomina mi on o moim postępku.

Ujrzała błysk rozbawienia w jego oczach i poczuła ogarniającą ją złość. Najchętniej nie przyjęłaby jego propozycji. Jego postępek, myślałby kto! Nic nie jest w stanie zachwiać jego pewności siebie.

Z drugiej strony nie ma sensu, żeby robiła samej sobie na złość. Obcisłe spodnie ją uwierały i przy dłuższym noszeniu będzie miała boleśnie obtarte uda.

- Tylko pod warunkiem, że będzie to pożyczka... - wydusiła z siebie zgodę i zarazem spóźnione podziękowanie za propozycję.

- Doskonale. No to idziemy do miasta. Myślę, że wystarczy nam pół godziny.

Dan nie posiadał się z radości. Pół godziny to lepsze niż nic. Zobaczy niedźwiedzia. Nie mógł ukryć niecierpliwości, gdy Prudence robiła zakupy, ale w końcu spełniło się jego marzenie. Stał w pierwszym rzędzie i oglądał paradujące przed gapiami potężne zwierzę.

- Chodźmy już! - Prudence usiłowała wyciągnąć go z tłumu popychających się nawzajem ludzi. Słyszała o psach rozszarpywanych na kawałki przez straszne pazury tych zwierząt i aż zadrżała z obrzydzenia.

- Ale, Prudy, ten niedźwiedź będzie zaraz tańczył! - Spojrzał na nią tak błagalnie, że jej serce natychmiast zmiażdżyło. Ostatecznie psów nie było widać, a zwierzęta wydawały się dobrze wytresowane. Na jej twarzy pojawił się wyraz odprężenia.

- Zadowolona? - zapytał Wentworth na pozór obojętnie. - Ten niedźwiedź jest źródłem utrzymania dla jego właściciela. Czego się obawiałaś?

- Myślałam, że są tresowane do walki.

- Na szczęście, ten nie. Walki zwierząt to zwyczajne barbarzyństwo i nie pozwoliłbym, by Dan przyglądał się tym okrutnym zapasom.

Prudence spojrzała na długie, zakrzywione pazury niedźwiedzia.

- Potrzebują ich do obrony - szepnęła. - A ten łańcuch, do którego go przykuli, to okropny widok.

Wentworth popatrzył na nią ciemnymi oczyma, a potem wszedł w cizbę i wy dostał stamtąd Dana.

- Chodź, zobaczysz jeszcze kuglarza. Musimy niedługo odjeżdżać. - Rozejrzał się po straganach stojących po obu stronach ulicy. Poprowadził Prudence na drugą stronę, gdzie szewc siedział przy swoim warsztacie.

- Czy znajdzie się coś pasującego na tego młodzieńca? Zgubił swoje buty.

- Ci młodzi! - Szewc pokiwał głową, przyglądając się bosym stopom Prudence.

Dziewczyna zawstydziała się. Spacer po jarmarku zniszczył skarpety i z dziur wystawały palce.

- Buty, które mam, będą za duże na chłopaka - powiedział z rozczarowaniem szewc, widząc, iż traci okazję zarobku.

- A te? - Wentworth wyciągnął parę pantofelków z miękkiej skóry.

- To są pantofle dla damy, Wasza Wysokość.

- Nie szkodzi, chłopak ma pęcherze na piętach. - Nakazał Prudence gestem, by je zmierzyła. Kiedy zaś potwierdziła, że pasują, zapłacił żadaną cenę, choć zdawał sobie sprawę, że były warte dwa razy mniej.

- To bardzo drogie buty, sir - próbowała protestować zaskoczona Prudence. - Nie mogę ich przyjąć.

- Masz bose stopy - powiedział Wentworth - czy chcesz ryzykować, że zrobi ci się zakażenie?

Na to nie miała żadnych argumentów. Wzięła za rękę Dana i poszli za lordem do zajazdu. Ponieważ szedł długimi krokami, trudno im było za nim nadążyć. Wyglądało na to, że bardzo się spieszył.

Sam czekał na podwórzu. Na jego pytające spojrzenie, lord odrzekł:

- Zaprzęgaj. Załatwię, co trzeba, i odjeżdżamy. Wszedł do zajazdu głównymi drzwiami, zostawiając Prudence i Dana stojących przed wejściem na zatłoczonym dziedzińcu.

Prudence przyciskała do piersi zakupy, przyglądając się hałaśliwemu tłumowi podróżnych. Z pozoru wydawało się, że nad wszystkim góruje pośpiech i zamieszanie, ale służba dobrze wiedziała, co robić. Kiedy na dziedziniec wjeżdżały jeden po drugim powozy, pasażerom przynoszono kubki pełne gorącego ponczu i jednocześnie zmieniano konie z szybkością, która zadziwiła Prudence. Nie ulegało wątpliwości, że zajazd „Pod Baranem” zasługiwał na dobrą reputację.

W tym momencie Prudence ujrzała Sama. Prowadził cztery nadzwyczajnej piękności konie, jakich nigdy dotąd nie widziała. Wspaniałe gniadosze przyciągały wzrok, zewsząd dochodziły okrzyki zachwyty.

- Dan, popatrz! - zawołała. Zaskoczona, nie usłyszała żadnej odpowiedzi.

- Dan? - zawołała ogarnięta strachem, nigdzie nie widząc śladu chłopca.

- Jestem tutaj... - Dan gramolił się spod powozu lorda. Na jego policzku widniała smuga smaru, a ubranie miało mocno zakurzone.

- Do licha z tym chłopakiem! - krzyknął Sam. - Wylaż stamtąd.

- Chciałem zobaczyć, jak jest skonstruowany ten powóz. - Dan uśmiechnął się do niego promiennie. - Tak równo jedzie... Pomyślałem, że musi mieć w jakiś specjalny sposób zawieszony resory.

Ten szczery podziw ułagodził nieco Sama.

- Lord sam je projektował. Są wyjątkowo dobre.

- To widać. - Dan stanął obok niego. - A te konie? Czy są to rasowe konie pełnej krwi?

- Nie, są to czystej krwi araby*¹. Rozejrzyj się dokoła, chłopcze! Dostrzeżesz od razu różnicę między nimi a resztą koni na tym dziedzińcu.

- Gawędzicie na twój ulubiony temat, Samie? - Wentworth właśnie wyszedł z zajazdu. Zdziwił się bardzo, widząc Dana rozmawiającego z lokajem, ale powstrzymał się od komentarzy. Pomógł Prudence wsiąść do powozu i ułożył na siedzeniu jej zakupy. Potem spojrzał pytająco w stronę chłopca.

- Dan zachwyca się pana końmi - wyjaśniła. - Wszedł pod powóz, żeby obejrzeć go od spodu. Proszę się na niego za to nie gniewać.

- Po co to zrobił?

- Lubi wiedzieć, jak działają różne mechanizmy.

- Rozumiem. Jak myślisz, czy będzie chciał jechać jakąś godzinę na koźle, obok Sama?

- Nawet nie warto pytać. - Była najwyraźniej odprężona. - Proszę go nie rozpieszczać, bo się stanie niemożliwy do zniesienia.

- Nie boję się o Dana ani o jego przyszłość. Każdy, kto potrafi zyskać przyjaźń Sama po upływie pół dnia, zajdzie daleko.

Podsadził Dana na kozioł i wsiadł do środka.

- Pan nie będzie powoził, sir? - Prudence przeraziła się perspektywą jazdy sam na sam z tym wytwornym lordem.

- Na razie nie, chyba że masz coś przeciwko mojemu towarzystwu. - W jego oczach pojawił się zartobliwy błysk i zmieszana Prudence odwróciła wzrok. Miał przedziwną umiejętność czytania w jej myślach. - Możesz je poluzować, Samie - zawołał.

- Co to znaczy? - zdziwiła się Prudence. - Nie słyszałam przedtem takiego polecenia. - Szukała jakiegokolwiek tematu do rozmowy, aby odwrócić uwagę Wentwortha od siebie.

- To znaczy, że Sam popuści koniom cugli. Są wypoczęte i potrzebują ruchu.

- Będzie to więc szybka jazda?

- Oczywiście. Mam nadzieję, że się nie boisz? - Spojrzał na nią uważnie. - Musimy dojechać do Stevenage przed zapadnięciem zmroku.

- Dlaczego?

- Chciałbym tam spędzić noc. Potem ruszymy do Londynu.

- Mówił pan, że jedzie do Kent - zdziwiła się Prudence.

- To najlepsza trasa. Głównymi drogami jedzie się szybciej niż lokalnymi. Kiedy przekroczymy Tamizę, wjedziemy na doskonałą drogę prowadzącą na południe kraju.

Skinęła głową uspokojona wyjaśnieniem i zaczęła wyglądać przez okno. Jej towarzysz jednak miał najwyraźniej ochotę na kontynuowanie pogawędki.

- Czy zechciałabyś mi powiedzieć coś więcej o was? - poprosił.

- Nie mam nic więcej do dodania - padła ostrożna odpowiedź. - Jak już wcześniej wspominałam,

1* Rozróżnia się dwie podstawowe rasy koni: konie „czystej krwi” rasy arabskiej i „pełnej krwi” rasy angielskiej (przyp. red.).

Dan i ja jesteśmy sierotami wysłanymi przez parafialną opiekę społeczną do pracy w tkalni.

- Nic nie wiesz o waszym pochodzeniu?

- Powiedziano mi, że zostałam znaleziona w koszyku na schodach kościoła.

- A Dan?

- Kiedy miał pięć lat, jego rodzice zmarli na ospę. Nikt nie chciał wejść do ich domu. Spędził trzy dni przy ich zwłokach, zanim go stamtąd zabrano.

- Mój Boże! Aż dziw, że jest normalny.

- Przez długi czas miał koszmarne sny. Wróciły ponownie, kiedy zarządca zamknął go w pokoju z trupem.

- Nie ma wybaczenia za coś takiego! - Wentworth zbladł, a jego oczy zabłyśły gniewem. - Byłaś tam z nim?

Patrzyła na niego z nie ukrywanym zdziwieniem.

- Oczywiście, że nie! Nikt by na to nie pozwolił. Mnie zamknęli w spiżarni. Rozmawialiśmy przez drzwi. Dan płakał, a ja tłumaczyłam mu, że skoro ten człowiek nie zrobił nam krzywdy za życia, to tym bardziej nie może tego uczynić po śmierci.

Niechętnie wspominała ten straszny incydent. Był zresztą jednym z wielu, jakie przeżyli w sierocińcu i w tkalni.

- To nieprawdopodobna historia... przerażenie ogarnia, gdy się o tym słucha. Nie miałem pojęcia, że takie rzeczy mogą w ogóle się zdarzyć.

- Wcale mnie to nie zaskakuje - odrzekła wprost Prudence. - Czy był pan, sir, kiedyś w tkalni? - Znała z góry jego odpowiedź.

- Nie, nie miałem okazji. - Milczał przez jakiś czas. - Muszę przyznać, że wykazaliście się odwagą, decydując się ponownie na ucieczkę.

- Nie miałam wyboru. Kiedy dziewczęta w tkalni dochodzą do pewnego wieku, mężczyźni... na wiele sobie wobec nich pozwalają. - Odwróciła głowę, żeby uniknąć jego wzroku.

- Co na to zarządca? Przecież byłaś pod jego opieką? Musiał chyba wiedzieć, co się dzieje?

- Naturalnie, że wiedział! - Ton Prudence wyrażał pogardę. - Musi pan jednak zrozumieć, że im więcej bękartów, tym więcej darmowych pracowników dla tkalni. On się w to nie wtrącał i dlatego coraz trudniej było mi się bronić...

- Ale udało ci się?

- O, tak. Najgorszy był majster. Któregoś razu rąbnęłam go kamieniem i wtedy uciekliśmy.

- Widać więc, że jesteś groźnym przeciwnikiem - powiedział zaskoczony i jednocześnie rozbawiony Wentworth. - Rozsądne wyjście z sytuacji!

- Też tak myślałam, lecz teraz nie jestem taka pewna. Powinnam była uciec sama. Gdybyśmy nie spotkali pana, Dan umarłby z głodu.

- Nie ma o tym już mowy, zapewniam cię. Jeśli się nie mylę, w tej właśnie chwili znika placek z malinami.

Prudence uśmiechnęła się do niego sennie. W powozie było ciepło i poczuła się bardzo śpiąca.

- Nie podziękowałam panu jak należy.

- Za co?

- Za to, że pan nas nie wydał, i za moje prześliczne buty. - Wyciągnęła przed siebie nogi i przyglądała się im z zadowoleniem. - Nigdy nie nosiłam niczego tak wspaniałego.

Przysunęła bliżej zawiniątko z zakupami. Dziś wieczór uszyje sobie suknię z jasnoblękitnego batystu kupionego na jarmarku. Był najlepszy z tych, które oferował kramarz. Mogłaby wybrać coś tańszego, ale Wentworthowi spodobał się ten błękitny kupon materiału.

Patrząc na dziewczynę, która siedziała naprzeciw niego i zasypiała z pochyloną głową, lord dziwił się uczuciu, jakie w nim budziła. Skory do współczucia, głęboko wzruszył się jej opowieścią. Było jednak w niej jeszcze coś intrygującego. Ta mała osóbką, w śmiesznym ubraniu, miała w sobie wielkie poczucie godności.

Zachowywała się sztywno i niezgrabnie jak chłopiec, a krótko przycięte włosy oraz zarys twarzy powiększały to podobieństwo. Niespodziewanie jednak zdradzały ją kobiece odruchy, jak radość z nowych butów i z kawałka niebieskiego materiału.

Przyglądał się jej twarzy spod półprzymkniętych powiek. Prudence nie była ładną dziewczyną. Miała za duże usta i piegi na nosie. Pod czarnymi brwiami świeciły jednak pięknie wykrojone i ogromne piwne oczy, które upodobiały ją do młodej sarenki. Jednocześnie twarz dziewczyny zdradzała niewątpliwie silną wolę i przyciągała uwagę. Niezwykła z niej osóbką, zdecydował w myślach.

Tymczasem Prudence, nieświadoma tych oględzin, spała smacznie.

Gdy się obudziła, stwierdziła, że powóz zatrzymał się, a Dan szarpie ją za ramię.

- Czy jesteśmy już w Stevenage? - zapytała. - Myślałam, że to potrwa dłużej.

- Ależ skąd, głuptasie! Śpisz tak od kilku godzin. Lord Wentworth sądzi, że możesz zechcesz się czegoś napić. - Podał jej szklanekę z lemoniadą.

Prudence sączyła odświeżający napój, a Danowi nie zamykały się usta.

- Szkoda, że nie widziałas, jak lord Wentworth powoził! Jest członkiem Klubu Czterokonnych Zaprzęgów i prowadzi wprost idealnie! Sam twierdzi, że nikt mu nie dorównuje. Jego konie chodzą wspaniale.

Prudence rozbawił ten koński żargon. Był to bez wątpienia wpływ Sama.

- I lord jest bardzo bogaty. Sam mówi, że ma zaprzęgi wzdłuż całej Wielkiej Drogi Północnej, na wszystkich stacjach pocztowych.

- Sam mówi? - zapytała żartobliwie. - Czy już został twoim najlepszym przyjacielem?

- No nie, ty jesteś moim najlepszym przyjacielem, ale Sam tyle wie. Przyrzekł, że kiedy będzie miał czas, pokaże mi, jak ten powóz jest resorowany. - Poinformowawszy ją o tym, zniknął, gdyż zawołano go, aby ponownie zajął miejsce na koźle.

Kiedy powóz nabrał szybkości, Prudence pogrążyła się w zadumie. Powinna pomyśleć o przyszłości. Po dotarciu do Canterbury lord zostawi ich samych i wtedy ona i Dan będą musieli czym prędzej znaleźć sobie jakieś zajęcie. Jeśli to miasto jest duże, popyta w zajazdach.

Nie miała doświadczenia w tego rodzaju pracy, to prawda, ale mogła nająć się do zmywania naczyń i podawać do stołu, a Dan świetnie sobie poradzi jako pomocnik karczmarza.

Przypomniała sobie hałaśliwą bieganinę w zajęzdzie „Pod Baranem” i nieco podupała na duchu. Nie wyglądało to zachęcająco, ale przecież nie mogło być gorzej niż w tkalni i nie będzie trwać długo, pocieszała samą siebie.

Dotknęła ręką małej broszki, którą nosiła przypiętą do koszuli, pod kurtką. Był to bardzo nikły ślad, lecz zarazem jedyna nadzieja na odnalezienie tych, którzy ją porzucili.

Setki razy zastanawiała się, dlaczego ukryto tę broszkę w powijakach, którymi była okryta. Czy był to ostatni rozpaczliwy gest, który miał pomóc porzuconemu dziecku w odkryciu jego pochodzenia? Może nieszczęsna matka miała nadzieję, że w przyszłości jej córeczka rozpocznie na własną rękę poszukiwania?

Na twarzy Prudence pojawił się wyraz niechęci. W jej sercu nie było czułości dla kobiety, która porzuciła swoje tygodniowe dziecko na łaskę obcych ludzi. W najlepszym wypadku skazywała je na niepewną przyszłość. W najgorszym, że umrze w ten zimny marcowy dzień. Śmierć podrzutków nie była niczym nadzwyczajnym.

Prudence jednak przeżyła, głównie dzięki sile woli. To ona pozwoliła jej przetrwać długie lata poniewierki, bicia, nędznego pożywienia i nieustającej harówki.

Podczas północnych wiatrów drżała z zimna na lodowatym poddaszu, które dzieliła z dwudziestoma innymi dziewczętami. Wszystkie spały ubrane, żeby ochronić się przed przeciągami, bo jeden cienki koc zupełnie nie wystarczał.

Latem na poddaszu, pod rozpalonym od słońca dachem, panowała straszliwa duchota. Powietrze w tkalni też było trudne do zniesienia. Dzieci mdlały, często zdarzały się wypadki.

Zamknęła oczy, jakby chcąc wyrzucić z pamięci obrazy tych strasznych miejsc. Kruche ciała dzieci tak łatwo miażdżone były przez maszyny.

Przez te wszystkie lata nigdy nie mogła pozbyć się uczucia gniewu. Pastor mówił, że nie można żywić się nienawiścią. Nie tylko grzeszyła w ten sposób, ale i niszczyła samą siebie. Przeszył ją dreszcz. Znacznie gorzej byłoby, gdyby dała się złamać. Postanowiła, że nigdy do tego nie dopuści.

Raz jeden miała szczęście. Ponieważ żadne wysiłki wychowawcze nie odnosiły skutku, odesłano ją na plebanię, gdzie miano nastraszyć ją ogniem piekielnym, jeśli nadal będzie się buntować.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Ku jej zaskoczeniu stary pastor okazał się dla niej miły, choć stanęła przed nim z ponurą miną i hardo podniesioną głową.

Rozmawiał z nią, nie tracąc cierpliwości, nie był jednak w stanie zmienić jej przeznaczenia. Nie powtarzał też pobożnych przykazań, które wisiały na każdej ścianie na poddaszu i w tkalni. Kiedyś w złości zdarła je ze ścian, mówiąc, że nie wierzy, aby Bóg był litościwy. Tego dnia wał tkacki zmiażdżył kolegę Dana.

Puszczając mimo uszu opinię Henshawa, że Prudence jest wysłannikiem diabła, stary pastor prowadził z nią poważną dyskusję. Próbował ją przekonać, że Bóg kładzie ciężary tylko na barki tych, którzy są w stanie je nosić.

- To nieprawda! - zaprotestowała buntowniczo. - Dlaczego Mag Wilkins wołała się zabić, niż donosić dziecko majstra?

Czym prędzej zmienił temat, uważając, że nie był odpowiedni dla tak młodej dziewczyny.

- Czy możesz mi wyznać, co cię tak dręczy? - zapytał.

- Ojciec, to ty znalazłeś mnie pod kościołem. Czy nie było przy mnie niczego, co świadczyłoby w jakiś sposób o moim pochodzeniu?

Staruszek zawahał się.

- Była broszka. Przechowałem ją dla ciebie. Znaleźliśmy ją w twoich powijakach. - Otworzył szufladę biurka i podał jej klejnot.

Niewielki medalionik połyskiwał w blasku świecy, gdy Prudence obracała go w ręce. Z tyłu miał zameczek i był dość ciężki.

- Z czego to jest zrobione? - zapytała, gdyż nigdy przedtem nie widziała niczego podobnego.

- Ze złota, moje dziecko. Musisz bardzo tego pilnować. Może wołałabyś, żeby broszka została u mnie?

Prudence zacisnęła klejnot w dłoni.

- Sama będę jej pilnować. Czy było coś jeszcze?

- Na dnie koszyka leżał kawałek gazety - odparł i urwał, niepewny, czy ma mówić dalej, ale nie mogąc oprzeć się jej błagalnemu spojrzeniu, dodał: - Była drukowana w hrabstwie Kent.

Widząc błysk nadziei w jej oczach, ze smutkiem potrząsnął głową.

- Prudence, nie ludź się, że odnajdziesz rodzinę. Nie powinienem był ci mówić tego wszystkiego, ale masz prawo to wiedzieć.

Dziewczyna uważnie przyglądała się medalionowi.

- Tu jest coś wygrawerowane - szepnęła. - Co oznacza to zwierzę?

- To jest jakiś symbol heraldyczny, lecz nie znam się zupełnie na tych rzeczach. Proszę cię, nie myśl już o tym więcej.

Kiedy odpowiedziała hardym spojrzeniem, pastor westchnął:

- Uparta jak zawsze! Zapamiętaj jednak, że jeśli ktoś porzucił dziecko, zrobił to z ważnej przyczyny. Załóżmy, że odnajdziesz swoich naturalnych rodziców... Może się zdarzyć, że nie przyjmą cię z otwartymi ramionami. Nie zważając na jej pełen gorzki uśmiech, mówił dalej:

- Mężczyźni i kobiety pobierają się... bękart, to znaczy dziecko wcześniej urodzone, bywa niekiedy kłopotliwe.

Prudence wciąż milczała.

- Szczęście zależy od nas samych - tłumaczył pastor cichym głosem. - Jeśli się będziesz bardzo starać, znajdziesz w końcu spokój ducha. Wyjdiesz kiedyś za mąż i będziesz miała własne dzieci...

Potrząsnęła stanowczo głową.

- Nie wyjdę za mąż... w każdym razie nie tutaj. Żadne moje dziecko nie będzie zmuszane do pracy w tkalni.

Pastor położył rękę na jej głowie. Pocieszał ją, jak umiał najlepiej, ale ta wątła dziewczyna miała niezwykłą siłę woli.

- Pomyśl o wierzbach - powiedział na koniec. - Przy silnym wietrze gną się na wszystkie strony, ale się nie łamią. Naucz się i ty, że czasem warto się trochę ugiąć.

- Spróbuję. - Prudence była mu wdzięczna za wyrozumiałość, nadal jednak gorąco pragnęła odkryć tajemnicę swego pochodzenia. - Dziękuję ci, ojcze, za to, że jesteś dla mnie taki dobry.

Odesłał ją wtedy, ale o niej nie zapomniał. Od tej pory Prudence odwiedzała pastora przy każdej nadarzającej się okazji i zachowała dla niego wdzięczność za wysiłek, jaki włożył w jej wychowanie.

Prowadził z nią wielogodzinne rozmowy, pożyczał książki, nauczył ładnie i prawidłowo pisać. Pod jego wpływem zmienił się jej sposób bycia, mając zaś dobry słuch, szybko zorientowała się, że twardy północny dialekt, którym mówiono w tkalni, nie był akceptowany w lepszych sferach. Nauczyła się przy nim mówić tak jak on, ale nie zdradzała się z tą umiejętnością.

Bardzo żałowała, że wyruszyli z Danem bez błogosławieństwa pastora. Martwiła się tym, ale nic na to nie mogła poradzić. Prawdopodobnie próbowaliby ich zatrzymać.

Modliła się w duchu, żeby przypadkiem nie wspomniał zarządcy o Kent, choć przypuszczała, że zaniechano już pościgu.

Trzeba zapomnieć o dawnych obawach. Nie ma sensu szukać dodatkowych problemów. Spotkanie z lordem Wentworthem było cudownym zrządzeniem losu.

Teraz z pewnością bez dalszych komplikacji dotrą do Kent. Gdyby szli zdani tylko na siebie, minęłyby całe tygodnie, zanim znaleźliby się na południowym wybrzeżu, o ile w ogóle by tam dotarli.

Nawet dzisiaj, mimo iż siedziała w wygodnym powozie, wydawało się jej, że podróż ta nie ma końca. Z braku ruchu zeszytniała i bała się, że przyciasne spodnie obetrą jej uda. Kiedy dojadą do Stevenage, musi czym prędzej uszyć sobie suknię.

Gdy dotarli na miejsce przeznaczenia, okazało się, ku jej wielkiej radości, że ma osobny pokój. Szybko rozpakowała zawiniątko z zakupami i rozłożyła materiał na dywanie. Wystarczy jeden szew, potem przyszyje u góry wstążkę do ściągania spódnicy w pasie.

W tym momencie uświadomiła sobie, że nie ma nożyczek. Pośle Dana do lorda Wentwortha z prośbą o ich pożyczenie. Otworzyła drzwi, ale nie znalazła chłopca. Bez wątpienia był z Samem.

Wyrzała przez okno i dostrzegła, że obaj stoją obok powozu. Dan nie reagował na dawane mu znaki.

Nie było rady, musiała iść sama.

W korytarzu spotkała pokojówkę, która pokazała jej, gdzie znajduje się pokój lorda. Zapukała do drzwi i słysząc niewyraźne zaproszenie, weszła do środka.

Przerażona zobaczyła, że lord był na wpół ubrany. Nagi do pasa, mył głowę w porcelanowej misce napełnionej wodą.

Zaczęła czym prędzej się wycofywać, oszołomiona widokiem muskularnego torsu. Lord miał smukłe ciało, z szerokimi ramionami, wąską talią i widocznymi pod opaloną skórą mięśniami.

Zmieszana zawróciła do drzwi, chcąc jak najprędzej się wymknąć, zanim jej obecność zostanie zauważona. Nagle lord się odezwał:

- Już skończyłem, Samie. Możesz opłukać mi głowę. - Wskazał ręką na dzbanek z gorącą wodą.

Prudence bez słowa chwyciła naczynie i wylała jego zawartość na czarne loki lorda.

- Podaj mi ręcznik! Pośpiesz się, człowieku! - Wyciągnął rękę i szukał go po omacku.

Prudence wcisnęła mu ręcznik w otwartą dłoń, a wtedy Wentworth, poczuwszy dotyk jej palców, znieruchomiał. Po sekundzie jednak chwycił silnie jej dłoń i odgarnął włosy z oczu.

- Co ty tu robisz? - zapytał szorstko. - Czyżbym się pomylił co do ciebie? Czy chciałaś mnie okraść, korzystając z tego, że jestem odwrócony?

Prudence, mimo iż się wystraszyła, miała ochotę go uderzyć. Jego zimne spojrzenie napełniało ją prawdziwym przerażeniem.

Pobladła, starała się ze wszystkich sił nie zdradzić, jak bardzo się go boi.

- Myli się pan - odrzekła lodowatym tonem. - Przyszłam, żeby prosić pana o pożyczenie nożyczek.

Przyglądał się jej badawczo jeszcze długą chwilę, po czym puścił jej rękę.

- Czy całkiem straciłaś rozum? - zapytał ochrypłym głosem. - Mogłaś przysłać Dana.

- Nie ma go w pobliżu. Jest z Samem. - Chciało jej się płakać z wściekłości. - Przepraszam, że wtargnęłam do pańskiego pokoju. Przekonałam się przy okazji, że pan nam nie ufa. Wobec tego dalej będziemy podróżować sami.

- Nie bądź niemądra! - Wentworth wkładał ręce w rękawy koszuli. - Jestem gotów cię przeprosić. Poczekaj... - Sięgnął do torby i wyjął z niej nożyczki.

- Proszę je sobie zatrzymać! - krzyknęła. - Niech pan zabiera także materiał i buty! - Szybko zsunęła je z nóg i stanęła przed nim bosa.

- Mój Boże! Ależ jesteś w gorącej wodzie kąpana! Dziwię się, że udało ci się tak długo przeżyć. Czy ktoś ci kiedyś dał po uszach?

- Nieraz, sir, ale zawsze odpłacałam tym samym.

- Grozisz mi? Nie próbuj swoich sił na mnie! Ostrzegam cię, nie zwykłem odrzucać wyzwania.

- Najlepiej będzie, jeśli pana opuszczę. Nikt nie będzie nazywać mnie złodziejką. - Jej oczy błyskały gniewem.

- Cierpisz z powodu urażonej dumy? - Wentworth włożył piękny czerwony szlafrok. - Przeprosiłem cię już za niesłuszne posądzenie. Czy to nie wystarczy?

Ponieważ nie odpowiadała, podniósł dzbanek na wodę.

- Walnij mnie w głowę. Może ci ulży...

Śmiał się, a jej nagle zabrakło tchu i opanowało ją zupełnie dotąd nieznanne uczucie. W pięknym ciemnoczerwonym szlafroku, z wilgotnymi jeszcze i nie uczesаныmi włosami, lord Wentworth wyglądał na znacznie młodszego.

- Zaskoczyłaś mnie - powiedział. - Nie przywykłem do tego, żeby jakaś młoda dama nachodziła mnie podczas mycia...

- To moja wina, sir. - Prudence czuła, jak gorący rumieniec wypływa jej na policzki. Wiedziała, że powinna natychmiast wyjść, ale nie była w stanie się ruszyć.

- No więc nie rzucisz we mnie dzbankiem? Uprzedź mnie, jeśli się zdecydujesz. Zamierzam się bronić. - W jego oczach widać było rozbawienie.

- Staje się pan nierozsądny. Mogłabym rozbić panu głowę... - Kąciki jej ust drgały od powstrzymanego śmiechu.

- Nie sędzę. Nie spotkałem jeszcze kobiety, która trafiłaby w drzwi stodoły z odległości dziesięciu kroków. No tak, zapomniałem, że masz już pewne doświadczenie w rzucaniu kamieniem. Gdybym o tym pamiętał, nie namawiałbym cię do ciskania we mnie dzbankiem.

- Pan żartuje ze mnie, sir.

- Pozwolisz? - Wyciągnął rękę i pogłaskał ją po głowie. - Czasami trudno oprzeć się takiej pokusie. Teraz możesz już odejść i zabierz z sobą nożyczki.

- Dobrze, sir.

Wentworth popatrzył na nią w zamyśleniu.

- Jeszcze jedno, Prudence. Musisz się nauczyć być bardziej ostrożna. Na szczęście nie miałem żadnych złych zamiarów wobec ciebie...

- Nigdy pana o to nie posądzałam, milordzie. - Była ogromnie zmieszana.

- Nie spotkała cię dziś żadna krzywda, ale innym razem i z innym mężczyzną mogłabyś się znaleźć w poważnym kłopotcie. Nie zawsze ma się pod ręką kamień.

Tłumiąc śmiech, odpowiedziała mu z wymówką:

- To nieładnie z pana strony! Po co opowiadałam panu o tym kamieniu. Czy pan nigdy o tym nie zapomni?

- Przeciwnie, stale będę o tym pamiętał. Możesz być pewna, że przy mnie nic ci nie grozi. A zatem, jesteśmy znowu przyjaciółmi?

Prudence skinęła głową.

- Wobec tego idź już. Gdyby przyszedł teraz Sam i zastał nas razem, byłby mocno zgorszony. Bez wątpienia oskarżyłby mnie o uwodzenie nieletnich.

- Nie jestem dzieckiem! - oburzyła się. - Poza tym, Sam nie wie, że jestem dziewczyną...

- Oczywiście, że wie. Domyślił się tego z rozmowy z zarządcą. Nie martw się tym, Sam bywa szorstki i popędliwy, lecz jest wzorem dyskrecji. - Położył rękę na jej ramieniu i lekko popchnął w kierunku drzwi. - Za godzinę będziemy jeść obiad. Pośpiesz się, bo nie zdążysz zrobić użytku z nożyczek.

Prudence nie potrzebowała lepszej zachęty. Szybko skroiła spódnice, nie miała jednak czasu na dokładne zszywanie szwu i modliła się w duchu, żeby się zaraz nie rozpruła.

Uszywanie staniczka było znacznie trudniejsze. Rozwiązała ten problem, krojąc materiał wzdłuż i po zszyciu wycinając otwór na głowę. W rezultacie wyszło coś strasznego. Wobec tego zrobiła niewielki dekolt pod szyją, a z tyłu podłożyła końce materiału tak, żeby powstało wycięcie w szpic. Pozostały w ten sposób trójkąt materiału mógł posłużyć za apaszkę, którą przykryła niedostatki swego dzieła. Przypięła też na piersi broszkę.

Tak wykończony strój pozostawiał wiele do życzenia. O ileż jednak wygodniej będzie włożyć znowu spódnice. W błękitnym kolorze było jej do twarzy, z której zniknął wyraz osaczenia i dzięki temu piwne oczy robiły wrażenie jeszcze większych.

Obejrzała się w lustrze. Wentworth będzie musiał przyznać, że Prudence nie jest dzieckiem, choć, naturalnie, jego opinia w tej kwestii nie ma większego znaczenia.

Mimo to poczuła się usatysfakcjonowana, gdy na jej widok wykrzyknął zaskoczony:

- Świetnie ci się udało! - I dodał: - Widzę, Prudence, że mogłabyś zarobić fortunę jako krawcowa. Czy nie miałem racji, że nalegałem, abys kupiła ten błękitny materiał? Doskonale pasuje.

Nie przyzwyczajona do komplementów, natychmiast się zaczerwieniła. Na szczęście Dan zajął uwagę lorda, pytając go o szczegóły budowy powozu.

Dzięki temu zyskała czas, by się opanować. Jednak znowu poczuła się dziwnie, gdy napotkała uważne spojrzenie głęboko osadzonych oczu Wentwortha.

- Coś się panu nie podoba? - zapytała w końcu.

- Nic podobnego! Przyglądałem się zbyt natarczywie? Wybacz mi, ale nie widziałem cię przedtem w sukni. Wyglądasz zupełnie inaczej.

- Bardziej po kobiecemu? - zapytała z nadzieją, widząc, że patrzy na nią z nie ukrywanym podziwem. Niestety, następną uwagę szybko sprowadził ją na ziemię.

- Wielkie nieba! Wy, kobiety, wszystkie jesteście takie same! Dać wam tylko nową suknię, a od razu stajecie się uosobieniem wdzięku i kruchości. Gdzie się podziała tamta złoźnica? - uśmiechnął się kpiąco.

- Kto to jest złoźnica? - zainteresował się Dan.

- To taka groźna osóbką, która sprawia, że mężczyźni drżą przed nią ze strachu - wyjaśnił poważnie Wentworth.

- Prudence to potrafi - z powagą wyznał Dan. - Zarządca na jej widok przechodził na drugą stronę.

- Zdziwiająco! - rzekł Wentworth. - Nie rozumiem, jak mogło do tego dojść?

- Prudence zawsze dotrzymuje słowa. Powiedziała mu kiedyś, że zwymiotuje, jeśli zmusi ją do zjedzenia chrząstek. Ponieważ ją zmusił, zwymiotowała wszystko na niego!

- Fantastyczne! - Twarz lorda straciła na moment wyraz powagi. - To przestroga dla wszystkich mężczyzn, jak sądzę.

- Dan, jak mogłeś? - Prudence rzuciła mu oburzone spojrzenie. - Musiałeś opowiadać tę historię?

- Przecież to prawda! Uważam, że to było wspaniałe.

- Bez względu na to, co uważałeś, to nie jest temat do rozmowy przy stole. - Pełnym wyrzutu wzrokiem chciała go zniechęcić do kontynuowania podobnych opowieści, on jednakże nie zwrócił na to uwagi. Już miał zamiar mówić dalej, gdy przerwał mu Wentworth.

- Podoba mi się twoja broszka - powiedział do Prudence. - Jest wyjątkowo piękna. Mogę się jej przyjrzeć z bliska?

Dziewczyna bez słowa spełniła jego prośbę. Gdy zważył medalion w dłoni, wyraz jego twarzy uległ zmianie.

- Złota? - zapytał dziwnym tonem. - Jakim sposobem dostała się w twoje ręce? - Pytanie zostało zadane zwyczajnym tonem, ale Prudence uchwyciła błysk podejrzenia w jego oczach.

- Nie ukradłam jej, jeśli to ma pan na myśli - odpowiedziała hardo. - Znaleziono ją w koszyku, w którym porzucono mnie na schodach kościoła.

- Prudence mówi, że to jej spadek - wtrącił Dan. - Ja też chciałbym mieć coś takiego, oczywiście nie broszkę, ale na przykład zegarek na łańcuszku...

- Nie masz odpowiedniego brzucha do takiego zegarka - zaśmiał się Wentworth. - Musisz się postarać i dlatego zjedz więcej budyniu. - Podsunął salaterkę chłopcu, lecz Prudence wyczuwała, że myśli o czymś innym.

Pod wpływem nagłej nadziei zapytała:

- Czy widział pan kiedyś taki herb? Wentworth pokiwał głową z namysłem.

- Wszystkie herby są mniej więcej takie same. Musiałem widzieć podobny do tego, nie przypominam sobie jednak, przy jakiej okazji.

- O, proszę, sir, proszę spróbować sobie przypomnieć! - Prudence zerwała się na równe nogi i jednocześnie usłyszała dziwny dźwięk.

Spojrzała w dół i ujrzała, że rozpruł się szyty w pośpiechu szew spódnicy, od uda aż do kostki, odsłaniając jej zgrabną nogę.

Wentworth zareagował natychmiast, posyłając Dana, by przyniósł jego szlafrok, po czym zwrócił się do Prudence: - Siadaj. Pokójówka zajmie się twoją spódnicą.

Prudence była bliska łez. Czowała się upokorzona, ale lord nie śmiał się i wcale na nią nie patrzył. Wstał, przeszedł przez pokój i pociągnął za sznur dzwonka.

Kilka minut później siedziała znów przy stole, ubrana w czerwony, jedwabny szlafrok. Dotyk luksusowej, miękkiej materii sprawiał jej ogromną przyjemność, nadal jednak czuła się bardzo zawstydzona.

- Nie smuć się, nic się takiego nie stało. Pokojówka zaraz zaszyje spódnice - uspokajał Wentworth, lecz ona nie miała odwagi spojrzeć mu w oczy. Postanowił więc zmienić temat rozmowy.

- Myślę o herbie wrytym na broszce. Może uda się go odnaleźć...

Prudence zapomniała już o katastrofie z suknią i pochyliwszy się ku Sebastianowi, spytała:

- Jak?

- Są specjalne księgi heraldyczne. Poszperam w nich, choć nie gwarantuję sukcesu.

- Wie pan, gdzie są takie księgi?

- Mam własną. Niewykluczone, że w niej widziałem ten herb...

Było coś w jego tonie, co kazało Prudence przypuszczać, że lord nie mówi wszystkiego. Czuła, że on wie więcej, niż był gotów przyznać.

Może to nieprawda, że herby są do siebie podobne, bo inaczej dla czego arystokracja przywiązywałaby do nich tak wielką wagę? Czyżby Wentworth rozpoznał ten herb? Nadzieja rosła w sercu dziewczyny, choć z drugiej strony wydawało się mało prawdopodobne, aby przypadkiem spotkany człowiek pomógł jej w poszukiwaniach.

Nie mogła go ganić, że wciąż jej nie ufał. Tak cenna broszka to ostatnia rzecz, jakiej mógł się spodziewać u ubogiej sieroty z przytułku. Nic dziwnego, że podejrzewał ją o kradzież.

Teraz to nieważne, co on myślał, złościła się na samą siebie. Po sekundzie jednak uczciwość nakazała jej przyznać, że to nieprawda, że gorąco pragnęła, aby lord myślał o niej dobrze oraz... by ją podziwiał.

Nie wierzyła tylko, aby do tego kiedykolwiek doszło. Przecież nie tylko oskarżyła Wentwortha o morderstwo, ale z niejasnych dla niej samej przyczyn stale mu się przeciwstawiała. Zamiast okazać mu wdzięczność, wciąż się buntowała i odpowiadała ostrymi słowami.

Ponadto dziś bez uprzedzenia wtargnęła do jego pokoju i złościła się na niego, chociaż nie miała racji.

Zaczerwieniła się gwałtownie na wspomnienie tej żenującej sceny. Jakie to szczęście, że on jest dżentelmenem. Większość mężczyzn, z którymi dotąd miała do czynienia, wykorzystałaby w pełni okazję i powaliła ją na łóżko.

Lord natychmiast ją zapewnił, że nie ma wobec niej tego rodzaju zamiarów, i choć doznała ulgi, jednocześnie poczuła się... upokorzona.

- Prudence, błędzisz myślami gdzieś daleko, wróć do nas - odezwał się Wentworth.

- Przepraszam - odrzekła pospiesznie. - Jestem zmęczona. Czy pozwoli mi pan wstać od stołu?

- Już pora, żebyśmy wszyscy poszli spać - zgodził się z nią. - Jutro wyruszamy o świcie.

Chciałbym przejechać przez rzekę przed południem.

- Jaką rzekę? - zapytał wszystkiego ciekawy Dan.

- Tamizę. Na jej wodach jest wiele do oglądania - barki, przewoźnicy rzeczni, a przede wszystkim prawdziwe statki. Jeśli zaśniesz w drodze, stracisz wspaniały widok.

- Nie zasnę, bo zaraz kładę się do łóżka. - Oznajmiwszy to, Dan pospiesznie wyszedł.

Prudence także wstała z krzesła, ale zawahała się.

- O co chodzi? - zapytał Wentworth.

- Nic takiego, lecz Dan nie przywykł spać sam, jeszcze mu się to nigdy nie przydarzyło. W tkalni spał razem z innymi na poddaszu. Jeśli znowu będzie miał koszmarne sen...

- Pomyślałem o tym. Wasze pokoje są w amfiladzie, można więc otworzyć łączące je drzwi.

- Pewnie uważa mnie pan za strasznie głupią.

- Przeciwnie, uważam, że masz duże poczucie odpowiedzialności.

- Niech pan nie myśli, sir, że jestem niewdzięczna. To bardzo uprzejmie z pana strony, że wynajął pan dla mnie osobny pokój.

- Młode damy nie dzielą sypialni z nikim, nawet z dwunastoletnimi chłopcami.

Prudence znowu się zaczerwieniła i zmieszana zostawiła go samego w salonie.

Nazajutrz Wentworth zajął miejsce w powozie obok Prudence, pozwalając Danowi jechać na koźle z Samem.

Dziewczyna nie czuła się swobodnie i lord szybko się tego domyślił.

- Tak pojedziemy tylko przez pierwszą część dzisiejszej podróży - powiedział. - Dan jest zachwycony, a ja chciałbym porozmawiać z tobą bez świadków.

Prudence wygładziła spódnicę na kolanach. Rano oddano jej sukienkę dobrze zszytą i z poprawionym staniczkiem. Wpatrywała się w swoje ręce, oczekując pytań, które nieuchronnie musiały nastąpić.

- Czy myślałaś o przyszłości? Co macie zamiar robić, gdy znajdziecie się w Kent?

- Muszę znaleźć jakieś zajęcie. Na jarmarku w Stamford zauważyłam stojących na ulicach mężczyzn i kobiety. Chyba czekali, aż ktoś wynajmie ich do pracy.

- To prawda. Do miasta przyjeżdżają gospodarze i wynajmują tych ludzi na rok, a czasem na dłużej.

- Mogę zrobić to samo.

- Jesteś tego pewna? A czy zauważyłaś, że każdy z nich miał na ubraniu symbol świadczący o jego umiejętnościach?

- Na kurtkach? Zauważyłam. Zastanawiałam się, co to takiego...

- A jaki symbol przedstawiłabyś ty, Prudence?

- Ja... nie wiem. - Patrzyła na niego skonsternowana.

- Wykluczyć trzeba topór wojenny, choć najlepiej by - do ciebie pasował. Czy umiesz wydoić krowę albo ukrećić szyję kurczakowi?

- Nie, ale mogę się nauczyć - odpowiedziała stanowczo.

- Nie myśl nawet o tym. Życie na wsi jest bardzo ciężkie. Zamieniłabyś jedną niewolniczą pracę na drugą.

- Zastanawiałam się nad pracą w zajezdzie w Canterbury. - W jej głosie było już znacznie mniej pewności. - Podawałam do stołu na plebanii.

We wzroku Wentwortha pojawiło się zdziwienie.

- Nie zawsze więc pracowałaś w tkalni?

- Nie, bo kiedy w mieście wybuchała zaraza i umierała któraś ze służących pastora, prosił mnie, bym ją zastąpiła.

- Nie bałaś się zarazy?

- Nie, ja nigdy nie choruję.

- Zarządca zwalniał cię bez oporów?

- Był szczęśliwy, gdy choć na trochę mógł się mnie pozbyć - odrzekła ze złośliwym uśmiechem. -

Mówił...

- Co?

- Że jeśli pastor tak bardzo lubi cierpieć, powinien chodzić we włosiennicy.

Wentworth głośno się roześmiał.

- Niezłą miałaś u niego reputację! - zażartował. - Czy było ci lepiej u pastora?

- O, tak, ale to nie trwało długo. W tkalni zawsze brakowało rąk do pracy, nauczyłam się jednak prowadzić dom. To nie takie trudne zadbać o to, by wszystko odbywało się jak należy. Jak pan widzi, jakiś właściciel zajazdu mógłby nająć mnie do pracy...

- A co z Danem? Miałby być pomocnikiem właściciela lub podkuchennym?

- Podkuchenny? Kto to taki?

- Chłopak, który siedzi przez wiele godzin przy palącym się piecu, smażyć się przy ogniu jak mięso obracane na rożnie.

- On nie nadaje się do tego! - orzekła stanowczo Prudence. - Raczej mógłby być pomocnikiem.

- Wątpię. Czy chciałabyś, żeby pozostawał na łasce jakiegoś okrutnika, który kazałby mu pracować do upadłego?

- Jesteśmy oboje do tego przyzwyczajeni.

- Sądziłem, że pragniecie swoje życie odmienić na lepsze.

- Jeszcze jak! - westchnęła z rozpaczą. - Niech mnie pan nie pozbawia nadziei. Wiem, że na początku będzie trudno, lecz nic nie może być gorsze od tkalni.

- Nie bądź taka pewna! - Nie spuszczał oczu z jej twarzy.

Na szczęście, nie była w stanie odgadnąć, o czym myśli Wentworth, czuła się jednak niezręcznie, gdyż cały czas taksował ją wzrokiem.

Lord dość dobrze znał się na kobietach, ale ta dziewczyna była inna. Mówiła z otwartością, jakiej nie spotkał przedtem u żadnej ze znanych mu pań, niewątpliwie nie brakowało jej też odwagi.

Była urodziwa. Mimo iż taka młodziutka, przyciągała uwagę mężczyzn. Praca w zajeździe, jego zdaniem, nie wchodziła w rachubę. Natychmiast znaleźliby się goście, którzy zechcieliby z dziewczyną sobie poswawolić, a jej odmowa spowodowałaby niechybne zwolnienie.

- Nie ma mowy o zajeździe! - rzekł ostro. - Pomyśl o czymś innym...

- Przedtem pan mówił, że dziewcząt nie przyjmują do marynarki. A do wojska?

- Daj spokój z takimi pomysłami! Trzeba znaleźć coś innego. Zastanowię się nad tym.

W jego głowie powstał już pewien plan, ale było za wcześnie, aby o nim mówić. Jego realizacja zależała od innej osoby, z którą, przed podjęciem ostatecznej decyzji, Wentworth będzie musiał się naradzić.

- Nie zostało wiele czasu - zwróciła mu uwagę Prudence. - Chcę jak najszybciej zacząć zarabiać na życie.

- Czy dostawaliście jakąś zapłatę w tkalni?

- Należały nam się chyba jakieś dwa lub trzy szylingi tygodniowo, lecz za wszystko ściągano z nas kary oraz zaliczki i dlatego nigdy nie ujrzeliśmy żadnych pieniędzy. Henshaw twierdził, że odkładają je dla nas, bo inaczej wszystko byśmy roztrwonili...

- Na co?

- Ja wydawałabym na jedzenie... Dan ciągle był głodny...

- Rzeczywiście trudno go nasycić. - Wentworth uśmiechnął się w charakterystyczny dla siebie, czarujący sposób. Prudence znów się zmieszała.

Odwróciła wzrok. Co się z nią dzieje? Nie wolno jej poddawać się urokowi tego zagadkowego mężczyzny.

- Zresztą, jakiegokolwiek podejmę się pracy, nie będzie to trwało długo - mruknęła.

Wentworth, zdając sobie sprawę, że nie wyciągnie z niej nic wprost, podjął poprzedni temat od innej strony.

- Zaintrygowała mnie opowieść o broszce - zaczął lekkim tonem. - Szczególnie zaskakujące jest to, że ukryto ją w beciku.

Podniosła od razu głowę i patrząc mu w oczy, spytała:

- Czy przypomniał pan już sobie, sir, gdzie przedtem widział pan ten herb?

- Niestety nie. Twoim zdaniem ma to jakieś znaczenie?

- Z pewnością! Na pewno nie zostawiono broszki ot tak sobie, przez przypadek.

- Czy nie było czegoś jeszcze?

- Kawalek gazety drukowanej w Kent... - Zasłoniła ręką usta. Uświadomiła sobie, że powiedziała za dużo. Potwierdzeniem tego były słowa Wentwortha.

- Nie jesteś ze mną szczerą, Prudence. - W jego głosie brzmiała powaga. - Dlaczego nie wyznałaś mi prawdziwego powodu, dla którego chciałaś dostać się do hrabstwa Kent?

- A dlaczego pana tak to interesuje? Nie może mi pan pomóc, a gdy pan rozpozna herb, to mógłby pan ostrzec właścicieli tego herbu, że dziewczyna, która uciekła z przytułku, ich poszukuje... Chcę wykorzystać każdą szansę.

Wentworth zignorował rzucone pod jego adresem podejrzenie.

- Teraz wszystko rozumiem. Zamierzasz za wszelką cenę odnaleźć rodziców. Czy to rozsądne?

- Proszę mi oszczędzić pańskich argumentów, sir, słyszałam je już od pastora. Może to nierozsądne, ale tak zdecydowałam.

- Na co ci się to przyda? Kiedy ktoś porzuca dziecko...

- Wiem, robi to z ważnych powodów... Nie oczekiwałam od pana zrozumienia. Pan zna całe generacje swoich przodków, a ja nawet nie wiem, kim jestem. Wciąż o tym myślę i tak będzie aż do chwili, gdy odkryję prawdę.

- Czego się spodziewasz,? Pieniądzy?

- Nie pragnę pieniędzy - odpowiedziała lodowatym tonem. - Nie wzięłabym ich, nawet gdyby mi je ofiarowywano. Muszę tylko poznać moje pochodzenie.

- Może cię spotkać wielkie rozczarowanie - ostrzegł ją.

Uśmiechnęła się gorzko.

- Tego się nie obawiam. Ten, kto zostawia tygodniowego noworodka pod drzwiami kościoła, musi zdawać sobie sprawę, że dziecko, zanim ktoś je odnajdzie, może umrzeć z zimna i głodu.

- Szukasz więc zemsty? Prudence zmieszała się.

- Nie wiem - przyznała. - Chcę zobaczyć matkę, stanąć z nią twarzą w twarz i poznać historię moich narodzin... To nie jest cała odpowiedź, ale inaczej nie umiem tego wyrazić. Ja po prostu muszę to zrobić.

- Jeśli wydobędziesz tajemnicę na światło dzienne, możesz doprowadzić do jeszcze większego nieszczęścia.

- Jeszcze większego? A czy da się ono porównać z moim? Opowiedziałam panu tylko część mojego życia, lordzie Wentworth. Nie zna pan całej prawdy...

Położył rękę na jej ramieniu.

- Wiem, że cierpiałaś, ale proszę cię, nie pozwól, by nienawiść cię zniszczyła. Jesteś silna. Nie potrzebujesz nienawiści, żeby przeżyć.

- Nie mam niczego innego. - Odsunęła się, w obawie, żeby jego słowa nie osłabiły jej determinacji.

- Przeciwnie, masz, tylko dobrze się rozejrzyj. Czy zastanowiłaś się, czym mogą skończyć się twoje poszukiwania?

Prudence milczała. Nie chciała dłużej z nim dyskutować. Nic, co mówił, nie mogło zmienić jej decyzji. Ona i Dan muszą znaleźć jakieś źródło utrzymania. To był najbliższy cel. Potem postanowi, co dalej robić.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Na pierwszej napotkanej stacji pocztowej Wentworth zaproponował jej odpoczynek, po czym usadowił się na koźle i przejął od Sama lejce. Prudence została sama z własnymi myślami.

A nie były one wesołe. Czuła się zbita z tropu, ogarnął ją smutek i niepokój przed tym, co ją i Dana czekało w najbliższej przyszłości.

Podczas ostatnich dni zdała się na lorda Wentwortha, a w jak wielkim stopniu to uczyniła, zrozumiała dopiero teraz, gdy zbliżała się chwila rozstania.

Przyjemnie było podróżować w komforcie, ze świadomością, że oboje z Danem są, przynajmniej na razie, bezpieczni. Pomyślała z pewną dozą urazy, że władczy sposób bycia lorda Wentwortha i jego bogactwo zawsze i wszędzie będą ułatwiać mu życie. Wydawało się jej niemożliwe, aby dumny arystokrata mógł zrozumieć, jak wygląda egzystencja takich jak ona nędzarzy.

Czy nie jest jednak dla niego niesprawiedliwa? Widziała przecież, jakie wrażenie zrobiła na nim jej opowieść. Jego oczy zdradzały na przemian to gniew, to litość, ale czy będzie nadal chciał jej pomagać?

Nie bardzo zresztą wyobrażała sobie, na czym ta pomoc miałyby polegać, choć zaczynała już wierzyć, że dla lorda nie ma rzeczy niewykonalnych. Gdyby chciał dać jej pieniądze, ona oczywiście by ich nie wzięła. Uznałaby to za zniewagę i obrazę swej godności. Po sekundzie jednak rozsądek wziął górę. Nie może dopuścić do tego, aby Dan głodował.

Przycisnęła dłonie do skroni, próbując na próżno znaleźć jakieś rozwiązanie. Wróciła myślami do punktu wyjścia.

Wiązała wielkie nadzieje ze znalezieniem jakiegoś płatnego zajęcia, lecz Wentworth swymi uwagami pozbawił ją tych złudzeń, a jego opinii nie można było ignorować. Miał rację, że przy niewielkim doświadczeniu, jakie posiadała, szanse na znalezienie pracy były marne.

Prudence odsunęła natychmiast od siebie tę wątpliwość. Jeżeli podda się rozpacz i zrezygnuje z walki, oboje z Danem zginą.

Pocieszyła się myślą, że miała również dużo szczęścia. Z pomocą Wentwortha dojadą do Kent jeszcze przed najbliższą nocą. Jednak perspektywa rychłego dotarcia do upragnionego miejsca, wbrew oczekiwaniom, wcale nie podnosiła jej na duchu, i nietrudno było znaleźć przyczynę tego stanu rzeczy.

Uczciwość nakazywała jej przyznać, że będzie tęsknić za porannymi słowami powitania lorda, za jego śmiechem, a nawet za kpinkami. Przy nim inaczej wyglądał świat, wszystko wokół niej wydawało się inne i ciekawsze. Życie bez niego straci blask.

Z trudem udało jej się skierować myśli na bezpieczniejsze tory. Jeśli odnosiła się do Wentwortha z życzliwością, to tylko z czystej wdzięczności. Był bardzo dobry dla Dana, mogła więc być spokojna, że chłopiec znajduje się w dobrych rękach.

Niezaprzeczalnie urok lorda był ogromny, mimo to wciąż do końca nie rozumiała, jakimi przesłankami kierował się Wentworth. Bez wątpienia decyzja o zabranii dwojga napotkanych dzieciaków była chwilowym kaprysem, który nie mógł długo trwać. Słyszała różne opowieści o arystokratkach i zawsze dziwiła się ich niecodziennym pomysłom. Przypuszczała, że kiedy Jego Lordowska Mość znudzi się towarzystwem swych niezwykle podopiecznych, odprawi ich bez większych ceregieli.

Nastąpi to zapewne już wkrótce i lord pozbędzie się kłopotu.

Spała przez dobre kilka godzin, bo gdy się przebudziła, stwierdziła, że wjeżdżają do dużego miasta. Zaskoczona przyglądała się szerokim ulicom, zastanawiając się, czy to już Londyn.

Zawsze wyobrażała sobie, że jest to miasto lśniące od złota, z pięknymi pałacami i kościołami, szybko jednak musiała pozbyć się tych naiwnych złudzeń. Stłoczone przy głównej drodze ohydne rudery przedzielały wąskie uliczki, pełne śmieci i ekskrementów. Unosił się tak potworny smród, że musiała zasłonić nos chusteczką.

Na powóz jadący ulicą spoglądali ludzie o ponurych twarzach, podobni do tych, którzy napadli ich na drodze. Byli hałaśliwi i zarazem czujni jak tamci złodzieje, niektórzy zaś leżeli wprost w rynsztokach.

W pierwszej chwili Prudence pomyślała, że są chorzy i umierają od jakiejś zarazy. Potem usłyszała ordynarny śmiech mężczyzn i kobiet. Pijana zgraja, zataczając się, szła środkiem ulicy.

Wentworth skręcił, by ją ominąć, lecz długo jeszcze słyszeli rzucane za nimi przekleństwa. Kiedy się odwróciła, zobaczyła, że legli w rynsztoku.

Humor jej się poprawił, gdy powóz wjechał do centrum miasta. Potwierdziły się jej przewidywania, Londyn był naprawdę ogromny. Stały tu wysokie domy, podobne do tych, które widziała w wyobraźni. W pewnej odległości dostrzegła katedrę św. Pawła oraz Tower.

Następnie przejeżdżali przez rzekę i zgodnie z tym, co mówił wcześniej Wentworth, był to wspaniały widok. Podziwiała ruch na wodzie i przewoźników płynących od jednego brzegu do drugiego, omijających zręcznie barki i duże statki.

Odprawiała je wzrokiem pełnym podziwu i zastanawiała się, gdzie były zakotwiczone, zanim wyruszały w dół rzeki w kierunku morza.

Kiedy już skończy swoje poszukiwania, może ona i Dan popłyną jednym z tych statków. Życie na nieznanym ładzie musi być zupełnie inne. Gdyby udało się im wystarczająco dużo zaoszczędzić... Myśli jej poszły nowym torem.

Kiedy dojechali do Southwark, Wentworth zatrzymał się na popas.

- Mamy przed sobą jeszcze kawałek drogi - powiedział. - Dan z pewnością jest głodny, więc wszyscy coś tu zjemy.

Nie zabawili długo i kiedy ponownie ruszyli, Wentworth znów usiadł w powozie z Prudence.

- Mój dom znajduje się na południe od Canterbury - wyjaśnił. - Ominiemy miasto, jadąc wiejskimi drogami.

- Jeśli zamierza nas pan wysadzić, to moglibyśmy wsiąść już tutaj.

- Nie zostawię was na środku drogi, na bezludziu. Niedługo zapadnie mrok. Zostaniecie ze mną przynajmniej na tę jedną noc.

Prudence poczuła ogromną ulgę. Jeszcze nie musiała przejmować ciężaru odpowiedzialności... jednak i tak chwila rozstania zbliżała się nieuchronnie.

- Nie musi pan, sir... - zaczęła z wyrazem wahania na twarzy.

- Wiem - przerwał jej - ale tak postanowiłem. Prudence, bądź rozsądna. Nie możecie błąkać się po ciemku w nieznanej okolicy.

- Co powie na to pańska żona? Może nie będziemy mile widziani...

- Nie mam żony, a moja matka na pewno powita was życzliwie. Dość tej dyskusji. Zgoda?

Jej oczy napęłniły się łzami.

- Dziękuję - wybąkała.

- Na litość boską, Prudence, nie podważaj mojej wiary w ciebie! Byłem przygotowany na wybuch złości z powodu niestosownej propozycji, ale nie na dziewczęce łzy...

- Teraz pan ze mnie kpi - powiedziała z wyrzutem, uśmiechając się blado.

- Cóż za pomysł! Gdzieżbym śmiał? Przyplaciłbym to podbitym okiem, o ile oczywiście zechciałabyś mi dać taką nauczkę... - W jego oczach rozbłysły figlarne iskierki.

Prudence nie wytrzymała i głośno się roześmiała.

- Tak jest znacznie lepiej! Czy wiesz, że pierwszy raz widzę, jak się śmiejesz? Mam na myśli szczerą śmiech. Powinnaś robić to częściej. Wyglądasz wtedy o wiele ładniej.

- Śmieję się często, gdy jest z czego.

- Na pewno ubawisz się w Hallwood, oczywiście, jeśli jeszcze stoi.

Prudence od razu spoważniała.

- Czy obawia się pan, że mogło wydarzyć się coś złego?

- Nie, ale moja droga mama ma pasję do budowania. Nigdy nie mam pewności, czy zastanę na swoim miejscu choć jeden kamień.

Najwyraźniej żartował, chcąc ją rozerwać, a Prudence chętnie się śmiała wraz z nim.

- Ma pan dużą rodzinę? - spytała nieśmiało.

- Mam starszego brata, Fredericka, lecz on nie lubi życia na wsi. Nie potrafi długo przebywać z dala od Whitehall. Młodszy brat ma na imię Peregrine. Mam też siostrę, Sophie, która wyszła za mąż i mieszka we Francji.

Wyraz jego twarzy uległ zmianie i Prudence nie bardzo rozumiała, dlaczego. Może ta siostra jest chora? Nie chciała jednak być wścibska.

Lord milczał przez chwilę. Potem spojrzał na nią i widząc jej zasmuconą minę, powiedział:

- Wybacz mi. Marny ze mnie kompan, ale bardzo się martwimy o Sophie.

- Jest chora?

- Nie w tym rzecz. Słyszałaś może, co się obecnie dzieje we Francji?

- Nie, wiadomości późno docierają na północ Anglii. Poza tym nigdy nam nie mówiono, co się dzieje na świecie.

- We Francji wybuchła rewolucja - wyjaśnił. - Kilka tygodni temu motłoch paryski zdobył szturmem Bastylię.

- Bastylię? Co to takiego?

- Forteca, której używano jako więzienia. Obiecali gubernatorowi twierdzy udział w łupach, jeśli się podda... - Twarz Wentwortha pociemniała. - Zamordowali go jednak, jak również tych, którzy nie chcieli do nich dołączyć.

- Jakie to straszne! Mam nadzieję, że pana siostra przebywa z dala od tych wydarzeń...

- Nie było jej wtedy w Paryżu, ale Bóg jeden wie, czym się to wszystko skończy. W całym kraju panują rozruchy, biedota domaga się wolności, równości i braterstwa. Po drodze palą i zabijają.

- I nic się nie da zrobić? A król...

- Król Ludwik jest bezsilny. Nie ufa nawet swoim gwardzistom. Większość wojska jest wrogo nastawiona. Wszędzie naruszane jest prawo...

- Czy sądzi pan, że pańskiej siostrze grozi niebezpieczeństwo?

- Nikt zamożny nie jest bezpieczny, zwłaszcza arystokracja. Dlatego właśnie przyjechałem tu z północy kraju. Muszę sprowadzić Sophie na powrót do Anglii.

- Tak byłoby najlepiej - zgodziła się z nim. - Wyobrażam sobie, jak się boi, lecz jestem pewna, że uda się panu bezpiecznie przywieźć ją do Anglii.

Wyglądał tak poważnie, że pragnęła go jakoś pocieszyć... odpędzić ponure myśli. Uśmiechnął się do niej, odgadując to, czego nie umiała wyrazić słowami.

- Tak we mnie wierzysz? Prudence oblała się rumieńcem.

- Wierzę, że osiągnie pan to, co postanowił - szepnęła zmieszana.

- A więc jesteśmy do siebie bardzo podobni. Zostawmy ten smutny temat. Nie będę cię obarczać moimi problemami, masz dosyć własnych...

- Lubię słuchać o sprawach rodzinnych - odrzekła żarliwie. - To takie cudowne mieć braci, siostry i... matkę.

- Moja matka na pewno ci się spodoba. Ma szlachetne serce i Hallwood jest znanym miejscem schronienia...

- Co to znaczy?

- Moja matka prowadzi otwarty dom. Przejęła na siebie to, co niegdyś, zanim je zniszczył król Henryk, robiły klasztory. Nikt nie jest odprawiany z kwitkiem, czy zasłużył na to, czy nie. Głodni zawsze dostaną coś do jedzenia. Podejrzewam, że zostawiają na bramie naszej posiadłości jakieś znaki informujące, iż można tu liczyć na wsparcie.

- Przerwał, lecz Prudence poprosiła go, by mówił dalej.

- Zobaczysz na terenie pałacu przedziwnych ludzi - podjął na nowo. - Niektórzy zamieszkali u nas jako rezydenci. Oczywiście matka zapewnia mnie, że oni zarabiają na swoje utrzymanie. Bez wątpienia ci, których widywałem drzemających w ogrodzie, zbierali w ten sposób siły przed kolejną walką z chwastami!

Roześmiała się, zadowolona, że odzyskał humor.

- Może pańskiej siostrze nie grozi aż tak wielkie niebezpieczeństwo?

- Możliwe. Gilles, jej mąż, to wyjątkowo szlachetny człowiek. Swoich ludzi traktuje bardzo dobrze, wbrew ogólnie przyjętemu we Francji zwyczajowi.

- To może nie pozwolą skrzywdzić jego rodziny?

- Któż to wie? Mogą ulec presji fanatyków. Nie uspokoję się, dopóki nie zobaczę, co się tam naprawdę dzieje. - Wyjrzał przez okno. - Jesteśmy już prawie na miejscu. Wkrótce będziecie mogli odpocząć.

Prudence spojrzała w tę samą stronę. Zobaczyła, że powóz skręcił z drogi i przejechał przez masywną, potężną bramę, okoloną dwoma kamiennymi słupami.

Każdą z kolumn zdobiła owalna płaskorzeźba przedstawiająca nieznany jej owoc.

- Co to jest? - zapytała.

- Ananasy - odrzekł krótko. - To znany symbol gościnności i doskonale tu pasuje, chociaż moja matka gniewa się, kiedy z niej żartuję.

Prudence uchwyciła jego wzrok i roześmiała się, odgadując aluzję. Wentworth śmiał się także, spoglądając ciepło na dziewczynę, którą cały czas starał się rozbawić.

Jechali prostą aleją obsadzoną z obu stron bukami, a konie, wyczuwając, że są już blisko stajni, przyspieszyły kroku.

Wreszcie Prudence ujrziała posiadłość. Przez chwilę była wręcz oślepiona. Promienie zachodzącego słońca odbijały się łuną ognia w oknach. Ten widok zaparł jej dech. Cały pałac wydawał się tonać w czerwonym blasku.

Była to budowla długa i niska, przytulona do zbocza, dobrze osłonięta od wiatrów wschodnich.

Domyśliła się, że najstarsza była główna część budynku, który z pokolenia na pokolenie powiększano. Dobudowane z obu stron skrzydła utrzymane były w starym stylu, lecz jedno z nich najwyraźniej powstało zupełnie niedawno.

- Widzę, że matkę znów ogarnął budowlany zapal - zażartował Wentworth. - Mówiłem jej, że jest drugą Bess Hardwick, której pałac był większy i bogatszy niż rezydencja królowej Elżbiety. To wcale zresztą nie umniejsza osiągnięć mojej matki. Wzorowała się na dawnych architektach.

- Jest piękny! - westchnęła z zachwytem Prudence. - Jaki pan musi być szczęśliwy, że może w nim mieszkać! Tyle w nim spokoju!

- Mam nadzieję, że będziesz się w nim dobrze czuć, chociaż zauważyłem, że wokół twojej osoby rzadko panuje cisza - dokończył z lekką kpina.

Zamierzała mu ostro odpowiedzieć, ale słowa zamarły jej na ustach, gdyż otworzyły się okazałe drzwi i ukazała się kobieta, która na ich spotkanie zeszła po schodach. Była tak wysoka jak Wentworth i miała takie same jak on ciemne oczy, które teraz rozjaśniała radość.

- Sebastianie, nareszcie przyjechałeś! Nawet sobie nie wyobrażasz, jak tęskniłam za tobą.

Wentworth wyskoczył z powozu, objął ją serdecznie i pocałował w policzek.

- Czy jesteś zdrowa, kochana mamo? Z ulgą stwierdzam, iż ściany pałacu nadal stoją...

Uśmiechnęła się na ten żart, lecz po sekundzie spoważniała.

- Nie mogę o niczym innym myśleć, tylko o Sophie. Kochanie, mam ci tyle do powiedzenia...

- I ja także. - Wentworth odwrócił się, by pomóc Prudence wysiąść z powozu. - To jest Prudence Concert. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zostanie u nas przez kilka dni. Prudence, przedstawiam ci moją matkę, wdowę, hrabinę Brandon...

Prudence poczuła się nieswojo pod badawczym spojrzeniem hrabiny. W jej oczach wcale nie było ciepła. Czy rzeczywiście była tak życzliwą osobą i przyjmowała wszystkich potrzebujących pomocy?

Dotknęła rękawa Wentwortha.

- Jeśli przeszkadzamy, to możemy pójść do Canterbury - szepnęła cicho.

- Nie mów głupstw! Danie, schodź do nas! - Wentworth obszedł powóz i wyciągnął ramiona do chłopca. - Skacz! - rozkazał mu. - To, moja droga mamo, mój drugi przyjaciel. On także zostanie u nas. Oboje z Prudence mają za sobą długą i męczącą podróż, wchodźmy więc do środka.

Na widok roześmianej twarzy Dana hrabina złagodniała i poprowadziła wszystkich przez długi hol do przyjemnie urządzonego salonu.

- Zadzwon, Sebastianie - powiedziała. - Twoi goście muszą się odświeżyć. - Słowa były uprzejme, ale ton głosu tak chłodny, że Wentworth popatrzył na nią zdziwiony. Powstrzymał się jednak od komentarza.

Prudence nie miała złudzeń. Nie byli tu mile widziani. Paliły ją policzki. Nietrudno było zgadnąć, co pomyślała hrabina. Uznała, że syn sprowadził do domu jakieś przybłądy. Prudence nie miała jej tego za złe. Dżentelmeni bez oczywistej przyczyny na ogół nie podróżują z nieznaną dziewczyną.

Nie spojrzała nawet na wezwanego służącego.

- Sądzę, że Dan i Prudence chcieliby najpierw zobaczyć pokoje, w których będą spać. Gdzie jest Ellen? - zapytał Wentworth.

Lady Brandon zaczerwieniła się, lecz spojrzawszy na syna, uznała, że mądrzej będzie nie sprzeciwiać się jego życzeniu. Wydała więc odpowiednie polecenia, po czym Dan i Prudence wyszli, ale do ich uszu doszło zadane ostrym tonem pytanie:

- Sebastianie, co to ma znaczyć? Kim jest ta dziewczyna?

Jego odpowiedzi już nie usłyszeli. Ze względu na synowskie przywiązanie, Wentworth zapanował nad ogarniającym go gniewem.

- Rozczarowujesz mnie, mamo. Prudence nie jest taką, za jaką ją bierzesz. Czy pozwoliłbym sobie na obrażanie ciebie i sprowadzanie pod twój dach kobiety, z którą coś by mnie łączyło?

- Nigdy dotąd tego nie zrobiłeś - odrzekła, widząc jego stanowczość - wydaje mi się to jednak dziwne. Gdzie ich spotkałeś? Dziewczyna nie robi wrażenia osoby pospolitej... Jest w niej coś takiego... nie potrafię tego wyrazić... Nie jest na pewno piękna.

- Z pewnością nie, ale to coś innego niż zwykła uroda. Czy tego nie widzisz?

- Robi ogólnie dobre wrażenie, lecz to prawie dziecko...

- Musi mieć osiemnaście lat. Wiele dziewcząt w tym wieku wychodzi za mąż.

- Przypuszczam, że ma siedemnaście lat i nic nie wie o świecie. Sebastianie, nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Dlaczego przywiozłeś ich tutaj?

- Nie miałem wielkiego wyboru. Nie znają tej części kraju. Nie mogłem ich tak zostawić.

- Mój drogi chłopcze, nie drażnij się ze mną. Domagam się wyjaśnień. Dlaczego miałbyś być za nich odpowiedzialny?

Wentworth zaczął chodzić po pokoju.

- To długa historia. Przywiozłem ich aż z Derbyshire.

- Z jakiego powodu? - Matka z niepokojem pomyślała, że spędzili w drodze kilka nocy.

- Oni są podrzutkami z sierocińca - odrzekł krótko. - Jechałem za szybko i omal nie zabiłem tego chłopca.

Hrabina zbladła.

- Nie byłeś ranny?

- Nie, a także on, dzięki Bogu, nie odniósł poważnych obrażeń. Uderzył się tylko w głowę i stracił na jakiś czas przytomność.

- Czy nie lepiej było zostawić chłopca z jego bliskimi?

- Nie ma nikogo... tylko Prudence.

- Przecież sierotami opiekują się parafie, prawda?

- Parafia posłała ich, gdy mieli zaledwie po dziewięć lat, do niewolniczej pracy w miejscowej tkalni bawełny.

- Niewolnicza praca? Chyba przesadzasz. Mamy przecież osiemnasty wiek. W naszym kraju nie zdarzają się takie rzeczy.

- Tak uważasz? Zapytaj sama, jakie było ich życie. Podobnie jak ty, nie miałem pojęcia...

- Przyuczano je przecież do jakiegoś zawodu, karmiono i miały dach nad głową? Ktoś miał obowiązek dbać o te dzieci.

- Taka była ta opieka, że postanowiły uciec.

- O Boże! Pomagałeś uciekinierom? To można uznać za porwanie! To wbrew prawu!

- Rzeczywiście, ale to prawo skazuje dzieci na nędzne życie i dlatego, łamiąc je, nie mam żadnych wyrzutów sumienia - powiedział surowo Wentworth.

- Co zamierzasz z nimi zrobić?

- Jeszcze nie wiem, ale jeśli się nimi nie zaopiekujemy, czeka je straszny los. Same nie dadzą sobie rady.

Hrabina zamyśliła się.

- Teraz wszystko rozumiem, tylko po co było sprowadzać je z tak daleka? Czy to rozsądne?

- Nie, nie było rozsądne - uśmiechnął się nagle do matki. - Jednak te dzieciaki i tak zmierzały na południe kraju. Mogły zostać napadnięte, porwane w niewolę, mogły umrzeć z głodu.

- Dlaczego wybrały tę część Anglii? Wentworth usiadł i ujął dłonie matki.

- Złóż to na karb mojej naiwności, jeśli chcesz, ale z tą dziewczyną wiąże się pewna tajemnica. Jest ona w posiadaniu broszki, na której wyryty jest szlachecki herb. Dziewczyna ma nadzieję, że z pomocą tego medalionu odnajdzie rodzinę.

Lady Brandon była wstrząśnięta.

- Czy rozpoznałeś ten herb?

- Nie jestem całkowicie pewien. Okłamałem ją, mówiąc, że wszystkie herby są do siebie podobne, chyba mi jednak nie uwierzyła.

- No więc kto...?

- Nie mogę ci powiedzieć, bo to dopiero przypuszczenie. Postaram się dowiedzieć czegoś więcej, żeby mieć całkowitą pewność.

Musiała na tym poprzestać, pokiwała więc głową i zapytała:

- Przyznaj się, ile jeszcze zabłąkanych piesków ukrywasz w powozie?

- Zgódźmy się raczej, że to kotka i szczeniaczek! - W jego oczach pojawiły się figlarne błyski. - Przecież jestem twoim synem. Czy nie postępujesz tak samo?

Żachnęła się, lecz rozbrojona jego wesołą miną, pogłaskała go po rękę.

- Nie masz szacunku dla starej matki.

- Ależ mam, chociaż zupełnie nie pasuje do ciebie słowo „stara”.

- Pochlebca z ciebie!

- Mówię, jak myślę. Jesteś wciąż piękna, droga mamo.

- Nie czuję się taką, Sebastianie. Z Francji nadchodzą coraz gorsze wieści. Bardzo się martwię o Sophie i jej dzieci. - Westchnęła ciężko. - Może dlatego nie byłam dla twoich sierot tak miła, jak powinnam.

Wentworth objął ją ramieniem.

- Domyślałem się, że coś cię dręczy. Powiedz, czy Perry widział się z Sophie?

- Właśnie wrócił stamtąd. Należało odradzić mu tę podróż. Cudzoziemcy, a zwłaszcza Anglicy, nie są mile widziani, pragnęłam jednak czegoś się o nich dowiedzieć.

- No i co Perry tam zastał?

- Sophie i Gilles uważają, że na razie nie grozi im niebezpieczeństwo, ale trudno być pewnym, bo sytuacja zmienia się z dnia na dzień. Gilles pokłada wielkie zaufanie w swoich ludziach, jednak w okolicy panują buntownicze nastroje.

- A można się temu dziwić? Przez całe wieki chłopstwo obciążone było ogromnymi podatkami, podczas gdy ich panowie i duchowieństwo nie płacili żadnych. Co gorsza, arystokracja francuska uważa, że jest ponad prawem.

- Gilles myśli inaczej.

- Gilles jest wyjątkiem.

- Czy jednak dzięki temu on, Sophie oraz ich dzieci są bezpieczne? Były nadużycia, którym trzeba położyć kres, ale nie usprawiedliwia to morderstw.

- Czy Perry podziela twoje obawy? Hrabina wyraźnie posmutniała.

- Wrócił rozwścieczony. Sophie z wielkim trudem go powstrzymała, gdy jeden z tych ludzi nazwał ją obywatelką. Perry chciał tego człowieka pobić.

- Jeśli tylko takie rzeczy Sophie musi znosić, to nie ma powodu bać się o nią - powiedział uspokajająco Wentworth.

- Sądzę, że na tym się nie skończy. Fanatyczni zwolennicy rewolucji jeżdżą od miasta do miasta i podburzają motłoch. Perry, w przebraniu, widział taki wiec. Wiesz, jaki jest, lecz był naprawdę wstrząśnięty tym, co usłyszał. Gdyby Sophie mogła wrócić do Anglii... chyba że we Francji coś się zmieni na lepsze.

Syn spojrzał na nią z powagą.

- To może potrwać jakiś czas. Czy Gilles pozwoliłby jej i dzieciom przyjechać do nas z wizytą?

- Może, gdyby udało ci się go przekonać.

- Wobec tego wybiorę się do nich jak najszybciej. Obiecuję przywieźć ją i twoje wnuki.

- Żeby tylko ci się udało, Sebastianie! Nie powinnam cię o to prosić, ale Perry nie może tam jechać, jest za bardzo porywczy. Z pewnością naraziłby się któremuś z komitetów rewolucyjnych.

- Najdroższa mamó, prosź mnie, o co tylko zechcesz. I tak miałem zamiar złożyć wizytę mojej siostrze...

Urwał na widok wchodzących do salonu Dana i Prudence.

Prudence podeszła do gospodyni z hardo podniesioną głową, ale Wentworth zorientował się natychmiast, że wcale nie jest pewna siebie.

Hrabina wyciągnęła do niej rękę.

- Podejdz i usiądz obok mnie - odezwała się miłym tonem. - Sebastian opowiedział mi o waszej podróży. Musicie być bardzo zmęczeni. Czy zostaliście dobrze obsłużeni? Zawsze trzymamy w gotowości pokoje dla nieoczekiwanych gości.

Prudence wybąkała słowa podziękowania. Czuła się bardzo nieswojo, świadoma, że oboje z Danem zupełnie nie pasują do przepychu salonu.

Gospodyni domu natomiast, jakby tego nie widząc, mówiła dalej:

- Myślę, że chętnie pójdziecie dziś wcześniej spać. My już zjedliśmy obiad, ale Ellen przyniosła wam coś do jedzenia. Czy jesteście głodni?

Widząc błysk w oczach Dana, Wentworth roześmiał się.

- Muszę cię ostrzec, droga mamó, że ten chłopiec ma wilczy apetyt. Jego żołądek to studnia bez dna.

- Chłopcy w tym wieku są zawsze głodni - odrzekła hrabina, rzucając mu pełne wyrzutu spojrzenie. - Któż może o tym lepiej wiedzieć niż ja? To nieładnie tak żartować, Sebastianie. Ty też masz niezły apetyt.

- Ale mi się dostało! Już będę grzeczny. - Przy tych słowach mrugnął do Prudence i z zadowoleniem stwierdził, że dziewczyna trochę się odprężyła.

Ucałował rękę matki i udając, że jest bardzo wygłodzony, zabrał się do jedzenia, zachęcając Dana i Prudence, by poszli w jego ślady.

Dan nie potrzebował zachęty, lecz Prudence straciła apetyt. Wentworth chciał coś powiedzieć, ale matka skarciła go wzrokiem, więc milczał.

Lady Brandon odwróciła się do Dana, który, nie przejmując się zupełnie otoczeniem, z zapalem pałaszował przygotowane smakołyki i wykazał dopiero wtedy zainteresowanie rozmową, gdy usłyszał o urodzonym tego ranka źrebaku.

- Czy mógłbym go zobaczyć? Czy już stanął na nogi? Jakiej jest maści?

- Tyle pytań naraz! - roześmiała się hrabina. - Pozwól, że będę odpowiadać po kolei. Stanął na nogi kilka minut po przyjściu na świat i możesz go naturalnie zobaczyć jutro rano. To śliczny kasztanek.

Dan już chciał sięgnąć po kolejne ciastko makaronikowe, ale cofnął rękę, zgromiony wzrokiem Prudence.

Lady Brandon zauważyła tę wymianę spojrzeń i powiedziała:

- Niech je, makaroniki są lekkostrawne i nie mogą mu zaszkodzić.

Widząc, że zyskał nowego sojusznika, Dan rozpromienił się, lecz Prudence pokiwała głową z żartobliwą wymówką:

- On pęknie od tego!

Lady Brandon uśmiechnęła się do niej w odpowiedzi, lecz nie tak łatwo można było pozyskać sympatię tej dziewczyny, z czego zresztą zdała sobie sprawę już od pierwszej chwili, gdy ją ujrzała.

Napięcie między tymi dwiema kobietami nie uszło uwagi Wentwortha. Nagle doznał olśnienia. Oparłszy się wygodnie na krzesło, wyciągnął przed siebie długie nogi i przymknął oczy.

- Jakie to szczęście, że mamy już za sobą nasze przygody - mruknął znużonym głosem. - Jeszcze trzy dni temu groziło nam większe niebezpieczeństwo, niż gdybyśmy byli we Francji. Nie można czuć się bezpiecznym, podróżując w dzisiejszych czasach...

- Mój drogi chłopcze! Byłeś ranny? Co się stało?

- Napadła nas banda żebraków i wtedy Prudence uratowała mnie, narażając przy tym własne życie.

Lady Brandon aż pobladła z wrażenia.

- Uratowałaś mojego syna? Jak ci się wywdzięczę, moja droga?

Prudence oblała się rumieńcem.

- Jego Lordowska Mość przesadza. Przecież nic panu nie groziło. Pański lokaj był uzbrojony...

- Mylisz się. Sam nie mógł strzelać do tłumu, bo mógłby trafić kogoś z nas. Gdybyś nie zareagowała tak szybko, byłoby z nami bardzo krucho...

Hrabina drżącą ręką dotknęła dłoni Prudence.

- Byłaś niezwykle odważna!

- Nic takiego nie zrobiłam, proszę pani. Po prostu kopnęłam w nogę tę kobietę.

- Prudence, nie pomniejszaj swojej zasługi. - Wentworth niespodziewanie pogłaskał ją po głowie.

- Ja doceniam to, co zrobiłaś.

- I ja też! - Lady Brandon wstała. - Chodźcie, pomogę wam się rozgościć w waszych pokojach.

Porozmawiamy o tym jeszcze jutro.

Wentworth uśmiechał się do siebie. Świetnie wykorzystał jedyną okoliczność, dzięki której jego matka mogła poczuć sympatię do niespodziewanych gości. Wkrótce okazało się, że miał rację.

- Powinieneś mi od razu powiedzieć, że Prudence ocaliła ci życie - powiedziała z wymówką hrabina, gdy wróciła do salonu.

- Nie chciałem ci przysparzać więcej zmartwienia. Nie potraktuj tego jak szantaż, ale najpierw chciałem usłyszeć twoje zdanie. To jest twój dom i nie mam prawa narzucać ci obecności tych dwojga, jeśli sobie tego nie życzysz.

- Co ty mówisz, drogi chłopcze! Wstyd mi, że nie byłam dla nich odpowiednio miła, kiedy przyjechaliście. Nigdy sobie tego nie wybaczę.

- Nie masz czego się wstydić. Musiałaś być mocno wstrząśnięta, gdy w moim powozie ujrzałaś młodą dziewczynę.

- To prawda, byłam bardzo zaskoczona.

- A co teraz o nich myślisz?

- Chłopiec jest przemiły, ale Prudence wydaje się taka nieprzystępna. Zgadzasz się ze mną?

- Nieprzystępna? - zaśmiał się Wentworth. - Zbyt łagodnie powiedziane. To ostra w języku, harda dziewczyna, obdarzona niezwykle silną wolą.

- Mimo to podoba ci się? - zapytała hrabina, patrząc mu w oczy.

- Tak, podoba mi się! Podziwiam jej hart ducha. To niezwykle, jeśli weźmie się pod uwagę, co przeżyła. Ktoś o słabszym charakterze już dawno by się załamał.

- I co teraz z nią będzie? Wentworth zawahał się.

- Nie wiem. Myślałem o tym. Miałem nadzieję, że coś mi poradzisz...

- To będzie dość trudne. Przypuszczam, że nie chciałbyś ich stąd odsyłać.

- Nie mogę, przecież sami nie dadzą sobie rady. Nie opuszczę ich.

- Rozumiem cię, tyle jej zawdzięczasz...

- To znaczy, że pozwolisz im tu zostać?

- Nie ma innego wyjścia, tylko co będą robić? Prudence nie wygląda na dziewczynę która zaakceptuje nawet najszczerze gesty litości.

- To prawda, ale...

- Jestem tego pewna. Przyznaję, że nie jest zwyczajną dziewczyną. Może masz rację co do jej przodków. Czy zwróciłeś uwagę na rysy jej twarzy i piękne dłonie? Nie tak wyglądają wieśniaczki. Mimo tylu lat spędzonych wśród pospólstwa wyraża się poprawnie, nie mogę też nic zarzucić jej manierom. Czy wierzysz w to, co ci opowiedziała o sobie?

- Prudence nie kłamie - odrzekł stanowczo Wentworth. - Zajął się nią tamtejszy pastor, wszystkiego ją nauczył. Dostrzegł jej zalety i zrobił dla niej, co mógł.

- I co teraz? Milczał przez chwilę.

- Nie wiem. Dziewczyna żyła w przytułku, a potem harowała w tkalni, niewiele więc umie i tak naprawdę nie zna życia. Zamierzała poszukać pracy na wsi lub w jakimś zajeździe, ale sama wiesz, jaki wówczas spotka ją los... w każdym razie, nic dobrego dla niej z tego nie wyjdzie.

- Zgadzam się z tobą. Spojrzał matce prosto w oczy.

- A gdybyś ją zatrudniła do pomocy w prowadzeniu domu?

- Ależ, drogi chłopcze! - zawołała z oburzeniem hrabina. - Czy ja potrzebuję kogoś takiego? Nie jestem jeszcze taka stara!

- Oczywiście - rzekł z uśmiechem Wentworth. - Masz jednak zawsze tyle roboty, mamó. Prudence mogłaby ci w tym pomóc. Mówiła mi, że zna się trochę na gospodarstwie.

- Umie czytać i pisać?

- Nie wiem, nie pytałem jej o to.

- No dobrze, porozmawiam z nią rano, ale wątpię, czy będzie chciała tu zostać.

- Wspomnij, że będziesz potrzebowała pomocy, kiedy przyjedzie Sophie i twoje wnuki - podpowiedział chytrze. - Prudence umie sobie radzić z dziećmi. - Widząc wyraz twarzy matki, dodał: - Proszę cię, żebyś się nie zraziła jej szorstkością. Prudence nauczyła się ukrywać swoje prawdziwe uczucia pod maską obojętności.

- Trudno się jej dziwić. Takie wrażliwe osoby jak ona zawsze są czujne. - Starsza pani na moment się zamyśliła.

- Powiem jej o Sophie, choć nie ma pewności, czy Gilles zgodzi się na wyjazd żony i dzieci. Napisałam do niego od razu po powrocie Perry'ego. Poczekajmy na jego odpowiedź, zanim wyjedziesz. Nie chciałabym, żeby uznał mnie za teściową wtrącającą się w nie swoje sprawy.

- Nigdy tak nie uważał! - Wentworth objął ją czule ramieniem. - Na pewno zrozumie, że martwisz się o nich. Kiedy spodziewasz się od niego listu?

- Lada dzień. Wysłałam list przez Tollarda.

- Syna naszego adwokata?

- Zna trochę francuski i jest solidnym człowiekiem. Zgodził się ze mną, że Perry nie może tam jechać.

- To oczywiste! Chodźmy spać, droga mamó. Zrobiłaś, co mogłaś. Pozwól, że już sobie pójdę.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Lady Brandon nie była w najlepszym nastroju. Niepokoilią się zaistniałą sytuacją. Sebastian ma dobre serce, ale przecież powinien respektować prawo. A teraz je złamał. Zrobił to wprawdzie z porywu serca, ale dla sądu to marne wytłumaczenie.

A poza tym... Smutne dzieje tej dziewczyny i chłopca wstrząsnęły nim, podobnie jak i nią, lecz czy w grę wchodziła tylko litość? W duchu zadawała sobie pytanie, czy syn zastanowił się nad prawdziwymi motywami swego postępowania. Z zaskoczeniem słuchała, jak gorąco bronił Prudence. Nie ulegało dla niej wątpliwości, że osobowość tej dziewczyny wywarła na nim silne wrażenie.

Nie bez znaczenia jest i to, że uratowała mu życie i dlatego na zawsze pozostanie jej dłużnikiem. Ona sama też nigdy o tym nie zapomni. Całe to wydarzenie pozbawiło go zdrowego rozsądku i najwyraźniej nie dostrzegał ryzyka związanego z faktem, że miał pod swoim dachem tę dziewczynę.

Wygląda na to, że widzi w niej tylko nieszczęśliwe dziecko. Odnosi się do niej przyjaźnie i nie ponadto. Niestety, dzieci dorastają i jest wielce prawdopodobne, że któregoś dnia Prudence stwierdzi, że obdarza Sebastiana nie tylko uczuciem wdzięczności.

Cała ta sytuacja była dość niefortunna, trzeba jednakże spełnić synowską prośbę. Sebastian znajdzie chyba jakiś sposób, żeby pomóc swoim podopiecznym, a tymczasem mądrzej będzie zatrzymać dziewczynę w Hallwood, gdzie pozostanie pod kontrolą.

Jaka szkoda, że jej syn dotąd się nie ożenił. Wiele dziewcząt z dobrych rodzin, zachęcanych przez ambitne matki, oczarowanych urokiem osobistym Sebastiana, jego aparycją, a także bogactwem, próbowało zwrócić na siebie jego uwagę. On jednak, nieodmiennie uprzejmy, pozostawał wciąż obojętny.

Uświadomiła sobie, że dopiero dziś po raz pierwszy usłyszała, by tak otwarcie wyrażał uczucia wobec jakiejś kobiety.

Lady Brandon westchnęła. Może zresztą nie ma nic dziwnego w tym, że Sebastian unikał małżeństwa. Musiał zniechęcić się po tej okropnej historii z Amelią. Jednak związek z dziewczyną, o której pochodzeniu nic nie można powiedzieć, to po prostu katastrofa.

Pokojówka pomogła się jej rozebrać i hrabina położyła się do łóżka z ciężkim sercem. Chociaż dzieci są już dorosłe, troska o nie wcale nie jest mniejsza. Trzeba podjąć jakieś działania.

Musi namówić Marię Selincourt, by wraz córkami przyjechała do nich z wizytą. Sebastian widział je, kiedy były jeszcze dziećmi, i jeżeli dziś są choć w połowie tak urocze jak ich matka, to z pewnością zrobią na nim wrażenie.

Z tą pocieszającą myślą hrabina w końcu zasnęła.

Kiedy następnego rana zeszła do salonu, zastała tam Prudence, która przeglądała gazetę. Wynikało z tego, że dziewczyna umiała czytać, i upokarzające pytanie okazało się niepotrzebne.

- Jedliście śniadanie?

- Tak, madame. Zawołam Dana. Czekaliśmy tylko po to, żeby jeszcze raz pani podziękować i się pożegnać.

- Usiądź, moja droga. Skąd ten pośpiech? Nic was przecież do tego nie zmusza.

- Przeciwnie. Lord Wentworth zapewne wspominał, że chcę jak najprędzej znaleźć pracę. Nie mamy z Danem żadnych środków do życia i dlatego muszę zacząć zarabiać na nas dwoje.

- Możecie zostać tutaj.

- Nie, madame. Nie chcemy żyć z jałmużny.

- Nie to miałam na myśli. Prudence, potrzebny mi ktoś do pomocy. Sebastian gniewa się na mnie, bo uważa, że za dużo pracuję.

- Lecz ja nie mam żadnego konkretnego zawodu, nie potrafiłabym pani uczesać ani reperować delikatnych koronek...

- Ja też tego nie umiem, bo tym wszystkim zajmuje się moja garderobiana.

- Sądzi pani, że mogłabym być pokojówką? Nie umiem też gotować.

- Mam inny pomysł. Co byś powiedziała na to, żeby zostać moją główną pomocnicą? To nie będzie trudne zajęcie.

Prudence zaczerwieniła się.

- Nie mam w tym żadnego doświadczenia. Nigdy czegoś podobnego nie robiłam. Jakie byłyby moje obowiązki?

- Mogłabyś mi pomóc w korespondencji. Widzę, że umiesz czytać, a jak z pisaniem?

- Pastor nauczył mnie pisać poprawnie. Mówił, że... - Urwała zmieszana.

- Co takiego mówił pastor?

- Uważał, że nie można pozwolić, żeby marnowała się taka inteligencja. Przepraszam, że zabrzmiało to jak samochwalstwo.

- Wcale nie. Wynika z tego, że zrobiłaś na nim niezłe wrażenie.

- Pastor był dla mnie bardzo dobry - powiedziała Prudence. - Teraz uczę Dana.

- Możesz to robić nadal. - W tym momencie hrabinie przyszła do głowy nowa myśl. - Mamy tutaj bibliotekę. Od śmierci mojego męża jest bardzo zaniedbana. Trzeba wybrać stare i zniszczone książki i potem je podreperować. Mogłabyś się tym właśnie zająć. Ja nie mam zupełnie na to czasu. Potem należałoby je skatalogować...

- Nie wiem, czy dam radę...

- Trzeba po prostu sporządzić ich spis. Szybko się tego nauczysz.

Prudence była zaskoczona. Propozycja hrabiny przekraczała jej najśmielsze marzenia, a mimo to dziewczyna wahała się.

- Jest jeszcze Dan - przypomniała nieśmiało.

- Dan też może być pożyteczny, już Sam o to zadba. Słyszałam, że stali się przyjaciółmi. A nie jest to błahe osiągnięcie, zapewniam cię - dodała z uśmiechem.

- Lady Brandon, czy mogę o coś zapytać?

- O co chcesz, moja droga.

- zaproponowała mi pani pracę dlatego, że lord Wentworth twierdzi, iż uratowałam mu życie? Nie chciałabym wprowadzać pani w błąd. To nie było tak. Lord miał pistolety, a Sam rusznicę. Jego Lordowskiej Mości nic nie groziło.

- Widzę, że pragniesz być wobec mnie uczciwa. Pozwól więc, że i ja będę szczerą. Chciałabym cię tu zatrzymać, bo jeśli przyjedzie Sophie, będę potrzebowała pomocy, a Sebastian mówił, że świetnie radzisz sobie z dziećmi.

Prudence niemal oślepla od napływających do oczu łez. Nie wątpiła już teraz w dobre intencje hrabiny, a propozycja zamieszkania w Hallwood była wspaniała.

- Jeśli pani tego sobie życzy, to oczywiście zgadzam się. Nie potrafię powiedzieć... - Urwała, niezdolna mówić dalej. Bała się, że zupełnie się rozklei.

- Umowa zawarta? Idź, pewnie chcesz porozmawiać z Danem. Przypuszczam, że jest w stajni.

Prudence wyszła z pokoju, nic prawie nie widząc. Potrzebowała chwili, żeby się opanować. Usiadła na kamiennej ławce i rozplakała się na dobre. Nie wątpiła, że za tą cudowną propozycją stał Wentworth. Musiała przyznać sama przed sobą, że to najlepszy ze wszystkich znanych jej ludzi.

W końcu otarła łzy z twarzy i poszła do stajni. Tam zobaczyła Dana, który klęczał obok żrebaka, a Wentworth przyglądał się temu z uśmiechem.

Dan nie od razu zauważył Prudence i dopiero kiedy lord ją pozdrowił, zerwał się na równe nogi.

- Odchodzimy zaraz? - zapytał z rozdzierającym serce smutkiem.

- Mam dla ciebie niespodziankę. Nigdzie nie odchodzimy. - Prudence spojrzała na Wentwortha. - To pana zasługa, prawda?

Dan przerwał jej, nie czekając na jego odpowiedź:

- To znaczy, że tu zostajemy? Prady, to niemożliwe...

- Tak, zostajemy. Lady Brandon chce, bym jej pomagała.

- Zgodziłaś się? - Lord Wentworth patrzył na nią z radością w oczach.

- Tak, sir. Mam pomagać w korespondencji i... skatalogować książki w bibliotece.

- Co za ulga! Tak się martwiłem biblioteką!

- Jakoś nic pan o tym nie mówił. - Prudence roześmiała się w odpowiedzi, zdecydowana jednak dać mu do zrozumienia, że wie, jaki jest prawdziwy stan rzeczy.

- Miałem inne sprawy na głowie. - Lekko oparł ręce na jej ramionach. - Cieszę się, że postanowiłaś zostać. To najmądrzejsza rzecz, jaką mogłaś zrobić. Chciałbym, żebyś się u nas dobrze czuła.

- Proszę się o to nie obawiać. Nasza sytuacja odmieniła się jak w bajce i jesteśmy z Danem bardzo wdzięczni.

- Odwróciła się do stojącego obok niej chłopca.

- Co powinienes powiedzieć lordowi Wentworthowi? Dan ujął dłoń lorda.

- Podoba mi się tutaj, sir. To wspaniale, że jest pan naszym przyjacielem. Czy mogę powiedzieć Samowi?

- Pewnie się ucieszy, że nie straci swojego pomocnika - z uśmiechem odrzekł chłopcu Sebastian, a potem spojrzął na Prudence i zauważył, że drżą jej wargi. - Głowa do góry, moja mała bohaterko! Chyba nie chcesz się zamienić w fontannę. Gdzie się podziała moja przyjaciółka o lwim sercu? - Delikatnie przytulił ją do siebie. - Obiecuję, że podczas twojego pobytu w Hallwood nie będę cię bił więcej niż raz dziennie.

- Często pan bija służbę? - Prudence zmusiła się, by odpowiedzieć na jego żart w tym samym tonie.

- Bardzo często! Jak brzmi to stare porzekadło? „Im częściej się bije kobietę, psa i drzewo orzecha włoskiego, tym większy z nich pożytek”. Spodziewam się, że nie podzielasz tej opinii.

Wciąż jeszcze obejmował ją ramieniem, kiedy nagle zdała sobie sprawę z niestosowności tej sytuacji. To się mogło źle skończyć. Spłoniona, usiłowała wysunąć się z objęć. Wprawdzie uścisk silnych ramion był bardzo przyjemny, ale zdążyła się już przekonać, że najbardziej niewinna pieśczoła może doprowadzić do czegoś... ohydnie brutalnego.

Przypomniała sobie, jak się wtedy przestraszyła. Teraz jednakże wydawało się rzeczą naturalną, że tuliła się do swego protektora i czuła bicie jego serca tuż przy swoim. Miała wielką ochotę zarzucić mu ręce na szyję...

Zadrzała, opanowana tym nie znanym jej uczuciem. Natychmiast to zauważył, choć opatrnie zrozumiał przyczynę jej reakcji.

- Zmarzaś - powiedział. - Nie powinnaś wychodzić na dwór w tak cienkiej sukience. Chodźmy do mojej matki, na pewno znajdzie dla ciebie coś cieplejszego.

Lady Brandon okazała się przewidująca. Odesławszy syna, zaprowadziła Prudence do przestronnego pokoju, znajdującego się na pierwszym piętrze w zachodnim skrzydle pałacu.

- To była sypialnia mojej córki. Sophie, odkąd ma dzieci, nieco przytyła i niektóre z jej rzeczy powinny na ciebie pasować.

- Ależ, proszę pani, być może ona nie będzie z tego zadowolona...

- Nie mów głupstw! To są dziewczęce stroje i moja córka na pewno już nigdy ich nie włoży. Zachowałam je tylko przez sentyment. Jak ci się to podoba? - Wyciągnęła suknię z małym wycięciem pod szyją, w ślicznym ciemnozielonym kolorze. Dekolt i rękawy wykończone były falbanką.

- Jest chyba zbyt elegancka - odpowiedziała z wahaniem Prudence. Domyślała się, nie bez racji, że sukienkę uszyto z drogiego materiału.

- Jest ciepła, a nie chcemy przecież, abyś się przeziębila. Twoja bawełniana sukienka jest nieodpowiednia na chłody. A jeśli zima znów będzie tak sroga jak ubiegła? - Hrabina zadrzała na samo wspomnienie.

Prudence doskonale pamiętała te straszne miesiące. Na poddaszu, gdzie mieszkała, wszędzie zwisały sople lodu, śnieg zaś był tak głęboki, że z wielkim trudem dochodziło się do stojącej na dworze ubikacji.

Ta potworna zima zebrała ponure żniwo wśród wygłodzonych i osłabionych dzieci. Tak wiele z nich nie doczekało wiosny... Spoczywają teraz w ziemi, na pograżonym w ciszy cmentarzu.

Prudence wiedziała, że jej i Danowi nie grozi już taki los. Wstrząsnęła się jednak na myśl o tym, co stałoby się z chłopcem, gdyby nie lord Wentworth i jego matka. Stłumiła więc w sobie dumę i nie protestowała na widok rosnącego stosu ubrań.

Zanim minął ranek, stała się posiadaczką ciepłego wełnianego płaszcza z kapturem i licznych sukienek.

- To wystarczy, madame - powiedziała w końcu. - Nie potrzebuję aż tylu rzeczy... Ośmieszę się, udając damę.

- Dlaczego? - zdziwiła się lady Brandon, wydobywając z kufra bieliznę, koszule nocne i prześliczny czepek nocny obramowany koronkami. - Masz doskonałą figurę i jeśli zamierzasz być moją damą do towarzystwa... musisz odpowiednio wyglądać.

Prudence, mimo dręczących ją wątpliwości, uśmiechnęła się na te słowa.

- Powiedziałam coś śmiesznego?

- Proszę mi wybaczyć, ale lord Wentworth, chcąc być dla mnie miły, mówił w ten sam sposób. Kiedy się poznaliśmy, miałam na sobie strój stracha na wróble. Lord kupił mi kupon błękitnego materiału i powiedział, że uwłaczałoby to jego godności, gdybym pokazywała się przy nim w spodniach.

- Nie miałam tego na myśli. Powiedz mi, dlaczego przebrałaś się za chłopca?

- Tak było bezpieczniej. Pewien gospodarz mnie napastował...

- Rozumiem, nie musisz nic więcej mówić. - Lady Brandon pomyślała, że w tej dziewczynie było coś takiego, co musiało wywoływać u mężczyzn takie reakcje. Dziwiła się, że Sebastian tego nie zauważył.

Dzięki Bogu traktował ją jak dziecko, była przecież taka młoda i rozbijająco niewinna.

Z pewnym wysiłkiem wróciła myślami do spraw aktualnych.

- Na razie to wystarczy - orzekła w końcu. - Czy chciałabyś się przebrać od razu?

- Jak pani sobie życzy. Sukienkę, którą mam na sobie, nosiłam przez kilka już dni, jest więc okropnie wymięta i nieświeża.

- Chyba można by ją wyrzucić?

- Ach, nie! - zaprotestowała Prudence gwałtownie. - Proszę pozwolić mi ją zatrzymać. Będzie mi przypominać o naszej podróży.

- Nie wolałabyś o tym zapomnieć? Przeżyłaś wówczas ciężkie chwile.

- Tylko na początku, a potem spotkaliśmy Jego Lordowską Mość... - Głos odmówił jej posłuszeństwa i odwróciła głowę.

Lady Brandon odczuła zakłopotanie. Prudence może jeszcze sobie tego nie uświadomiła, ale najwyraźniej była już pod urokiem Sebastiana. To bardzo niedobrze. Niebieską sukienkę dostała w podarku od niego i dlatego była dla niej tak cenna.

Hrabina zeszła na dół i zastała tam syna, który był w świetnym humorze.

- Gdy będę jechał do Francji, zabiorę z sobą Sama i twojego nowego podopiecznego, Johna - oznajmił. - Skąd go wzięłaś, droga mamó? Rzadko kiedy widuje się osobnika o tak wstrętnym wyglądzie. Poza tym nie sposób go zrozumieć. Dan musiał służyć mi za tłumacza.

- John pochodzi z północy Anglii. Nie zważaj, proszę, na jego wygląd, to poczciwa dusza.

- Nie domyśliłbym się tego. Robi wrażenie człowieka, który łatwo wplątuje się w kłopoty. - Wentworth spojrział na wchodzącą w tym momencie Prudence. Dobre wychowanie nie pozwoliło mu na żaden komentarz i tylko ją pozdrowił w swój zwykły sposób, lecz był najwyraźniej zaskoczony.

Dziewczyna czuła się niezręcznie w pożyczonym stroju. Oglądając się w lustrze, stwierdziła, że suknia świetnie na nią pasowała, a głęboki odcień ciemnej zieleni podkreślił koloryt cery. Obawiała się jednak, iż lord uzna jej przebranie za niestosowne dla wychowanki sierocińca.

Gdy spojrzała na Wentwortha, natychmiast zrozumiała, że lękała się przedwcześnie, bowiem w jego oczach dostrzegła szczery podziw... i na sekundę zabrakło jej tchu.

- Wejdz, moja droga! - Lady Brandon, świadoma wymiany spojrzeń obojga, pospiesznie zmieniła temat. - Sebastian mówił mi właśnie o tym, że wybiera się do Francji.

- Ależ nie, mamó, pytałem cię o twojego ostatniego podopiecznego - zaprzeczył Sebastian. - Powiedz mi o nim coś więcej.

- Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, ale musisz wiedzieć, że John uciekł z rąk najemnej bandy łapiącej młodych mężczyzn, których potem przymusowo wcielają do wojska. Doszło między nimi do bójki i jeden z tych ludzi został ranny.

- Poważnie?

- John tego nie wie.

- A więc przygarnęłaś uciekiniera? - roześmiał się Wentworth. - Przypomina mi to wczorajszą rozmowę. No i proszę... przyjęłaś na służbę potencjalnego mordercę.

- I co w tym śmiesznego? - zapytała matka. - Proszę, bądź poważny.

- Mam pewne obawy.

- Zupełnie niepotrzebnie. John jest łagodny jak baranek. Nie należy go jednak do niczego przymuszać. Czy życzysz sobie, abym go odprawiała?

- Nic podobnego, potrzebuję takiego właśnie człowieka. Myślę, że dobrze się sprawi, ponadto jeszcze jedna rzecz przemawia na jego korzyść...

- Co takiego?

- Jest co najmniej o czterdzieści lat młodszy od reszty twoich służących - odpowiedział z żartobliwym błyskiem w oku.

- Uciekaj stąd, wstręciuchu! Nie masz za grosz dobrego wychowania ani dobrego smaku!

Wentworth, nie okazując najmniejszej skruchy, ucałował dłoń matki. Potem, kiedy przechodził obok Prudence, powiódł ręką po jej kręconych włosach.

- Wyglądasz znacznie doroślej - powiedział. - Dobrze ci w tej sukni.

Zostawił je same, zanim zdążyła zareagować, ale rumieniec na jej twarzy nie uszedł uwagi lady Brandon. Prudence pierwsza przerwała ciszę:

- Czy lordowi Wentworthowi grozi we Francji niebezpieczeństwo?

- Miejmy nadzieję, że nie. Przekonywał mnie, że nie ma się czym martwić... i oby miał rację. - Próbowała się uśmiechnąć, lecz zrobiła to bez przekonania. - Bardzo Kocham Sebastiana. Jest rozważny, mimo to jestem zadowolona, że jadą z nim Sam i John. Poznałaś już Johna?

- Nie, mylady.

- To silny mężczyzna, Sam twierdzi, że potrafi powalić wołu jednym uderzeniem pięści. - Nieco podniesiona na duchu tymi niezwykłymi umiejętnościami Johna, hrabina wstała i powiedziała weselszym tonem: - Pora na lunch. Przed upływem tygodnia powinny nadejść jakieś wieści od Gillesa. Dziś po południu możesz obejrzeć bibliotekę i zacząć pracę.

Rozumiała, że Prudence potrzebuje konkretnego zajęcia, aby nie mieć czasu zamartwiać się tym, że gdy Sebastian wyjedzie do Francji, grozić mu tam będą liczne niebezpieczeństwa.

Nie doceniła jednak intensywności uczuć dziewczyny. Prudence, pozornie skupiona na instrukcjach, których udzielała jej po południu hrabina, wprost drżała z niepokoju.

A jeśli lordowi Wentworthowi wydarzy jakiś wypadek? Nawet nie była w stanie myśleć o takiej ewentualności. Nie zobaczyłaby więcej, jak spogląda na nią spod przymkniętych powiek, uśmiechając się przy tym z rozbawieniem. Przyzwyczyła się już do jego żartów i nauczyła się odpowiadać mu w ten sam sposób. Miała zamęt w głowie i lady Brandon to zauważyła.

- Nie chciałabym cię zanudzić zbyt dużą ilością szczegółów - powiedziała miłym tonem. - Zrobisz, jak potrafisz najlepiej. Zaczynaj od wyszukania książek, które wymagają odnowienia.

Prudence skinęła głową, kiedy jednak lady Brandon opuściła bibliotekę, usiadła i ukryła twarz w dłoniach. Co się z nią stało? Aż do dzisiaj jej głównym celem było odnalezienie rodziców, lecz teraz lord Wentworth opanował jej myśli i wszystko inne stało się mało ważne.

Z trudem wracała do równowagi. Jeśli jej zachowanie wynikało z wdzięczności, było to dla niej coś zupełnie nowego. Doszła do smutnego wniosku, że nie powinna była zgodzić się na pozostanie w Hallwood. Z drugiej strony, gdyby tak nie postąpiła, naraziłaby Dana i siebie na przerażająco niepewne jutro.

Wolałaby nie zastanawiać się nad przyszłością, ale przecież obecne szczęście może nie trwać długo. Wentworth kiedyś się ożeni i jest bardzo prawdopodobne, że jego żona nie będzie tak zycliwie patrzeć na parę podrzutków.

Otrząsnęła się i zabrała się do przeglądania książek, aby nie poddać się ogarniającej ją rozpacz, Postanowiła, że będzie sprawdzać je po kolei, półka po półce i wyszukiwać najbardziej zniszczone tomy.

Lady Brandon wyjaśniła, że należy zwrócić uwagę na ślady wilgoci oraz uszkodzenia zrobione przez owady. Wkrótce odnalazła mocno zapleśniałe woluminy, oprawione w piękną skórę, i odłożyła je na bok. Potem poprosi o miękkie suche szmaty, żeby dokładnie je oczyścić.

Niektóre z książek były bardzo ciężkie i z trudem je podnosiła. Przy ich otwieraniu i zamykaniu unosił się kurz, który bezwiednie ocierała z policzków brudnymi rękoma.

Po kilku godzinach poczuła zmęczenie, oparła się więc o stół i spojrzała na efekty swej pracy. Biblioteka była ogromna, od podłogi po sufit zastawiona regałami. Po przejrzeniu zaledwie kilku półek zrozumiała, że skatalogowanie całości zajmie kilka dobrych miesięcy.

Przede wszystkim miała sporządzić wykaz tomów w przygotowanym do tego celu przez lady Brandon rejestratorze z wyjmowanymi kartami, lecz nie mogła teraz dotykać papieru tak brudnymi rękoma. Odszukała drabinkę biblioteczną i ustawiła ją w jednym z kątów pomieszczenia. Mimo to nadal nie sięgała do najwyższych trzech półek, dziś jednak nie musiała zdejmować z nich książek.

Wchodzenie i schodzenie po drabinie okazało się męczące. Przydałaby się jeszcze jedna para rąk. Postanowiła namówić Dana do pomocy, co nie powinno być trudne, gdy Sam wyjedzie.

Spojrzała do góry na ostatnią półkę i dostrzegłszy jedyną leżącą tam książkę, uznała, że musi ją zdjąć. Weszła ponownie na drabinę i chwyciła nadszpiewanie gruby tom, pod ciężarem którego aż się zachwiała. Ponieważ obie ręce miała zajęte, nie mogła przytrzymać się ani półki, ani drabiny.

W tym momencie otworzyły się drzwi biblioteki i usłyszała wołanie:

- Prudence!

Przestraszona odwróciła się na głos Wentwortha i nie trafiła nogą na szczebel. Z krzykiem runęła w dół - i znalazła się w jego ramionach.

Przez długą, niemal jak całe życie chwilę, leżała w objęciach lorda. Wentworth posadził ją na niskim dębowym krześle.

- Chciałaś się zabić? - zapytał ze złością. - Co za głupota!

- Przestraszył mnie pan! - odparowała. Łatwiej było atakować go, niż przyznać się, że jego dotyk zakłóca spokój jej ducha. Przytulona do piersi lorda, prawie straciła zdolność do racjonalnego myślenia. To dziwne, jak silnie działała na nią jego bliskość. Odepchnęła go i usiłowała wstać.

Bez żadnych ceregieli posadził ją z powrotem na krześle.

- Idiotka! - powiedział ostrym tonem. - Jeśli jeszcze raz odważysz się wejść na tę drabinę, będziesz miała ze mną do czynienia.

- Muszę przecież przejrzeć książki. W tym celu zatrudniła mnie lady Brandon...

- Lecz nie po to, żebyś skreśliła sobie kark. Nie przypuszczałem, że jesteś aż tak głupia. - Jego twarz pociemniała z gniewu.

- A co to pana obchodzi? - krzyknęła, straciwszy panowanie nad sobą. - Jak śmie mi pan rozkazywać? Nie jestem pana własnością!

- Tym się tylko pocieszam. Od kiedy cię poznałem, wciąż wpadasz w jakieś kłopoty. Powiniennem być chyba pozwolić, żebyś rozbiła sobie głowę, bo nie masz w niej, jak mi się wydaje, za grosz rozumu!

Prudence wpatrywała się w niego zaskoczona. W jego oczach widziała wściekłość. Zachowanie Wentwortha nie miało żadnego sensu. Tak się zdenerwować z powodu zwykłego upadku? Gdy to powiedziała, ze strachu aż się odchyliła do tyłu, bowiem lord gwałtownie się ku niej nachylił.

- Gdybyś nie była kobietą, dałbym ci niezłą nauczkę! - wykrzyknął, zaciskając pięści.

- Bardzo dobry pomysł - odrzekła przesadnie uprzejmym głosem. - Nie zraniłam się, spadając z drabiny, ale pan, jak widać, pragnie zostawić mi jakieś siniaki.

- Miałaś szczęście, że nie złamałaś nogi! Co wtedy by było?

- Pewnie pan złamałby mi drugą, by stosownie mnie pouczyć...

Kąciki ust Sebastiana drgnęły, ale nie dawał się tak łatwo ułagodzić.

- Bądź cicho! - rozkazał szorstko. - Wyglądasz, jakbyś pracowała w kopalni węgla. Masz czarne ręce i brudne smugi na policzkach. Gdzie twoja chusteczka do nosa?

- Nie dostałam żadnej - odpowiedziała hardo, a potem spytała: - Gdzie jestem brudna?

- Siedź spokojnie! - Wyjął swoją chusteczkę i niezbyt delikatnie zaczął wycierać smugę na policzku dziewczyny. - No, już lepiej! Szybko umyj ręce. Tu, na wsi, jadamy obiad wcześniej.

- Czy Wasza Lordowska Mość wybaczy mi moje nieodpowiedzialne zachowanie? - powiedziała chłodno Prudence i z godnością wyszła, by wykonać jego polecenie. Lord potraktował ją jak krnąbrne dziecko i czuła się ogromnie upokorzona.

Zupełnie nie miało znaczenia to, że Wentworth słusznie na nią nakrzyczał. Postąpiła głupio, wchodząc na drabinę, gdy w pobliżu nie było nikogo, ale to nie powód, aby zachował się wobec niej tak nieuprzejmie. Przecież nic się jej nie stało.

Na szczęście podczas obiadu Sebastian ani słowem nie wspomniał o jej wypadku. Rozmawiano o planowanej podróży do Francji, trudnościach i niebezpieczeństwach, jakie zagrażać będą lordowi w ogarniętym rewolucją kraju, oraz o tym, jakich należy użyć sposobów, by sprowadzić do Anglii Sophie i jej dzieci.

W którymś momencie lady Brandon, zmieniając temat, zapytała:

- Gdzie podziewa się Dan?

- Pewnie w kuchni - zaśmiał się Wentworth. - On zawsze wchodzi w komitywę z kucharką.

- Trzeba go bardziej wziąć w karby - mruknęła Prudence.

- No to trzymaj go przy sobie - zareagował ostro lord.

- Mógłby skakać po drabinie i podawać ci książki.

Ton, w jakim wypowiedział te słowa, bardzo zdziwił jego matkę. Widać dobry humor opuścił Sebastiana. Spoglądała to na jedno, to na drugie, domyślając się, że musiało coś między nimi się wydarzyć.

Ponieważ żadne z nich nie zamierzało wyjawić powodu nieporozumienia, lady Brandon zwróciła się do Prudence:

- Nie musisz przebywać cały dzień w domu. Poproś jutro ogrodnika, żeby ściał trochę kwiatów, choć w tym roku nie ma ich za dużo.

- Może pozwoli ci użyć swojego sekatora, Prudence - wtrącił złośliwie Sebastian. - Będiesz miała następną okazję, aby zrobić sobie krzywdę.

Umilkł, zganiony spojrzeniem matki.

- Weź z sobą Dana - zaproponowała. - Gdy będzie przy tobie, nie będziesz się o niego niepokoiła.

- Dziękuję pani. Proszę mi wybaczyć, pójdę i od razu z nim porozmawiam. - Pod tym pretekstem Prudence szybko opuściła jadalnię.

Pragnęła jak najszybciej zejść z oczu Sebastianowi. Dlaczego nagle stał się taki przykry? Bo weszła na tę przeklętą drabinę? Jego sarkazm był nie do zniesienia.

Może już żałował, że zaofiarował im pobyt w Hallwood. Temu łatwo będzie zaradzić, przy najbliższej okazji porozmawia z lady Brandon. Ich odejście może być poczytane za czarną niewdzięczność, ale cóż innego jej pozostało?

- Zrobiłeś przykrość dziewczynie. - Hrabina była zła na Sebastiana. - Zaskoczyłeś mnie swoim zachowaniem. Czy nie uważasz, że dość już doświadczyła w życiu?

- Przepraszam cię, mamó - odrzekł wyraźnie zawstydzony. - Nie jestem dziś w najlepszym nastroju. Powinienem bezzwłocznie wyjechać do Francji. Mój zły humor nie ma nic wspólnego z Prudence.

- To dlaczego wyładowujesz się na niej?

- Jest zbyt wrażliwa - odrzekł szorstko. - Nie rozumiem jej. Najchętniej unikałaby mnie...

- Lepiej się z nią pogódź. Nie lubię kłótni w domu. Pochylił się i całując ją w czoło, zapewnił:

- To się więcej nie powtórzy, tylko nie pojmuję, dlaczego ona tak mocno bierze do serca moje słowa.

Tych wątpliwości nie miała natomiast lady Brandon, dostrzegła bowiem, że Prudence zależało przede wszystkim na dobrej opinii jej przystojnego syna.

Lord udał się na poszukiwanie dziewczyny, lecz nigdzie nie mógł jej znaleźć. Zastanawiał się już nawet, czy nie posłać służącej do jej pokoju. Być może tam się schroniła, by przeżywać w samotności swoje nieszczęście.

Z pewną przykrością stwierdził, że Prudence, wbrew oczekiwaniom, nie przyzwyczała się jeszcze do jego sposobu mówienia, który rzeczywiście jest może zbyt obcesowy. Nie zamierzał wcale jej urazić, lecz kobiety to takie dziwne stworzenia. Dopatrują się specjalnego znaczenia w najmniejszym słowie.

I stało się to tak szybko, pomyślał z goryczą. Prudence była przecież jeszcze dzieckiem, nie zaś kobietą, a już zdążyła go solidnie zirytować.

Uczciwość nakazywała mu jednak przyznać, że nie była to cała prawda. Jej niewinność działała na niego rozbijająco. Nie dąsała się i nie wdzięczyła, nie przywiązywała większej wagi do wyglądu, nie śmiała się głupio ani nie przytakiwała każdemu jego słowu, jak to robiła większość znanych mu panien. Z Prudence znacznie łatwiej dochodził do porozumienia, choć niekiedy bywała bardzo denerwująca.

Bez wątpienia, w miarę dorastania, straci niewinność. Trzeba więc uważać na to, co się mówi. Zdał sobie sprawę, że ją zranił, i nie rozumiał, dlaczego tak postąpił.

Tego rana wstał w wyjątkowo dobrym humorze i tak było dopóty, dopóki nie zobaczył, jak dziewczyna omal nie skręciła karku. Gniew był usprawiedliwiony, nie powinien był jednak okazać takiego braku dobrego wychowania.

Zaniepokoił się jeszcze bardziej, gdy stwierdził, że Prudence nie ma w domu. Wyszedł do ogrodu i spojrział w gęstniejący już mrok. Poczłł chłodny powiew wiatru i zadrzał, lecz nie z zimna. Czy przypadkiem dziewczyna znów nie postanowiła uciec?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Doznał uczucia niezmierniej ulgi, gdy usłyszał dobiegający od strony stajni śmiech Dana. Prudence nie odeszłaby nigdy bez chłopca. Ruszył szybko w tamtym kierunku, lecz ujrzał tam tylko Dana.

- Głaskałem Naparstnicę, Sam mi pozwolił... - Dan patrzył niepewnie na zachmurzoną twarz Wentwortha.

- W porządku. Czy widziałeś Prudence?

- Myślałem, że jest w domu.

- Oczywiście. To nieważne... - Nie chciał niepokoić chłopca, ale musiał odnaleźć dziewczynę.

Nie mogła nigdzie daleko odejść. Nie zdążyłaby, nie zna przecież okolicy. Może zablądziła albo wpadła do strumienia. A dalej znajdowało się jezioro...

Idąc ścieżką wśród gęstych krzaków, przeklinał sam siebie za ostre słowa, wypowiedziane pod adresem Prudence. W końcu ją ujrzał.

Stała na drewnianym mostku i spoglądała w wodę. Nie poruszyła się, gdy podszedł. Obrócił ją twarzą do siebie.

- Głuptas z ciebie - zażartował. - Sądziłem, że znasz mnie lepiej i nie obrazisz się z powodu mojego złego humoru.

- Wcale pana nie znam! - odrzekła krótko Prudence, a Wentworth dostrzegł podniesiony podbródek i złość w jej oczach. Przypomniał sobie moment, gdy zobaczyli się po raz pierwszy. Duma stawała się jej przebraniem. Od razu domyślił się, że powzięła jakąś decyzję.

- Czy byłem aż tak niemiły? - zapytał cicho. - Przepraszam za moje zachowanie. Czy wybaczysz mi?

- Nie mam panu nic do wybaczenia. Może pan mówić i robić, co tylko zechce. Wiem, że zirytowałam pana.

- Przestraszyłaś mnie. Nie chciałbym, żeby stała ci się jakakolwiek krzywda.

- Nie potrzebuję pana troski. Widzę, że popełniłam błąd, zgadzając się na pozostanie tutaj. To nie jest życie dla mnie. Jeszcze dziś porozmawiam z lady Brandon.

- Po co ten pośpiech? - Wentworth patrzył na jej pełną napięcia drobną twarz. Odsunęła się od niego, utkwivszy wzrok w przepływającym strumieniu. - Być odważną, Prudence, to jedna rzecz, ale być w gorącej wodzie kąpaną to zupełnie coś innego. Nie podejmuj decyzji pod wpływem złości. Czy nie rozważniej byłoby zastanowić się nad tym problemem?

- Pan nic nie rozumie - odparowała. - Przemyslałam to już... Jeżeli tu zostanę, przywyknę do łatwego życia, a my z Danem musimy sobie radzić sami... I nie powinniśmy zwlekać.

Była to tylko połowa prawdy. Ją samą zaskoczyła własna reakcja na jego nieuprzejmość. Na krótki czas została wytracona ze swojego środowiska i to uczyniło ją bezbronną.

Ostre słowa nie były dla niej niczym nowym. Znosiła je przez całe dotychczasowe życie, przechodząc nad nimi do porządku dziennego. Jednak tym razem było inaczej i zrozumiała grożące jej niebezpieczeństwo. Jeśli zaraz opuści Hallwood, może odzyska spokój ducha, natomiast gdy pozostanie, jeszcze bardziej przywiąże się do Wentwortha, co skończy się dla niej nieszczęściem.

Ból, jaki teraz odczuwa, stanie się nie do zniesienia. Nie chciała później cierpieć i dlatego musiała się na coś zdecydować.

- I to wszystko z powodu kilku przykrych słów? - szepnął. - Czy pomyślałaś o Danie? On jest tutaj tak szczęśliwy.

Spojrzała na niego z wyrzutem. Było to uderzenie poniżej pasa. Przecież wiedział, że na pierwszym miejscu stawia dobro Dana.

- Będę o niego dbała - odrzekła stanowczo.

- Jak do tej pory? Wybacz mi, ale muszę wyłożyć sprawę jasno. Mądrzej będzie, gdy zmienisz decyzję, bo inaczej narazisz Dana na głód i poniewierkę.

Na te słowa Prudence po raz pierwszy zadrzała i Wentworth dostrzegł wahanie w jej twarzy.

- Zawrzyjmy umowę, Prudence. Zostańcie tu na miesiąc. Obiecuję, że będziesz mogła skakać po drabinach bez żadnych przeszkód. Do twojej dyspozycji oddam najdziksze rumaki z mojej stajni i będziesz jeździć kariolką*, ile tylko zechcesz. I nikt mnie nie oskarży, że cię rozpieszczę.

Na widok jego rozbijającego uśmiechu poczuła ucisk w sercu.

- Pan sobie ze mnie drwi, lordzie.

- Przeciwnie, jestem śmiertelnie poważny. Zobaczysz, wszystko się ułoży... - Objął ją ramieniem.

- Jesteśmy znowu przyjaciółmi, prawda?

Ponieważ Prudence nie zaprotestowała, był zadowolony i z tego, choć podejrzewał, że utracił jej zaufanie. Minie trochę czasu, zanim ponownie je odzyska.

Dziewczyna znów poczuła się zagrożona i na powrót między nimi pojawiła się niewidzialna bariera, na co, przynajmniej w tej chwili, nic nie mógł poradzić.

- Umawiamy się więc na miesiąc, zgoda? Ten czas minie szybko i na pewno nie będzie dla ciebie stracony. Moja matka bardzo liczy na twoją pomoc, gdy przyjedzie do nas Sophie. Poza tym, może uda nam się natrafić na ślad twojej rodziny.

Twarz Prudence natychmiast się rozjaśniła.

- Naprawdę zrobi pan to dla mnie?

- Tylko pod tym warunkiem, że przestaniesz na mnie tak srogo patrzeć - zażartował. - Poważnie mówiąc, Prudence, obiecuję, że uczynię co w mojej mocy, daj mi jednak słowo, że nie popełnisz jakiegoś głupstwa.

- Co ma pan na myśli?

- Nie chciałbym szukać was po całym kraju, gdybyś znowu uciekła. Moje nerwy tego nie wytrzymają.

*Kariolka - lekki, odkryty powozik dwukołowy.

Roześmiała się, a on poczuł, że ponownie zapanowało między nimi przyjazne porozumienie. Bezwiednie pogłaskał jej dłoń.

- Dogadaliśmy się?

Prudence, patrząc na jego silną rękę, pomyślała, że jeśli ktokolwiek miałby rozwiązać zagadkę jej pochodzenia, to tylko Sebastian. Skinęła głową na znak zgody.

- Wspaniale! Uciekajmy stąd. Wieczorne powietrze robi się chłodne.

Dziewczyna wróciła do domu w znacznie lepszym nastroju.

Następnego dnia od rana urzędowała w bibliotece. Nie usłyszała otwierających się drzwi i przestraszyła się, kiedy pozdrowił ją jakiś obcy głos.

- Czy przeszkadzam? Mama powiedziała, że mogę sam się przedstawić. Jestem bratem Sebastiana.

Prudence uśmiechnęła się, widząc figlarny wyraz jego twarzy.

- To znaczy, że nazywa się pan Peregrine. Przepraszam, ale nie znam pana tytułu.

- Wszyscy mówią do mnie Perry. Widzę, że jest pani zajęta. Czy mógłbym w czymś pomóc?

Prudence natychmiast go polubiła, wyczuwając w nim szczerą życzliwość dla innych.

- Zabroniono mi wchodzić na drabinę - odrzekła z poważną miną. - Wobec tego nie wiem, jak mam sięgnąć po książki na górnych półkach.

- Nic prostszego! - rzekł wesoło. - Którą pani sobie życzy? - Wspiął się na drabinę i patrzył na dziewczynę z uśmiechem.

Przyglądała mu się z zainteresowaniem. Domyślała się, że nie był wiele od niej starszy, natomiast rodzinne podobieństwo do lorda Wentwortha i do hrabiny Brandon było niezaprzeczone. Miał te same ciemne oczy i wyraziste rysy twarzy, był też bardzo wysoki. Wyczuwała jednak pewną różnicę. Po sekundzie namysłu doszła do wniosku, że chodziło o rysunek ust.

Przez jakiś czas gawędził beztrąsko i z jego pomocą praca posuwała się szybko do przodu. Wkrótce jednak znużył się.

- To nudne, Prudence. Mogę tak cię nazywać? Nie chciałabyś wyjść na dwór? Ja wolę przebywać na świeżym powietrzu.

- Słyszałam, że lubi pan żeglowanie.

- Nie ma nic przyjemniejszego, niż czuć lekki podmuch wiatru i ślizgać się po morskich falach, mając pod stopami pokład pięknego żaglowca... przypomina to lot ptaka. Co o tym sądzisz?

- Nie wiem. Nigdy nie pływałam po morzu. Najwyraźniej jej odpowiedź go zaskoczyła, ale szybko się opanował.

- Mieszkałaś w głębi kraju? Nie szkodzi, z przyjemnością zabiorę cię na wybrzeże. Jeździsz konno?

- Niestety, nie. - Nie ulegało wątpliwości, że Perry nic nie wiedział o jej przeszłości. Lady Brandon zachowała taktowne milczenie, ale nie można przecież pozwolić, aby ten młodzieniec brał ją za kogoś, kim nie jest.

- Nie jestem tutaj na wakacjach, sir - wyjaśniła. - Lady Brandon była na tyle uprzejma, że przyjęła nas...

- Was?

- Jest ze mną chłopiec. Ma na imię Dan.

- Czy on jest pani... ? - Perry zadał to pytanie bez zastanowienia i nagle zaczerwienił się aż po korzonki włosów. - Proszę mi wybaczyć! Nie mam prawa pytać o takie rzeczy.

- Nic się nie stało. Dan nie jest moim krewnym, jest moim przyjacielem.

Zauważyła błysk podejrzenia w jego oczach, ale nie sposób było się na Perry'ego obrażać.

- Ma dwanaście lat - dodała.

- No to wszystko w porządku. Nie będzie mógł sprzeciwić się, kiedy będę uczyć panią jazdy konnej - orzekł rozradowany Perry.

- Widzę, że mnie pan nie zrozumiał. Dan i ja jesteśmy dłużnikami lorda Wentwortha i lady Brandon za to, że uratowali nas od nędzy...

- Moja matka często tak postępuje wobec mnie - odpowiedział Perry beztrąsko. - Teraz, na przykład, nie mam ani pensa w kieszeni.

Prudence usiłowała zapanować nad ogarniającą ją złością.

- Przypuszczam, że nigdy pan nie głodował ani nie znalazł się bez dachu nad głową - powiedziała ostro.

Widząc jego zmieszanie, pożałowała natychmiast swego złośliwego tonu. Ten czarujący młodzieniec, jak inni przedstawiciele jego klasy, nie miał przecież najmniejszego pojęcia o prawdziwie ciężkim życiu.

- Powiedziałam to bez zastanowienia - tłumaczyła się. - Musi pan wiedzieć, że Dan i ja byliśmy w strasznym stanie, kiedy znalazł nas lord Wentworth.

- Seb was znalazł? Nic nie rozumiem.

- Uciekliśmy... zostaliśmy oddani do pracy w tkalni. Perry przyglądał się jej z ogromnym zainteresowaniem.

- I poczciwy Seb wam pomógł? To niepodobne do niego, nigdy jeszcze nie złamał prawa. W naszej rodzinie to moja specjalność. Niech tylko teraz spróbuje mi coś powiedzieć!

- Proszę, żeby nie poruszał pan tego tematu, dopóki lord Wentworth sam nie zacznie rozmowy. Zdawał sobie sprawę, że narusza prawo. Okazał nam jednak wielką życzliwość.

- Seb jest zawsze w porządku, dopóki coś nie wyprowadzi go z równowagi. Wtedy wygląda bardzo groźnie - mówiąc to, Perry zrobił srogą minę, zupełnie jak jego brat, i Prudence zaczęła się śmiać.

- To znaczy, że pani też to widziała. - Perry zmarszczył jeszcze bardziej czoło i zaczął chodzić po pokoju dużymi krokami, doskonale parodiując lorda Wentwortha. - Panno Prudence, musi pani być mi całkowicie posłuszną, bo inaczej źle się to dla pani skończy - oznajmił. - A teraz czas na miażdżące spojrzenie... Czy było wystarczająco surowo? - Patrzył na nią lodowatym wzrokiem.

Prudence usiłowała bez skutku ukryć rozbawienie.

- Któregoś dnia posunie się pan za daleko - ostrzegła go. - A gdyby teraz zobaczył pana brat?

- No to miałbym się z pyszna! On uwielbia przywoływać mnie do porządku.

- A nie zasługuje pan na to? - spytała żartem.

- Oczywiście, że tak. Z wielką ochotą dołączyłby do niego Sam. Nie może mi darować, że wzięłem kiedyś czarnego ogiera należącego do Seba. Szkoda, że nie widziała pani jego miny, gdy wróciłem z przejażdżki. Nie posiadał się z wściekłości.

Perry udał ogromne przerażenie i Prudence, nie panując już nad sobą, roześmiała się w głos.

- Jest pan wyjątkowym pomocnikiem! - zawołała, gdy do pokoju wszedł Wentworth.

- Widzę, że już się poznaliście. - W jego tonie była oziębłość, której Prudence nie rozumiała.

Może nie spodobało mu się, że zaprzyjaźniła się z jego młodszym bratem?

Perry, niczym nie zrażony, zwrócił się do niego:

- Prudence tak ciężko pracowała, że postanowiłem trochę ją rozerwać.

- I najwyraźniej ci się udało. Prudence może w każdym momencie przerwać pracę i dobrze o tym wie.

- Nie mam na to ochoty. - Dziewczyna spojrzała na Perry'ego. - Myli się pan, nie uważam tej pracy za nudną. Bardzo proszę nie zważać...

Perry spoglądał to na brata, to na dziewczynę.

- Czyżbym znowu zrobił coś niewłaściwego? Przepraszam cię, Prudence. Od tej chwili możesz sama wspinać się na drabinę, taszczyć ciężkie tomy i do woli pokrywać się kurzeni.

- Nie ma mowy o tym - rzekł z naganą lord. - Perry, czy dobrze zrozumiałem, że pomagałeś Prudence w pracy?

- Można to tak określić. Spójrz tylko, ile dziś zrobiliśmy! - Wskazał na odkurzone książki, ustawione ponownie na półkach. - Mówię ci, jestem wykończony.

- Pewnie to niemal tak samo wyczerpujące jak podróż morzem z Dover do Calais - padła ironiczna odpowiedź.

- To co innego. Podobno wybierasz się do Francji po Sophie. Zabierzesz mnie z sobą?

- Nie, wolę, żebyś tu został. Matka ma już i tak dość zmartwień.

Peregrine od razu stracił dobry humor.

- Seb, to nie fair. Czy dlatego, że chciałem wygrzmocić jednego faceta? Zasługiwał na to. Nie wyobrażasz sobie, co się teraz dzieje we Francji. Mówię ci...

- Pozwól, że sam się o tym przekonam. Twoja sprzeczka z jakimś chłopem nie wpłynęła w żaden sposób na moją decyzję. Musisz ta zostać i mieć oko na pewne sprawy.

- Tutaj wszystko toczy się w ustalonym porządku - odrzekł nadąsany Perry. - Chyba nie spodziewasz się u nas rewolucji?

- Tego nie można całkiem wykluczyć. Frederick donosi z Whitehall, że rząd bierze to pod uwagę. Nie sądzę, żeby mogły wybuchnąć u nas jakieś rozruchy, ale inni nie są tak optymistyczni.

- Te stare baby w gabinecie? - W głosie Perry'ego zabrzmiała nieskrywana pogarda. - Gdyby mieli trochę oleju w głowach, wysłaliby wojsko na pomoc królowi Francji.

- I wciągnęliby nasz kraj w wojnę. Muszę pamiętać, żeby w razie czego wyperswadować ci zamiar zajęcia się polityką.

- Nie ma obawy - skrzywił się Perry. - Jakie życie pędzi polityk? Siedzi w zamknięciu cały dzień i nie ma nic do roboty, tylko ziewa! - Ironia zawarta w słowach Sebastiana wcale do niego nie dotarła.

- Cieszę się, że moje obawy okazały się bezpodstawne - padła łagodna odpowiedź. - W jednej sprawie masz rację. Prudence już dosyć się dzisiaj napracowała.

Spojrzała na niego, lecz on uprzedził jej protest.

- Dan cię szuka, moja droga. Ma ci wiele do powiedzenia. Wygląda na to, że zamienisz jednego gadułę na drugiego. - Uśmiechał się, gdy wychodziła z pokoju.

- Ona jest bardzo zabawna, nie uważasz? - z kpiącą miną zapytał Perry.

- Tak myślisz?

- A ty jesteś innego zdania? Podejrzewam, że poczęstowałeś ją swoimi kazaniami, ale ona i tak cię uwielbia. - Zachichotał. - I zupełnie nie rozumiem, dlaczego!

- Serdeczne dzięki! Nie będzie jej łatwo. - Wentworth zaczął przerzucać strony jednej z książek.

- Skoro musiałeś tu sprowadzić kobietę, jestem zadowolony, że nie jest ona ani krostowata, ani zezowata.

- Boże! Jesteś pozbawiony taktu jeszcze bardziej, niż myślałem.

- A czy to nieprawda? Ona ma taką twarz, że musisz na nią spojrzeć dwa razy. Jest w niej coś takiego... chciałem. ..

- Co mianowicie chciałeś? - Pytanie było banalne, ale Wentworth wypowiedział je przez zaciśnięte szczęki.

- Nie wiem... zaprzyjaźnić się z nią.

- Prudence bardzo potrzebuje przyjaciół, a zwłaszcza takich, którzy nie zamierzają zrobić jej krzywdy.

Było to wyraźne ostrzeżenie i Perry zaczerwienił się.

- Chyba nie podejrzewasz, że mógłbym zrobić jej coś złego.

- Mam nadzieję, Peregrine, że tego nie uczynisz.

- Niech cię diabli, Seb! Kiedy zwracasz się do mnie pełnym imieniem, to czuję, że grozi mi niebezpieczeństwo. Wiesz przecież, że nie jestem rozpustnikiem.

Starszy brat uśmiechnął się.

- Oczywiście, że wiem, lecz Prudence jest jeszcze bezbronnym dzieckiem.

- Nie musi się mnie obawiać. Ona boi się raczej ciebie.

- Co masz na myśli? - zapytał zdziwiony Wentworth.

- Nie patrz tak na mnie! Chodzi tylko o to, że kiedy zaproponowałem jej naukę jazdy konnej lub wycieczkę łodzią, odmówiła mi. Najwidoczniej lękała się, czy ci się to spodoba.

- Nie mam nic przeciwko temu. Nie powinna cały czas siedzieć w domu.

- Doskonale! Powiedz jej to sam. Wbiła sobie do głowy idiotyczny pomysł, że dla niej rozrywki są zabronione.

- To uparta dziewczyna i dumna jak sam diabeł. - W głosie lorda było coś dziwnego i Perry natychmiast to zauważył. Ponieważ nie domyślał się powodu, zawahał się, zanim znowu się odezwał.

- Na pewno nie masz nic przeciwko? - zapytał w końcu. • - Oczywiście, że nie.

- To wspomnisz jej o tym?

- Możesz na mnie polegać. Zostawmy już ten temat - odrzekł Wentworth z widocznym rozdrażnieniem i skierował się do drzwi. Najwyraźniej pragnął skończyć tę rozmowę.

Perry zachował powagę. Zyskał, co chciał, bowiem Prudence nie będzie już miała żadnych argumentów, by unikać przyjemniejszych zajęć w jego towarzystwie. W głębi ducha był jednak pewien, że to dla Sebastiana dziewczyna skoczyłaby w ogień, gdyby tylko zaistniała taka konieczność.

Wentworth zatrzymał się z ręką na klamce.

- Jeszcze jedna rzecz, Perry. Jeśli masz uczyć Prudence jazdy konnej, musisz być stanowczy. Czasami zapomina ona o rozsądku i daje się ponieść brawurze.

- Nie martw się! Wsadzę ją na najstarszego konia w stajni. Nic jej nie będzie grozić.

Po wyjściu brata Peregrine cicho gwizdnał. Nie miał zamiaru badać osobistych motywów zachowania starszego brata, ale było w nim coś dziwnego. Sebastian błędził gdzieś myślami i nabrał intrygującego zwyczaju patrzenia w przestrzeń.

Perry wzruszył ramionami. Sebastian i tak nic mu nie powie, nawet gdyby go o to zapytał. Może obmyślał swoją podróż do Francji? Z poczuciem krzywdy, że nie pozwolono mu wziąć udziału w tej wyprawie, udał się na poszukiwanie Prudence.

Kiedy ją odnalazł, rzuciła piłkę do chłopca o marchewkowych włosach, który odrzucił ją tak szybko, że dziewczyna nie zdążyła jej łapać.

Perry przebiegł przez trawnik, chwycił piłkę w locie, po czym z głośnym okrzykiem triumfu odbił ją nogą.

- A niech mnie! Fantastycznie! - Dan spojrział na niego z podziwem. - Czy gra pan w krykieta?

- Mój drogie panie, ma pan przed sobą gwiazdę miejscowej drużyny! To ty jesteś Dan?

Prudence trąciła chłopca.

- Ukłoń się - powiedziała. - Ten dżentelmen to brat lorda Wentwortha. Przepraszam, ale nadal nie znam pana tytułu.

- Gdybym ci go zdradził, będziesz go wciąż używać - odparł. - Nie wystarczy po prostu Perry? Ja do ciebie mówię po imieniu. A może życzyś sobie, żebym zwracał się do ciebie panno... ?

- Nazywam się Prudence Consett, proszę jednak, by w dalszym ciągu mówił mi pan po imieniu.

- Czy to wypada? - Perry nie mógł się powstrzymać od podroczenia się z nią. - Mojemu bratu może się to nie spodobać.

- Jego Lordowska Mość bardzo lubi żartować. - Prudence nie podjęła jego tonu. Dwaj bracia najwyraźniej rozmawiali o niej.

- Uzgodniliśmy więc? Ja jestem Perry, ty Prudence, a to jest Dan.

- Ja również mogę mówić do pana Perry? - zapytał niepewnie Dan.

- Oczywiście, w przeciwnym razie zdrowo ci dołożę. Dan natychmiast polubił nowego przyjaciela.

- Widziałeś żrebaka? - zapytał.

- Jeszcze nie, lecz ty mi go pokażesz.

Gdy weszli na podwórzec stajenny, Sam udał, że nie dosłyszał wesołego powitania Perry'ego.

- Nadal jestem u ciebie na czarnej liście, Samie? Przychodzę skruszony, z dwoma uczniami do twojej szkoły jazdy konnej.

- Mam nadzieję, że to nie pan będzie uczył ich jeździć, panie Perry, bo przy panu łatwo skreć kark - odburknął Sam.

- Ależ skąd! Zdajemy się na ciebie! Potrzebna nam spokojna klacz dla panny Prudence, myślałem o Iskrze, i kucyk dla Dana.

- Kucyk nie jest odpowiedni dla tak dużego chłopca - oświadczył Sam. - Wybiorę Danowi jakiegoś konia. A co do Iskry, zgoda.

- Jej imię nie brzmi uspokajająco - zaniepokoiła się Prudence. - Nigdy przedtem nie siedziałam w siodle.

- Nie bój się! Iskra jest łagodna jak owieczka. To imię jest całkiem sprzeczne z jej naturą. Nie jest wcale narowista. Prawdę mówiąc, jest powolna jak ślimak.

- Nie wiem, po co w ogóle ją trzymamy - stwierdził z pogardą Sam. - Ma być dla lady.

- Wybierzesz dla mnie konia, Samie? - Oczy Dana błyszczały z podniecenia. - Cudownie! Nigdy nie przypuszczałem, że spotka mnie takie szczęście!

- Chłopak radzi sobie z końmi - rzekł nieco rozchmurzony Sam. - Z nim nie będziemy mieć kłopotu.

Prudence pomyślała z rozbawieniem, że widać nie ma takiej pewności co do jej osoby.

- Nie będę miał kłopotów z żadnym z moich uczniów, choć spodziewam się, że przez kilka następnych dni będą jadać posiłki na stojąco.

- Nie stanie się tak, jeśli użyje pan swojego rozumu, panie Perry. Pierwsze lekcje nie powinny trwać zbyt długo.

- Naturalnie. Zaczynamy jutro. Masz dosyć maści?

- A do czego ona? - zapytał Dan.

- Żeby natrzeć twoje rany i obtarcia, jeśli wytrzymasz jej zapach. Strasznie śmierdzi.

- Niech pan da spokój tym głupstwom, panie Perry. - Sam pozwolił sobie na lekki uśmiech. - Wcale nie będzie to potrzebne.

- Pod warunkiem, że nam pomożesz, Samie. Czy możemy na to liczyć?

- Proszę cię, Samie! Jeśli ty będziesz obok, nie będę się bał. - Dan utkwił błagalny wzrok w swoim idolu i Sam nie mógł się oprzeć jego prośbie.

- No już dobrze, dobrze - mruknął. - Chodź, chłopcze, obrządzimy Iskrę.

Kiedy obaj odeszli w doskonałej komitywie, Perry wzniósł oczy do nieba.

- Ten chłopak jest czarodziejem - stwierdził. Jak widać, Sam nie uważa go za piąte koło u wozu.

- A ciebie? - zaśmiała się Prudence.

- Obawiam się, że wciąż nie cieszę się u niego dobrą opinią. Mam jednak zamiar się poprawić.

Czy w dalszym ciągu potrzebujesz pomocy w bibliotece?

- O ile cię to nie nudzi.

- Z tobą? Nie ma mowy! Twoja obecność powoduje... że wszystko się wokół ciebie zmienia.

- Masz bujną wyobraźnię, panie - zaprotestowała z przesadną skromnością.

- Nie sędzę. Oto stary, poczciwy Sam zachowuje się całkowicie inaczej niż zazwyczaj. To musi być twój wpływ.

Nie zdążyła nic na to odrzec, gdyż wrócił do nich biegiem Dan.

- Zapomniałem pokazać ci źrebaka. - Z nieukrywaną dumą poprowadził ich do stajni, gdzie opowiadał o tym, co najpiękniejsze w zwierzęciu, i śmiał się głośno, gdy źrebię biegało w boksie, wierzgając kopytami.

- Jest śliczny, prawda? - powiedział Dan z radością. - Ma świetną postawę i szeroką klatkę piersiową. Sam mówi o nim, że to prawdziwy koń czystej krwi.

- Chylę czoło przed opinią eksperta - orzekł Perry, gdy wracali do domu. - Spóźniliśmy się na lunch. Kucharka będzie nas przeklinać.

„ - Nie będzie, jakoś ją udobrucham. - Dan oddalił się w kierunku kuchni.

- Kolejny podbój? - Perry pokiwał głową z rozbawieniem. - Ten chłopak zajdzie daleko. Najpierw Sam, a teraz nasza złościca kucharka? Muszę go poprosić, żeby mnie tego nauczył.

- Dan ma niezaspokojony apetyt - zaśmiała się Prudence.

- Ja także, lecz nie poradziłem sobie z kucharką.

- Mówisz to z doświadczenia?

- Oczywiście. Pewnie już słyszałaś, że jestem czarną owcą w rodzinie.

- Nie wierzę w to ani trochę. - Gdy dołączyli do pozostałych domowników, Prudence wciąż jeszcze była rozbawiona.

Poczuła na sobie wzrok Wentwortha. Nie odezwał się słowem, kiedy jednak po lunchu opuszczali jadalnię, wziął ją na bok i powiedział:

- Muszę porozmawiać z tobą na osobności. Może dziś wieczorem... po obiedzie, w bibliotece?

Skinęła głową na znak zgody, choć prośba ta zaskoczyła ją. Czy miał jej coś do zarzucenia? Może zakaże jej przyjaznych stosunków z bratem? Na samą tę myśl Prudence splonęła rumieńcem. Za nic nie chciała, by uznano, że przekracza dozwolone granice.

Przez resztę popołudnia zajęta była korespondencją lady Brandon. Gdy rodzina zebrała się przy ostatnim posiłku, zaczęła z niepokojem myśleć o czekającej ją rozmowie.

Wentworth nie zabawił długo nad winem, kiedy więc Prudence wyszła, by spotkać się z nim w bibliotece, już tam na nią czekał.

- Czy umiesz rysować? - zapytał bez żadnych wstępów.

Pytanie było tak zaskakujące, że patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc.

- Słucham?

- Pytałem, czy potrafisz rysować.

- Umieję narysować kota, jedno kółko jako głowa, drugie jako ciało, dwa trójkąty jako uszy i to wszystko. Dlaczego pan pyta?

- Jeśli mam wszcząć poszukiwania, potrzebny mi rysunek herbu z twojej broszki. Chcę dotrzymać danego ci słowa.

Prudence odpięła klejnot i położyła go na stole.

- Przecież mówił mi pan, że jest w posiadaniu księgi heraldycznej.

Wentworth wzruszył ramionami.

- Rozejrzyj się wokół, Prudence. - Wskazał ręką na zapełnione półki. - Nie mam najmniejszego pojęcia, gdzie ta księga stoi. Od śmierci mojego ojca nikt tu niczego nie ruszał. Nawet szuflady biurka są pełne starych tomisk. Nie jestem pewien, czy ta księga w ogóle jeszcze tu się znajduje.

- Rozumiem. - Prudence przygotowała sobie kartkę papieru. - Zrobię, jak potrafię... - Po kilku minutach wręczyła mu nie wygładzony rysunek. - Nie jest najlepszy - powiedziała z zalem.

- Taki mi wystarczy. - Lord złożył papier, schował go do kieszeni surduta i na moment pogrążył się w myślach. Potem pytająco spojrział na dziewczynę.

- Na pewno chcesz tego? Jeśli nam się uda, rezultat może być dla ciebie niemiły.

- Jestem na to przygotowana - odrzekła dumnie. - Byłoby gorzej, gdybym nie poznała prawdy.

- Nie bądź taka pewna, moja droga. Nie chciałbym przysporzyć ci znowu cierpienia.

Potrząsnęła zdecydowanie głową.

- Muszę się tego dowiedzieć. Od lat tym żyję.

Jej twarz wyrażała taką determinację, że zrozumiał, iż na nic się zdadzą wszelkie argumenty.

- Może wrócimy więc do pozostałych? - zapytał spokojnie.

Podczas ich nieobecności Perry postanowił wyjaśnić całą sprawę.

- Sebastian zaskoczył mnie - zaczął. - Chodzi wokół Prudence jak kwoka koło swoich kurcząt. Nigdy go takim nie widziałem.

- Traktuje swoje obowiązki bardzo poważnie, a tym razem ma naprawdę szczególny powód. Chłopiec i dziewczyna znaleźli się pod jego opieką, gdyż sam tak postanowił.

- Zastanawiam się dlaczego? Nie sądzisz, że między nim i Prudence...?

- Na pewno nie - ucięła ostro matka. - Nie sprowadziłby jej wtedy tutaj. Zdarzył się pewien wypadek i Prudence uratowała mu życie.

Perry gwizdnął ze zdumienia.

- Nie wydaje ci się to dziwne?

- Uważam, że nie powinniśmy zastanawiać się nad motywami jego postępowania. Nie wątpię, że ma jak najlepsze intencje. A czy to była mądra decyzja, czy nie, dziś trudno orzec.

Perry zauważył wyraz z troską na jej twarzy.

- Nie martw się, mamo. Sebastian zawsze wie, co robi.

- Tak uważasz, kochanie? Sama się nad tym zastanawiam. Na razie traktuje Prudence jak przemile dziecko.

- Musi być chyba ślepy - rzekł Perry bez ogródek. - Wiem, że kobiety go nie interesują, dopóki w grę nie wchodzi małżeństwo, ale nawet on chyba widzi...

- Do tej pory jeszcze nie. Kiedy zobaczył Prudence po raz pierwszy, była ubrana w spodnie.

- Teraz już nie nosi spodni - mruknął Perry.

- Czy musisz być tak nietaktowny? Panuj nad swoim językiem. Sebastian nie jest moim jedynym zmartwieniem. Ja także nie chciałabym, by Prudence spotkała jakąś krzywda.

- Sebastian czuwa nad nią. Wiesz, że ostrzegł mnie? W odpowiedzi matka uśmiechnęła się.

- Nie rozumiem, co cię tak rozbawiło - powiedział obrażonym tonem. - Prudence lubi moje towarzystwo...

- Nie wątpię w to, mój drogi chłopcze, i wiem, że nie zrobisz niczego niestosownego. Ta dziewczyna zasługuje na szacunek.

- Sebastian nie darowałby mi, gdybym zachował się niewłaściwie. - odrzekł wesoło. - Jak więc widzisz, nie masz się czego obawiać.

- Może i nie, lecz ta sytuacja mi się nie podoba. Gdyby Sebastian był żonaty! Bóg jeden wie, jak bardzo się starałam!

- Pewnie za bardzo - rzekł z namysłem młodszy syn. - Przecież wiesz, jaki jest uparty. Ponad wszelką miarę! Gdy przyjdzie jego czas, sam dokona wyboru. Taki już jest i nawet ty nic na to nie poradzisz.

- Masz rację - przyznała ze smutkiem. - Jest dobry i szlachetny, ale czasami dość trudny...

Uśmiechem powitała powracających do salonu Prudence i Sebastiana. Na razie postanowiła nie zdradzać się ze złymi przeczuciami, które wciąż ją nękały.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Następnego dnia Prudence obudziła się późno. Gdy zeszła na dół, ujrzała Perry'ego, który przemierzał hol dużymi krokami.

- Zapomniałaś o lekcji jazdy konnej? A może miałaś nadzieję, że zaczniemy bez ciebie? - zapytał z żartobliwą miną.

- Nie zapomniałam - odpowiedziała dziarsko. - Daj mi tylko czas na zjedzenie śniadania. - Miała nadzieję, że nie poznał po wyrazie jej twarzy, jak bardzo się boi. Zdawała sobie sprawę, że to z braku doświadczenia. Nawet łagodna Iskra wydała się jej nieposkromionym rumakiem.

- Denerwujesz się? - zapytał Perry z życzliwą kpina.

- Ani trochę - skłamała.

Sprawa zaczęła wyglądać zupełnie inaczej, gdy Perry posadził ją na siodle. Patrzyła z zazdrością na Dana, który siedział okrakiem na koniu.

- Nie mogłabym jechać tak jak on? - zaprotestowała. - Jestem pewna, że byłoby mi o wiele łatwiej.

- Wykluczone! Sebastian obdarłby mnie żywcem ze skóry. Damy jeżdżą, siedząc bokiem na siodle, o czym na pewno wiesz.

- Uważam, że to bardzo głupie - odburknęła. Siedząc wysoko nad ziemią, z jedną nogą podkurzoną na łuku siodła, czuła się niepewnie.

- Uspokój się, Prudy! Sam będzie prowadził klacz na linie. Myślałem, że Sebastian do nas dołączy, ale wyjechał w jakichś osobistych sprawach. Szybko się przyzwyczaisz i poczujesz lepiej. Wtedy będziemy mogli jeździć codziennie.

Ta obietnica wcale jej nie ucieszyła. Ścisnęła kurczowo cugle, jakby od tego zależało jej życie.

- Proszę się odprężyć, panienko - poradził Sam. - Zwierzęta wyczuwają, kiedy ktoś się denerwuje. Nie różnią się tym od nas, ludzi.

Prudence zacisnęła zęby.

- Proszę jej dać jakiś znak. Lubi pieszczotliwe słowa i poklepywanie.

Prudence starała się postępować zgodnie z jego radami i kiedy lekcja się kończyła, czuła się już bardziej pewnie.

- Chcesz, to coś ci pokażę. - Dan podjechał do niej, gdy znalazła się już na ziemi. - Sam pokazał mi tę sztuczkę. - I ku jej wielkiemu zdziwieniu dmuchnął delikatnie w nozdrza konia.

- Po co to robisz? - zdziwiła się.

- W koloniach amerykańskich robią tak tubylcy, żeby poskromić dzikie konie. Mają tam najlepszą lekką kawalerię na świecie, prawda, Sam?

- Tak mówią - odrzekł niechętnie Sam. Widać nie był zadowolony, że odsłania się szczegóły z jego przeszłości, ale Prudence była zaintrygowana.

- Byłeś w Ameryce?

- Tylko podczas ostatniego buntu, panienko. Służyłem w wojsku.

- Widziałeś tamtejszych dzikusów?

- Oni nie są wcale dzikusami, panienko... za to w Anglii ich nie brakuje. - Wypowiedziawszy tę opinię, Sam odwrócił się.

- Poruszyłeś niebezpieczny temat - szepnął Perry. - Sam podziwia czerwonoskórych. Nie wierzy, że nie znali koni przed przybyciem Hiszpanów do Ameryki.

- Pojedziemy tam, Prudy? - zapytał Dan z płonąca twarzą. - Chciałbym ich poznać.

Perry roześmiał się.

- Nie boisz się, Danie, że stracisz skalp? Niejeden indiański wódz z radością zawiesiłby sobie u pasa twoje piękne rude włosy.

Dan miał niepewną minę.

- Czy dlatego Sam nie ma włosów z przodu?

- Skądże znowu, chłopcze! - Pytanie rozbawiło nawet Sama. - Udało mi się zachować skalp, a włosy wyszły mi znacznie później.

Prudence szturchnęła chłopca w bok.

- Sam jest łysy - szepnęła. - Nie powinieneś o tym wspominać, to niegrzeczne. Nic na to nie można poradzić.

Na widok smutnej miny Dana lokaj, a obecnie poczciwy stajenny wzruszył się i żeby go pocieszyć mrugnął do niego, mówiąc:

- Łysina jest oznaką rozumu. Powiadają, że na zatłoczonej ulicy nie wyrosnie trawa. Chodź! Opowiem ci o tych dzikusach, kiedy będziemy karmić konie.

- Naprawdę? Och, Samie, tak bym chciał, żebyś nie jechał do Francji. Nie wiem, co bez ciebie będę robił...

Była to niefortunna uwaga.

- Sam wcale nie musi tam jechać - rzekł nachmurzony Perry. - Z powodzeniem mógłbym go zastąpić, oczywiście gdyby się na to zgodził mój ukochany braciszek.

- Lord Wentworth jeszcze nie wyjeżdża - wtrąciła szybko Prudence, żeby go ułagodzić. - Poza tym jesteś potrzebny tutaj. Czy nie przyrzekłeś mi pomagać? Widzę, że zmieniłeś zdanie. Widocznie stanie na drabinie przyprawia cię o zawrót głowy...

Obdarzyła go wyjątkowo czarującym uśmiechem i tym go pokonała.

- Prudy, jak mogło ci coś takiego przyjść do głowy? Idziemy! Muszę zyskać w twoich oczach.

Gdy Prudence się odwróciła, uchwyciła spojrzenie Sama. Patrzył na nią z szacunkiem. Panicz Perry nie był łatwy do kierowania, a ta młodziutka dziewczyna potrafiła znaleźć na niego sposób. Kto mógł się tego spodziewać po obszarpanym włóczędze, którego chciał zostawić na drodze w Derbyshire? Nie po raz pierwszy miał okazję podziwiać przenikliwość lorda Wentwortha. Jego pan musiał coś dostrzec w tej dziewczynie, i jak zawsze, miał rację.

Odchodząc, Sam obdarzył Prudence życzliwym skinieniem łysej głowy. Kusilo go, by powiedzieć, że utratę włosów zawdzięcza przede wszystkim błazeństwu pana Perry'ego, ale rozsądek nakazał mu trzymać język za zębami.

Perry odprowadzał wzrokiem Sama i Dana.

- To poczciwy facet - przyznał z niechęcią - chociaż wierzy, że mój brat może czynić cuda.

- A nie może? - zażartowała Prudence. Rozbawiona pobiegła do domu, by uniknąć przyjacielskiego kuksańca.

Pracowali razem, z krótką przerwą na lunch. Późnym popołudniem wrócił Wentworth i przyszedł do nich do biblioteki.

Gdy Prudence spojrzała na niego z niemym pytaniem w oczach, niemal niedostrzegalnie pokręcił przecząco głową. Nie odezwała się słowem, czując, że chciał zachować w tajemnicy przed Perrym poszukiwania dotyczące jej rodziny.

Trochę ją to dziwiło, lecz nie poznała jeszcze dobrze braci. Być może Perry miał zbyt zmienne usposobienie, by powierzać mu aż tak osobisty sekret. Natychmiast by się nim zainteresował, licząc, że związana z nim będzie jakaś przygoda.

Domyślała się, że Wentworth przemierzył najbliższe okolice, zadając pytania, które z pewnością mogły urazić przedstawicieli starych rodzin w hrabstwie Kent.

Sebastian na pewno był bardzo ostrożny. Prowadził poszukiwania wytrwale, ale z taktem. Posłała mu nieśmiały uśmiech. To szlachetne z jego strony, że chciał się tym zająć, a ona musi cierpliwie czekać, bo trudno przecież spodziewać się, żeby lord już przy pierwszej próbie zdobył oczekiwaną przez nią informację.

- Wyglądasz na zmęczoną - zauważył. - Siedzieliście tu cały dzień?

- Skądże znowu! - odpowiedział za nią Perry. - Masz przed sobą nieustraszoną amazonkę. Ani się obejrzymy, kiedy będzie przeskakiwać żywopłoty.

- Odbyłaś już pierwszą lekcję jazdy konnej? - Wentworth opadł na krzesło i wyciągnął przed siebie nogi. - Podobało ci się?

- Tylko częściowo. Wątpię, czy z Samem prowadzącym mnie na linie uda mi się cokolwiek przeskoczyć. No i... klacz wydała mi się taka ogromna. Wentworth uśmiechnął się.

- Kiedy się przyzwyczaisz, Iskra znacznie zmaleje w twoich oczach. Umiejętność jazdy konnej zdobywa się w praktyce...

- A wtedy będziemy już sobie doskonale radzić z koniem - zapewnił go Perry. - Czy wiesz, że Prudence nigdy nie widziała morza? Taką nagrodą zamierzam nakłaniać ją do pilności.

- Nie musimy czekać, aż Prudence nauczy się dobrze jeździć na koniu - odrzekł jego brat pozornie obojętnym tonem. - Możemy któregoś dnia popłynąć łodzią. Danowi też to się spodoba.

Zaskoczony Perry już chciał wyrazić zdziwienie, ale powstrzymał się na widok wyrazu twarzy brata. Zadowolił się więc tylko jednym pytaniem:

- Będziesz miał na to czas?

- Oczywiście. - Sebastian udał, że nie słyszy ironii zawartej w słowach Perry'ego. - Jeśli będzie coś ważnego do załatwienia, zawsze możemy ciebie wysłać do Canterbury.

Perry wiedział, kiedy należy się poddać. Zaśmiał się i w proteście podniósł do góry ręce:

- Nie ma mowy, popłynę z wami. Będzie tak jak za dawnych lat. Zabierzemy ich do zatoki?

Sebastian skinął potakująco.

- Spodoba ci się tam, Prudy - zapewnił gorąco Perry. - Zazwyczaj stamtąd wypływaliśmy z Sebastianem.

Prudence patrzyła to na jednego, to na drugiego z braci.

Mimo różnicy wieku, byli dobrymi przyjaciółmi. Czują, że Perry uwielbia Sebastiana i gdy z niesforne go młodzieńca przemieni się w mężczyznę, stanie się taki jak on.

- A więc czeka nas wspaniała wycieczka - powiedziała. - Czy mogę wspomnieć o tym Danowi?

- Ja mu powiem. - Perry zerwał się na równe nogi. - Jeśli posiedzę tu dłużej, cały pokryję się kurzem.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Sebastian spojrzał pytająco na Prudence.

- Jak ci się udało namówić go do takiego zajęcia? - Gestem ręki wskazał na półki z książkami.

- Pański brat sam zaofiarował mi pomoc, nie musiałam go przekonywać...

- Muszę przyznać, że dokonałaś niemałej rzeczy. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz Perry tak poważnie czymś się zajął. - Wentworth przyglądał się jej spod ciężkich powiek. - Chyba jesteś czarownicą. Czy znasz jakiś magiczny sekret, dzięki któremu potrafisz okiełznać dzikie zwierzę?

Prudence roześmiała się.

- Dopiero w tej chwili dowiaduję się o istnieniu czegoś takiego. Sam pokazał Danowi, jak Indianie ujarzmiają dzikie konie.

- A kto wypróbował tej sztuczki na moim bracie?

- Nie ja! - odpowiedziała z wesołymi iskierkami w oczach. - Powinien pan bardziej ufać jego życzliwym odruchom.

- Jestem pod wrażeniem. Mimo to uważam, że lepiej nie wspominać mu o herbie wygrawerowanym na broszce. Nie zna twojej historii.

- Zrobię, jak pan radzi - zgodziła się. - Ale dlaczego?

- Perry mógłby zapragnąć zostać twoim wiernym rycerzem, odzianym w błyszczącą zbroję - odrzekł żartobliwie. - Aż wzdrygam się na myśl, jakie straszne tajemnice rodzinne odkryłyby wśród naszej szlachty.

- Niczego pan nie znalazł?

- Jeszcze nie, moja droga. Za wcześnie na to. - Ujął jej dłoń. - Nie trać nadziei, ale i nie spodziewaj się za dużo. Nie ma żadnej gwarancji, że odniesiemy sukces.

- Wiem, że ma pan rację - powiedziała w zadumie. - W głębi duszy jednak czuję, że się panu uda.

- Schlebia mi, że tak we mnie wierzysz! - zażartował. - Nie jestem nieomylny. Ja też mogę wpaść w zastawioną przez kogoś pułapkę.

Prudence ze śmiechem potrząsnęła głową.

- Widzę, że pan jest takim samym żartownisiem jak pański brat. - W tym momencie spojrzała na zegar. - Boże! Już tak późno? Muszę się szybko przebrać, aby lady Brandon nie czekała na mnie zbyt długo.

Pospiesznie wyszła i Sebastian został sam. Natychmiast zadał sobie pytanie, dlaczego perspektywa morskiej przejażdżki z Prudence napełniła go taką radością.

Nie mniej zdziwiona była jego matka.

- Wybieracie się na morze w październiku? O tej porze roku od strony Kanału* wieją silne wiatry. Mam nadzieję, Prudence, że nie dałaś się namówić moim synom na coś tak sprzecznego ze zdrowym rozsądkiem?

- Mam wielką na to ochotę - odpowiedziała nieśmiało dziewczyna.

- Musisz więc ubrać się w najcieplejsze rzeczy i nie pływać za długo.

- Mamo, a może przyłączysz się do nas? - zaproponował Sebastian.

- Nie ma mowy! Za bardzo dbam o moje stare kości. - Powiedziała to z uśmiechem, który złagodził ostrość jej słów, ale nie miała zamiaru dać się przekonać.

Prudence była zachwycona perspektywą wycieczki. Od chwili gdy przybyła do Hallwood, nie opuszczała rezydencji i dlatego cieszyła się na samą myśl o zmianie miejsca.

Z przejażdżki morskiej na razie jednak zrezygnowano i w zamian za to postanowiono pojechać na wybrzeże nowym szybkim powozem. Gdy do niego wsiadali, rozpromieniona twarz Dana sprawiła Prudence jeszcze większą radość.

Pamiętając o radach matki, Perry prowadził powóz w spokojnym tempie i nawet Sebastian nie mógł mu niczego zarzucić.

Jednak Dan ledwie spoglądał na mijane pejzaże, gdyż myślał tylko o tym, co go czeka na końcu podróży.

- Naprawdę zobaczymy morze? - dopytywał się. - Prudence przyrzekła mi, że kiedyś wsiądziemy na statek, taki, jakie widzieliśmy w Londynie na Tamizie, i popłyniemy w dalekie kraje. Pamięta pan? - zwrócił się do Wentwortha.

- Oczywiście, że pamiętam. Chciałbyś, Danie, opuścić Anglię?

- Prudence uważa, że byłoby to dla nas najlepsze, prawda, Prudy? Ona mi pomoże zdobyć majątek.

- Jakim sposobem zamierzasz to osiągnąć?

- Jeszcze się nie zdecydowałem. Może obmyślę inną metodę budowania statków, a może zaprojektuję nowy model powozu...

- Mam nadzieję, że mnie pierwszemu zdradzisz swoje plany - uśmiechnął się do chłopca Wentworth. - Jadąc jednym z powozów twojej konstrukcji, stanę się przedmiotem zazdrości wszystkich znajomych.

*Chodzi o kanał La Manche (przyp. red).

- A ja zamówię u ciebie nowy statek - dołączył się Perry - oczywiście o ile nie zapomnisz o starych przyjaciółach, gdy już staniesz się sławny.

- Coś podobnego na pewno się nie zdarzy, prawda, Prudy? - Dan powiedział to z niezachwianą pewnością siebie. - Samowi wcale by się to nie podobało.

Na te słowa obaj bracia uśmiechnęli się, lecz Dan nie zauważył tego, gdyż w tym momencie wyglądał właśnie przez okno powozu.

- Gdzie jest to morze? - zapytał z niepokojem.

- Jest na swoim miejscu, chyba że ktoś je przeniósł - odrzekł żartem Perry, którego przez całą drogę nie opuszczał dobry humor. Kiedy znaleźli się na wysokim zboczu, zatrzymał powóz i gestem ręki wskazał w dół.

- Oto morze! I co powiecie?

Poniżej, w oddali, skrzyły się w blasku jesiennego słońca wody Kanału. Pływały po nim liczne statki, od towarowych do żaglowców, z powodu jednakże zbyt dużej odległości Prudence nie mogła odczytać ich nazw ani portów macierzystych, namalowanych na kadłubach.

- Nie wyobrażałem sobie, że morze jest tak wielkie.

- Dan był oszołomiony. - Wydaje się, że w ogóle nie ma końca, a woda jest szara, choć zawsze myślałem, że jest niebieska...

- Gdzie indziej, daleko stąd, są niebieskie morza - wyjaśnił z uśmiechem Wentworth. - Któregoś dnia i ty tam popłyniesz, zobaczysz obce kraje i oceany. Tutaj mamy tylko wąski kanał, tak wąski, że przy dobrej pogodzie można dostrzec brzeg Francji.

Prudence zapatrzyła się w rozciągającą się przed nimi przestrzeń morza.

- To nie tak daleko. Czy dziś fale są wzburzone?

- Spokojne jak na stawie. - Perry poślinił palec i podniósł go do góry. - Wieje lekki wietrzyk. Doskonała pogoda na żeglowanie.

- No to postanowione i chyba nic się już nie zmieni - powiedział w zamyśleniu Sebastian i Prudence odgadła, że mówi o podróży do siostry. Jeśli miał zamiar sprowadzić ją na powrót do Anglii, to musi wyruszyć przed zimowymi sztormami.

- Czy był pan już we Francji? - zapytała.

- Wiele razy. - Sebastian klepnął Perry'ego po ramieniu. - Mój brat jest zawołanym żeglarzem. Najbardziej ze wszystkiego lubi czuć pokład łodzi pod stopami i płynąć z wiatrem.

- To dlaczego nie zabierasz mnie ze sobą? - zapytał Perry. - Jeśli nie pozwolisz mi zejść na ląd, poczekam na ciebie w zatoce.

- Zobaczymy! Wszystko zależy od Gillesa... nie wiadomo, czy zgodzi się, aby Sophie do nas przyjechała.

- Daj spokój, Sebastianie! Wiadomo, że będzie tak, jak ty chcesz.

Czując, że sprzeczka wisi w powietrzu, Prudence szybko zmieniła temat:

- Czy możemy podejść bliżej morza? Chciałabym pospacerować wzdłuż brzegu.

- O, tak! Porzucalibyśmy kamyki do wody! - zawołał błagalnie Dan.

- Możemy zejść na plażę - odpowiedział z rozpogodzoną już twarzą Perry. - Jest tam mała zatoczka. Kąpaliśmy się w niej, gdy byliśmy chłopcami.

- Umie pan pływać? - zapytał Dan, patrząc na niego z podziwem.

- Jak ryba! Jeśli chcesz, wrzucę cię do wody... to najlepszy sposób na nauczenie się pływania.

- Nie zrobisz tego - rzekł stanowczo Sebastian. - Nie mam ochoty brnąć przez fale, żeby ratować Dana, a może nawet i ciebie.

Perry, poskarżył się:

- Widzisz, Dan, jak to jest. Mój brat zawsze mnie tak ostro traktuje, zresztą nie tylko on. Bez względu na to, co powiem, Prudence pozostaje niewzruszona. Nie jest miłsza od Sebastiana.

- Wcale tak nie jest - zapewnił go Dan. - Pastor mówił, że pies, który głośno szczeka, nie gryzie.

- Wystarczająco przykre jest już samo szczekanie, a o gryzieniu wolę nawet nie myśleć! - Perry wstrząsnął się z udanym przerażeniem, podczas gdy Dan zanosił się niepowstrzymanym śmiechem.

Prudence, rzuciwszy najpierw ponure spojrzenie Danowi i Perry'emu, w końcu jednak musiała ulec! ich wesołości.

- Nie zważaj na nich, Prudence! - Sebastian wziął lejce od brata, by powieźć ich wąską dróżką na skraj zbocza. Zatrzymał się przy jedynym rosnącym w tym miejscu karłowatym drzewie, do którego przywiązał konie.

- Zostawisz je tutaj? - zapytał Perry.

- W tak krótkim czasie nic im się nie stanie. Chyba że miałbyś ochotę sprowadzać je na dół i potem wciągać pod górę.

- Niech będzie, jak chcesz. Podobnie jak Dan, zamierzam zejść na plażę - odparł Perry i ruszył szybkim krokiem.

- Najpierw sprawdź, czy zejście nie jest zbyt skaliste! - zawołał za nim Sebastian.

- Nie jestem kompletnym idiotą, bracie - odrzyknął niecierpliwie Perry, a po chwili oznajmił: - Droga wolna!

Dan już chciał iść za nim, ale Prudence chwyciła go za rękaw.

- Czy tam naprawdę jest bezpiecznie?

- Jeśli Perry tak mówi, nie masz się czego obawiać - zapewnił ją Wentworth. - Wie, czym to może grozić; nie naraziłby was na niebezpieczeństwo.

- Powiedział, że droga jest wolna - powtórzyła Prudence z wahaniem.

- Co innego miałem na myśli. W niektórych miejscach na wybrzeżu zbocza bywają niepewne.

- Czy to znaczy, że może spaść skała? - Prudence ścisnęła jeszcze mocniej rękaw Dana.

- Perry sprawdzi, czy zatoczka jest w porządku, jeśli się jednak boisz, nie musicie tam schodzić.

Danowi zrzęda mina.

- Prudy, obiecałaś! I pan także! Myślałem, że po to tu przyjechaliśmy.

Sebastian zwrócił się z uśmiechem do Prudence:

- Obiecaliśmy, to prawda. Zaufaj mi, ścieżka jest bezpieczna. Były pewne problemy w przeszłości, kiedy sztormy smagały wybrzeże i podmywały nadbrzeżne skały. Pójdę pierwszy, żeby pomagać wam w zejściu.

Dan wyswobodził się z uchwytu Prudence.

- Chodź! - ponaglił ją. - Perry mówił, że w wodzie między kamieniami można zobaczyć kraby i małe rybki.

Dziewczyna nie była w stanie dłużej się opierać, tym bardziej że i jej także udzieliło się podniecenie. Mimo to cofnęła się z lękiem na widok krętej, stromej dróżki, którą mieli zejść na plażę.

Perry był już na dole i machał do nich ręką. Z wysokiego brzegu wydawał się bardzo mały.

- Nie patrz w dół! - poradził jej Sebastian. - Pilnuj Dana. Weźmiemy go między siebie.

Zeszli gęsiego, patrząc pod nogi. Prudence, żeby nie stracić równowagi, chwyciła się kęp gęsto rosnącej na zboczu trawy.

Z każdym krokiem czuła się pewniej, choć długa spódnica krępowała jej ruchy. W takiej sytuacji lepiej byłoby mieć na sobie spodnie.

Sebastian zeskoczył na piasek i odwrócił się, by jej pomóc.

- Świetnie sobie poradziłaś! - pochwalił. - Mam nadzieję, że za bardzo nie kręciło ci się w głowie.

- Nigdy dotąd czegoś takiego nie doświadczyłam - przyznała, posyłając mu pełen ufności uśmiech. - Nigdy jeszcze nie patrzyłam z tak wysoka. Poczułam zawrót głowy i ścieżka zaczęła uciekać mi spod nóg...

- W górach miewa się takie wrażenie, ale rozejrzyj się dokoła, Prudence. Chyba warto było to przeżyć?

Odpowiedziała mu pełnym zachwytu spojrzeniem.

- Szkoda, że nie mogę pójść w ślady Dana - powiedziała z żalem.

Chłopiec zdążył już zdjąć buty oraz skarpetki i przeskakiwał po kamieniach w kierunku Perry'ego. Po kilku minutach znaleźli się na samym dole i widać było, jak przycupnęli, ruda głowa obok czarnej, wypatrując czegoś w przybrzeżnym jeziorku.

- Nie masz czego żałować - pocieszył ją jej towarzysz. - Woda na angielskim wybrzeżu jest lodowata. Może zamiast tego trochę pospacerujemy?

Prudence przyjęła ofiarowane jej ramię i ruszyli brzegiem morza. Lord wiedział zaskakująco dużo o świecie roślinnym i zwierzęcym zatoki. Dziewczyna słuchała go pilnie, by jak najwięcej zapamiętać, i dlatego nie zauważyła, jak szybko minął czas.

- Powinniśmy już chyba wracać - powiedział w końcu Wentworth - chociaż wątpię, czy ta sugestia spotka się z aprobatą. - Wskazał na Dana i Perry'ego, którzy odeszli już dość daleko.

- O Boże! Dan będzie miał z zimna sine nogi. Oby się nie przeziębził. Zawołam go.

Chłopiec przybiegł natychmiast, ale jak przewidywał lord, nie chciał jeszcze wracać. Wówczas, widząc nachmurzoną twarz Prudence, wtrącił się Perry:

- Nie możemy jeszcze odjeżdżać. Nie zegraliśmy na plaży meczu krykieta.

- Rzeczywiście - przyznał Sebastian - ale do tego potrzeba piłki.

- Pomyślałem o tym - odrzekł z wesołą miną jego młodszy brat. - Hokus, pokus... - Wyciągnął z kieszeni piłkę do krykieta. - Teraz tylko znajdziemy jakieś pniaki i jeden większy kij dla miotacza. Dan, będziesz grał ze mną. Ty odbierasz, ja serwuję.

- To znaczy, że ja i Prudence tworzymy drużynę przeciwników? Co wolisz, moja droga? Wolisz stać w bramce, czy w najdalszej części boiska?

Oszołomiona Prudence patrzyła na Sebastiana, ten jednak zdejmował już surdut i podwijał rękawy. Rozbawiona stwierdziła, że gra już się zaczyna. Cóż za para z tych braci Wentworthów! Nigdy nie przestaną jej zaskakiwać.

- Zostaję tutaj - zaśmiała się. - Potrafię łapać piłkę, ale nie mam pojęcia, co się robi w bramce.

- Perry, proszę, aby pan nie serwował na mnie, jeśli jesteśmy w jednej drużynie. - Dan trzymał już naprędce przysposobiony kij i ustawił się przy pniakach.

- W grze w krykieta na plaży obowiązują inne reguły - poinformował go poważnym tonem Perry.
- Brakuje nam ludzi do pełnej drużyny. Jesteś gotów? - I bez dalszych wyjaśnień rzucił Danowi kilka łatwych piłek.

Dan odbijał je bez trudu i Prudence zaprotestowała:

- Perry, nie zrobiłeś żadnej próby! To nie w porządku!

Poczekajcie! - Zrzuciła płaszcz oraz czepek i wzięła piłkę z rąk Perry'ego.

Pierwszym rzutem, dokonany w biegu, pokonała Dana. Pniaki imitujące bramkę przewróciły się i Perry spojrzał na nią z udanym przestraszonym.

- Ta dziewczyna ma prawdziwy talent - powiedział z uznaniem do brata. - Nic dziwnego, że wzięła ją do swojej drużyny.

Prudence zaczerwieniła się, a Perry i Sebastian zaczęli jej klaskać.

- Miałam po prostu szczęście - wyjaśniła zażenowana. - Teraz kolej na Perry'ego. Czy będzie serwował pan do niego, lordzie?

- Nie, Prudence, ty musisz to dokończyć! - W oczach Sebastiana igrały wesołe ogniki.

Dziewczyna rzuciła jeszcze raz, lecz Perry miał się na baczności i odbił pięć kolejnych piłek prawie już w wodzie.

- Nie potrafię go pokonać, ale jeśli pan sprowokuje go do nierozważnego ciosu, wtedy przechwycę jego piłkę.

- Nic z tego! - oznajmił Perry, bardzo pewny siebie po odniesionych sukcesach. Wyrzucił piłkę wysoko w powietrze i Prudence pobiegła za nią przez plażę. Złapawszy piłkę w locie, szybko zawróciła i wtedy potknęła się o rąbek swojej długiej spódnicy, po czym runęła jak długa na ziemię.

Perry odrzucił kij i szybko pobiegł w jej kierunku, ale Sebastian był pierwszy. Ukłąkł na piasku i delikatnie ją uniósł.

- Czy się nie zraniłaś?

Coś w jego tonie kazało Perry'emu spojrzeć na twarz brata, po czym szybko się odwrócił. Wyraz prawdziwego wzruszenia powiedział mu więcej niż jakiegokolwiek słowa. Sebastian zakochał się w Prudence, choć może nie był jeszcze tego w pełni świadomy.

- Nic mi nie jest, sir, ale dałam radę Perry'emu. - Prudence potrząsnęła piłką. - Powinnam była włożyć spodnie, nie spodziewałam się jednak, że będziemy grać w krykieta...

- Myślałam, że ustaliliśmy już raz na zawsze, że nigdy więcej nie włożysz spodni! - uciał krótko Sebastian.

- Ale zaplątałam się w spódnicę, a w spodniach...

- Prudence! Nie chcę dłużej o tym dyskutować. - Pomógł jej wstać i otrzepywał piasek z jej ubrania. - Masz pełno śmieci we włosach. - Doprowadził jej przycięte loki do porządku i podał czepek. - Włóż płaszcz. Konie zbyt długo na nas czekają.

Oczywiście Dan nie zrozumiał, co naprawdę się działo między lordem a dziewczyną, więc tylko spoglądał na nich ze zdziwieniem. Wtedy Perry mrugnął do niego i powiedział:

- Chodźmy, bo będziemy mieć do czynienia z Samem...

Z rozbawieniem w oczach obserwował, jak Sebastian i Prudence, trzymając się za ręce, przebyli już połowę drogi w górę urwiska.

- Za szybko pan idzie - zaprotestowała. - Nie mogę nadążyć...

W odpowiedzi usłyszała groźny pomruk, lecz jej towarzysz zwolnił kroku. Wentworth wyraźnie stracił humor, lecz co było tego przyczyną, Prudence w żaden sposób nie potrafiła dociec. Zdezorientowana, westchnęła głęboko.

- O co chodzi tym razem? - zapytał.

- Zastanawiam się, dlaczego pan tak się zdenerwował. Przepraszam za moją niezdatność, nie jestem wprawnym graczem. Przecież nie przewróciłam się specjalnie.

- Mogłaś się poważnie poranić.

- Na piasku?

- Nie zauważyłaś tam kamieni? Jeden był tak blisko twojej głowy, że zląkłem się, iż się o niego uderzyłaś.

- Lordzie Wentworth, nie jestem z porcelany...

- Oczywiście, że nie i chcę, żebyś o tym pamiętała! - Powiedziawszy to, niemal wrzucił ją do powozu.

- Proszę się na mnie nie gniewać - powiedziała pojednawczo. - To był wspaniały dzień. Będę go pamiętać całe życie.

- Łatwo cię zadowolić. - Uśmiechnął się z przymusem. - Coś mi się wydaje, że masz kilka twarzy. Ile z nich już pokazałaś?

- Nie więcej niż trzy lub cztery, pozostałe ukrywam, mogą mi się jeszcze przydać.

- Uprzedź mnie, gdy postanowisz z nich skorzystać. Przez ciebie przybywa mi siwych włosów.

- Nie dostrzegłam dotąd ani jednego. Jak zwykle, stroi sobie pan ze mnie żarty - dokończyła wesoło.

- A to bezczelna dziewczyna! - Pokiwał głową z łagodnym wyrzutem. - I co ja mam z tobą zrobić?

Od odpowiedzi uratowało ją pojawienie się pozostałych dwóch towarzyszy wycieczki i Prudence z radością oddała się rozpamiętywaniu minionego dnia.

Szczerze cieszyła się tą wycieczką. Aż trudno było uwierzyć, że tak bardzo odmienił się jej los. Jeszcze miesiąc temu wydałoby się jej to nie do pomyślenia. Nie miała wówczas pojęcia, jak żyją niektórzy ludzie. Cały czas przebywali w wytwornym otoczeniu, posiadali ogromne, jak okiem sięgnąć, majątki, nie trapiły ich przyziemne, finansowe troski, dzięki czemu bez trudu osiągali najbardziej nawet ambitne i niezwykle cele.

W przyszłości ona też na pewno będzie miała piękny dom. Prudence oddała się marzeniom na jawie. Dom ten będzie bardzo podobny do rezydencji Hallwood. Od pierwszej chwili, gdy znalazła się w jej wnętrzu, poczuła, że mury pałacu przyjęły ją jak domownika, co było wprost niewiarygodnie miłe, szczególnie że podobnego uczucia doznała po raz pierwszy w życiu. Od początku polubiła tę wspaniałą rodową siedzibę, a zwłaszcza wielki hol z sufitem zdobionym stiukami oraz masywnymi schodami z politurowanego i rzeźbionego drewna. Niezmiernie przykro będzie opuścić to miejsce, lecz moment taki musi przecież nadejść.

Patrzyła na rozjaśnioną twarz Dana, który z nie słabnącym entuzjazmem bez końca wypytywał Perry'ego o cuda, które dziś zobaczyli. I on także, po raz pierwszy od śmierci rodziców, odnalazł swe szczęście. Gdy je utraci, dozna ciężkiego zawodu. A może powinna go tutaj zostawić? Przecież w Hallwood nie zabraknie mu opieki... Nie, to niemożliwe. Jak mogłaby zniszczyć uczucie, które od tak dawna ich łączy? Dan poczułby się zdradzony, a właśnie zdrada, zdaniem Prudence, była najgorszym z grzechów. Doznała tego na własnej skórze.

Kiedy dojechali do pałacu, zapadał już zmrok i dom powitał ich światłami w oknach. Na widok osłoniętej pagórkami rezydencji Prudence ponownie ogarnęło wzruszenie. Być może niedługo będzie mogła już tylko wspominać to miejsce, będące oazą spokoju i bezpieczeństwa.

Musi zastanowić się poważnie nad przyszłością Dana. Z pewnością mógłby tu zostać, przecież lord Wentworth dawał to jasno do zrozumienia. Wtedy chłopca czekałaby szczęśliwa przyszłość... a jest jeszcze na tyle młody, że po jakimś czasie zapomniałby o swojej przyjaciółce z przytułku.

Pogrążona w myślach, weszła do wielkiego holu i ujrzała lady Brandon, z listem w ręku czekającą na synów.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Masz wieści od Gillesa? - spytał od razu Sebastian.

- Nie, mój drogi. To list od Fredericka. Zamierza złożyć nam wizytę przed końcem tego tygodnia.

- O mój Boże! Par we własnej osobie! - Perry mrugnął do Prudence - Mam nadzieję, że nie przyjeżdża razem ze swoją lady.

- Przybędzie z żoną i dziećmi.

- Boże, ratuj! Będziemy więc gościć Gorgone i jej potwory?

- Peregrine, postaraj się być trochę bardziej taktowny! Nie powinieneś wyrażać się tak o Amelii.

A co do moich wnuków, to może okazać się grzeczniejsze ...

- Wykluczone! - Perry nie dawał za wygraną. - Ja w każdym razie wolę zniknąć.

- Ani mi się waź! Prudence pomyśli, że brak ci dobrego wychowania, w czym musiałabym przyznać jej rację.

Prudence milczała. Patrzyła na Sebastiana. Usta miał zaciśnięte w wąską linię, a pomiędzy brwiami pojawiła się głęboka zmarszczka.

- Czy Frederick napisał, dlaczego chce złożyć nam niespodziewaną wizytę? - zapytał.

- A czy musi mieć jakiś szczególny powód, by odwiedzić własną matkę? - W głosie lady Brandon zabrzmiała uraza. Żaden z jej młodszych synów nie ucieszył się tą wiadomością.

- Jasne, że nie, najdroższa mamo! - Sebastian objął ją czule ramieniem. - Perry i ja jesteśmy tylko zaskoczeni, to wszystko. Frederick rzadko składa nam wizyty o tej porze roku, ale cieszę się, że go znowu zobaczę.

- Nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby przyjechał sam - skrzywił się Perry. - Prudence szybko się przekona, że nie przesadzam. - Odwrócił się, jednak dziewczyny już nie było w holu.

Wyczuła napięcie i nie chciała być świadkiem rodzinnej sprzeczki. Domyślała się również, że z Frederickiem i Amelią związana była jakaś tajemnica, zapewne nie przeznaczona dla jej uszu.

Wprawdzie Perry często przesadzał, ale miał dobry charakter i był do ludzi nastawiony jak najżyczliwiej. Nie słyszała dotąd, aby o kimś mówił z taką niechęcią, więc musiał mieć poważne powody, by nie lubić szwagierki.

Sebastian też miał nieco dziwną minę. Próbował ratować sytuację, robił to jednak, zdaniem Prudence, niezbyt szczerze.

Postanowiła, że podczas wizyty para będą z Danem jadać osobno i w ogóle, postarają się jak najmniej rzucać w oczy.

- Lady Brandon, sądzę, iż na czas wizyty para pragnie pani przebywać w ścisłym gronie rodzinnym. Jeśli pani pozwoli, oboje z Danem będziemy jadać posiłki ze służbą...

- Nie ma mowy, moja droga. Nie przejmuj się słowami Perry'ego. To prawda, że moja synowa potrafi być przykra, ale ty jesteś moim gościem i nie wolno ci się chować przed ludźmi. Nie daj się nastraszyć głupstwami, które opowiada mój najmłodszy syn. On i Amelia nie są wprawdzie przyjaciółmi, lecz jestem przekonana, że Perry zachowa się jak należy.

Prudence nie oponowała, choć była pewna, że obecność jej i Dana zostanie z niechęcią przyjęta przez groźną Amelię.

Później, po rozmowie z Perrym, utwierdziła się w obawach.

- Mam nadzieję, że nie uznałaś mnie za niegrzecznego - powiedział. - Szczerze jednak mówiąc, Amelia jest bardzo niemiłą osobą. Sama się o tym przekonasz.

- Perry, proszę cię! - Prudence podniosła rękę na znak, że nie chce słuchać dalszych wynurzeń. - Nie interesują mnie plotki rodzinne...

- Chciałem cię tylko przygotować. Seb z pewnością również cierpi. Amelia musi być pozbawiona poczucia przyzwoitości, żeby przyjeżdżać podczas jego bytności.

- Lord Wentworth potrafi zachować się odpowiednio w każdej sytuacji - orzekła stanowczo Prudence. - Nie uwierzę ci, jeśli będziesz przekonywał mnie, że jest inaczej.

- O, tak, jemu nigdy nic nie można zarzucić... jest zawsze przerażająco grzeczny, co nie zmienia faktu, że myśli o Amelii podobnie jak ja.

- Hrabina ma na pewno jakieś zalety... ostatecznie twój brat się z nią ożenił. - Nic jednak już nie było w stanie powstrzymać potoku słów Perry'ego.

- Lepsza taka niż żadna! - mówił ponuro. - Kiedyś kochała się w Sebie, lecz on nawet na nią nie spojrział. Jest takie porzekadło: I w piekle nie wymyślą tego, co potrafi wzgardzona kobieta! Oskarżyła go, że chciał ją uwieść. Wierz mi, doszło między nimi do ohydnych scen.

Prudence wiedziała, że powinna zmienić temat, lecz pokusa, by usłyszeć całą tę historię, okazała się silniejsza.

- W końcu Amelia znalazła szczęście w ramionach para - szepnęła.

- Niezupełnie! Biedny Frederick zbyt późno się na niej poznał. Dał się ponieść współczuciu i obwinił o wszystko Sebastiana, a kiedy wreszcie odkrył, że Amelia kłamała, byli już małżeństwem.

Prudence milczała. Wszelki komentarz był zbyteczny.

- No i teraz tu przyjeżdża! - Perry wznosił oczy do nieba. - Tylko tego nam potrzeba.

Jego ton zaniepokoił Prudence.

- Dlaczego jej wizyta właśnie teraz wydaje ci się tak niepożądana? Czy z mojego i Dana powodu? Przypuszczasz, że nie będzie zachwycona naszą obecnością?

- Amelii nie podoba się nic - odpowiedział gwałtownie. Zdradził już za dużo i przeklinał w duchu swoją gadatliwość. Na przyszłość musi się bardziej pilnować, ale jeśli on zdołał zauważyć rozwijające się uczucie między Prudence i Sebastianem, to bez wątpienia nie ujdzie to uwagi Amelii. A wtedy różne rzeczy mogą się wydarzyć.

- Nie martw się - dodał po namyśle. - Matka nie będzie tolerować jej wybryków i Seb także nie dopuści, żeby cię obrażano. Czy mogę ci dziś znowu pomóc w bibliotece?

Prudence z wdzięcznością przyjęła zmianę tematu oraz propozycję. Gdy zasiadali wieczorem do obiadu, nie było nowych wiadomości o wizycie para i atmosfera powoli wracała do normy.

Następnego ranka wstała wcześniej, żeby nadrobić stracony poprzedniego dnia czas. Nigdzie nie było widać ani Dana, ani Perry'ego. Nieco później dołączyła do niej lady Brandon.

- Przyszłam zobaczyć, jak ci idzie, kochanie. - Hrabina nachyliła się nad starannie wykaligrafowanymi listami książek. - Masz piękne pismo, Prudence. Ja piszę jak kura pazurem.

Kiedy jej wzrok padł na stos ciężkich tomów, zapytała z niepokojem:

- Mam nadzieję, że nie zdejmowałeś ich sama?

- Nie, pomagał mi Peregrine - odrzekła niepewnie Prudence. - Nie pozwolił mi używać swojego tytułu, mylady, którego zresztą mi nie zdradził.

- Perry już taki jest, nie znosi etykiety. Masz na niego dobry wpływ. Dorastał w cieniu starszego brata i niekiedy czuje się gorszy.

- Jestem mu wdzięczna za pomoc - powiedziała cicho Prudence.

- Zdziwił nas, ale obawiam się, że chyba trochę mu się to znudziło. Obaj z Danem zmierzali w kierunku jeziora, kiedy widziałam ich po raz ostatni. - Lady Brandon wyciągnęła z kieszeni mały kluczyczek i otworzyła szuflady pod półkami. - Możesz tu zajrzeć, jeśli masz ochotę. Od lat nikt tego nie ruszał.

W tym momencie z trzaskiem otworzyły się drzwi i do pokoju wbiegł zadyszany Perry, a za nim Dan.

- Przepraszam cię, Prudy! - zawołał Perry wesoło.

- Nie sądziłem, że tak wcześnie wstaniesz. Kapaliśmy się...

- W jeziorze? Perry, woda musi być lodowata! - Lady Brandon patrzyła na trzęsącego się z zimna Dana.

- Trochę, ale uczyłem się pływać - przyznał chłopiec, szczękając zębami.

- Poproś kucharkę, żeby dała ci coś gorącego do picia.

- Lady Brandon odczekała, aż zamknęły się za nim drzwi, i zwróciła się do syna: - Oszalałeś? Mały nie jest wcale taki silny, żeby kąpać się w październiku... Czasami zaskakuje mnie twój brak rozsądku.

- Sądzę, że Dan poczułby się urażony - wtrąciła szybko Prudence. - A ty, panie, nie powinieneś mu tak ulegać. Rozpieszczasz go...

- Jestem innego zdania! - rozżłościł się Perry i wypadł z pokoju.

- Nie chciałam go urazić... - usprawiedliwiała się zmieszana Prudence.

- Ostatnio łatwo się obraża. Odkąd Sebastian oznajmił, że nie zabierze go do Francji, wciąż jest na niego obrażony. Przy Danie zapomina o tym, ale nie powinien przemęczać chłopca.

- Przez kilka następnych dni zatrzymam Dana przy sobie. Nie będzie to łatwe. Złości się, kiedy nabiera podejrzeń, że się z nim cackam.

- Mówiłaś mi, że masz zamiar uczyć go czytania. Może teraz zaczęlibyście lekcje?

- Oczywiście, to dobry pretekst, a Peregrine będzie musiał ustąpić.

- Za bardzo się nim przejmujesz - zauważyła ze spokojem lady Brandon. - Wyślę go do Canterbury. Zajmie mu to cały dzień.

I dotrzymała słowa. Ponieważ Perry gdzieś zniknął, Dan zgodził się posiedzieć nad elementarzem, który lady Brandon przysłała z pokoju dziecinnego.

Chłopiec pracował pilnie, ale po godzinie Prudence uznała, iż lekcja trwała już wystarczająco długo. Posadziła go na krześle przy oknie z kilkoma ilustrowanymi woluminami, w których były stare mapy, przekonana, że otaczające oceany rysunki dzikich zwierząt przykują jego uwagę. Efekt jednak był taki, że po półgodzinie Dan zasnął.

Prudence powróciła do pracy. Już wiedziała, iż katalogowanie ksiązek jest skomplikowanym zajęciem. Nie dysponowała odsyłaczami ani wskazówkami dotyczącymi dat zakupu, nie łatwiej też było ustalić daty druku poszczególnych woluminów. Postanowiła więc sporządzać notatki na oddzielnej kartce papieru i zapytać później lady Brandon, jak ma z tym sobie poradzić.

Pochłonięta pracą nie od razu usłyszała, że Dan, który się obudził, coś do niej mówił.

- Prudy, słyszysz mnie? Chciałaś dowiedzieć się czegoś o broszce...

Zerwała się na równe nogi.

- Co masz na myśli?

- Chodź i sama popatrz! Wydaje mi się, że to identyczny rysunek...

Prudence spojrzała na jaskrawo namalowane herby w księdze heraldycznej. Drżącymi palcami odpięła broszkę i położyła ją na otwartej stronie.

- Nie... jest inny - powiedziała z ogromnym rozczarowaniem. - Bardzo podobny, ale różni się napisem.

- Sprawdźmy na innych stronach. Są tu setki tych herbów...

- Musimy zachować ostrożność. - Jeden rzut oka na oprawę ze skóry i gatunek papieru wystarczył, aby się zorientować, iż jest to bardzo cenna księga. - Zanieśmy ją na biurko. Mam nadzieję, że lady Brandon nie będzie nam miała za złe, że wyjęliśmy tę księgę.

- Przecież sama otworzyła ci szuflady, prawda? Prudence potwierdziła skinieniem głowy. Zapragnęła jak najprędzej przejrzeć dokładnie herbarz.

- Czy to ten? - pytał wielokrotnie Dan.

Za każdym razem kręciła głową przecząco. Zaczynała już ogarniać ją rozpacz. Szukali ponad godzinę i dotarli niemal do ostatniej strony. Może tajemnica pochodzenia na zawsze miała być dla niej zakryta?

Nagle zapało jej dech. Nie mogło być mowy o pomyłce. Rozpoznała każdy szczegół na rysunku. Był identyczny z wygrawerowanym na broszce.

Przyglądając się ilustracji, uświadomiła sobie, że drży na całym ciele. Twarz jej pobladła, w oczach pociemniało i miała wrażenie, że za chwilę zemdleje.

- Prudy, co ci jest? Wyglądasz tak dziwnie... - Dan spojrzął na nią z niepokojem.

- Nic, nic... Tylko tak długo czekałam... Nie mogę uwierzyć, że znaleźliśmy herb.

- Pod spodem jest jakiś napis. Możesz przeczytać?

- Nie, to jest chyba po łacinie. Przyjrzę się temu jeszcze raz. Widzę drukowane litery! Może to nazwisko, ale ten wyraz ma dziwną końcówkę - Manvellus.

- Nigdy nie słyszałem takiego nazwiska. A ty?

- Po angielsku pewnie brzmi Manvell. Poczekaj, tu jest jeszcze coś...

Była tak pochłonięta, że nie usłyszała, jak otworzyły się drzwi biblioteki. Opamiętała się, gdy trącił ją Dan.

- Lady Brandon! Proszę mi wybaczyć, nie słyszałam, jak pani wchodziła.

- Byłaś czymś bardzo zaabsorbowana. Co takiego interesującego znaleźliście?

- To księga heraldyczna, mylady. Pokazywałam ją Danowi. Mam nadzieję, że nie rozgniewa się pani z tego powodu?

- Ależ skąd! Masz całkowitą swobodę, moja droga, i możesz oglądać wszystko, choć obawiam się, że za długo przebywasz w tym pomieszczeniu. Jesteś bardzo blada...

Ponieważ Dan już zamierzał się odezwać, Prudence posłała mu ostrzegawcze spojrzenie. Na razie nikt nie powinien wiedzieć o jej odkryciu, bała się bowiem pytań, jakie mogłaby zadać lady Brandon. Jeśli nazwisko Manvell jest znane w tej okolicy i rodzina dowiedziałyby się o jej przybyciu do Kent, mogłaby podjąć przeciw niej jakieś działania.

Prudence nie miała żadnych złudzeń. Oboje z Danem byli przecież zbiegami, których nie broniło prawo. Arystokratyczna rodzina mogłaby wytoczyć jej sprawę sądową, oskarżono by ją o oszustwo i na powrót znalazłaby się z chłopcem w Cheshire.

Spostrzegła, że lady Brandon utkwiała wzrok w otwartej księdze. Prudence szybko ją zamknęła.

- Nic mi nie jest - mruknęła. - Trochę tylko boli mnie głowa.

- To znaczy, że dziś nie możesz tu dłużej pozostawać. Zostaw książki tak, jak leżą. Wrócisz do nich jutro. Pospacerujcie w ogrodzie i odpoczywajcie aż do obiadu.

Prudence ucieszyła się, że dano jej wolny czas. W głowie czuła wielki zamęt. Jutro jeszcze raz przejrzy herbarz, być może znajdzie jakąś wskazówkę o tym, gdzie mieszkała rodzina Manvellów, jeśli rzeczywiście tak brzmi to nazwisko.

Nazajutrz czekało ją jednak rozczarowanie. Księga heraldyczna zniknęła. Prudence, bardzo zdenerwowana, udała się do lady Brandon.

- Proszę pani, postąpiłam nierozważnie. Zostawiłam książki, jak mi pani poleciła, ale dziś jednej z nich brakuje. Szukałam wszędzie, lecz nie znalazłam. Najpierw pomyślałam, że któraś ze służących odłożyła księgę na półkę, ale nigdzie jej nie widzę...

- To wszystko moja wina - zaczęła usprawiedliwiać się lady Brandon. - Powinnam cię była uprzedzić. Wzięłam księgę, gdyż chciał ją przejrzeć Sebastian. Zaniósłam ją do jego pokoju.

Była najwyraźniej zmieszana, co zdziwiło Prudence. Starsza pani unikała jej wzroku i dziewczyna poczuła, jak narasta w niej gniew.

Z pewnością Sebastian nie chciał, aby poznała prawdę o swoim pochodzeniu. Z wielkim trudem udało się jej nie okazać wzburzenia.

- Cieszę się, że ta księga nie zginęła - powiedziała opanowanym tonem. - Zanotowałam tytuł i potem zajmę się szczegółowym jej opisem.

Ujrawszy ulgę na twarzy lady Brandon, Prudence utwierdziła się w swych podejrzeniach. Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym większą czuła złość. Było jasne, że Sebastian jej nie ufał, choć dała mu słowo, że pochopnie nie podejmie żadnej decyzji. Czyżby podejrzewał, że ona ucieknie, gdy tylko odkryje tajemnicę? A może, co gorsza, próbuje chronić którąś z zaprzyjaźnionych rodzin?

Musi się tego dowiedzieć. Zamierzała porozmawiać z Sebastianem już poprzedniego dnia i powiedzieć mu o swoim odkryciu, ale nie było go w domu i wrócił bardzo późno.

Dziś nie pokazał się na śniadaniu, a po ostrożnym wypytywaniu Prudence dowiedziała się, że znów o świcie wyjechał z domu.

Czyżby jej unikał? Nic mu z tego nie przyjdzie. Nie jest już jej potrzebny i powie mu o tym. Dopięła swego, lecz nie czuła radości. Zaskoczona stwierdziła, że obsesyjne pragnienie, którym tak długo żyła, przestało być dla niej ważne.

Czy stary pastor miał rację, kiedy pytał ją, czy jest pewna, czego naprawdę chce? Kiedy jej marzenie ziściło się, nie miało już dla niej znaczenia. Czy naprawdę mogła być pewna siebie? Jakiś wewnętrzny głos starał się coś jej powiedzieć, lecz nie chciała go słuchać.

Wróciwszy do biblioteki, Prudence nie była w stanie skoncentrować się na pracy.

Oczyma wyobraźni widziała śniadą, uśmiechniętą, z lekka kpiącą, drogą twarz Sebastiana, jego usta, błyszczące oczy i niesforne kosmyki nad czołem. Czuła jego obecność tak realnie, jakby rzeczywiście był z nią w tym pomieszczeniu.

To szaleństwo marzyć o nim, kiedy powinna zastanowić się nad swoją sytuacją. Przemogła się, aby pozbierać chaotyczne myśli. Po pierwsze musi zdobyć jakieś informacje o rodzinie Manvellów.

Może popytać Perry'ego. On mógłby rozstrzygnąć jej wątpliwości. Prawie nic nie wie o jej przeszłości i na pewno ani Sebastian, ani hrabina nie rozmawiali z nim o tajemniczej broszce.

Trzeba też uprzedzić Dana, żeby nikomu nie mówił o jej odkryciu. Nie było to dla niej łatwe, bo wyglądało na to, że namawia chłopca do fałszu.

Wkrótce przekonała się, że jej obawy były bezpodstawne. Dan już zapomniał o herbie, obiecano mu bowiem, że zwiedzi młyn, i nie był w stanie myśleć o niczym innym.

- Przecież widziałeś już niejednego młyn.

- Ten jest inny, Prudy. W ruch wprawia go koło wodne, które porusza żarna mielące zboże na mąkę. Koniecznie muszę zobaczyć, jak to działa. Sam mówi, że jest to bardzo ciekawe urządzenie i pojedę tam na koniu.

Z uśmiechem pozwoliła mu odejść. Po raz pierwszy była zadowolona, że jest sama. Poprzedniej nocy, mimo zmęczenia, właściwie nie zmrużyła oka. Rozpoznanie herbu rodu Manvellów całkowicie zakłóciło jej spokój.

Był to wstrząs, który zburzył całe jej dotychczasowe życie. Obecnie, kiedy długo pielęgnowane marzenie stało się rzeczywistością, odczuwała strach przed tym, co ją czeka.

Uniósłszy podbródek i wyprostowawszy ramiona, w duchu skarciła samą siebie. Gdzież się podziela jej odwaga? Czy nie lepiej znać prawdę, choćby miała być bardzo przykra, niż do końca życia pozostać w niewiedzy? Teraz już nie wolno się jej wycofać.

Rozmyślenia te przerwał jęk, który dochodził z dworu. Pomyślała, że to stęka jakieś cierpiące zwierzę, i podbiegła do okna.

Na balustradzie przy schodach, z pochyloną nisko głową, siedział Perry.

- Co się stało? - zawołała do niego Prudence. - Zraniłeś się?

- Jestem kompletnie załamany! - odrzekł tragicznym głosem. - Widzisz przed sobą pokutnika. Nie miałem pod ręką włosienicy ani bicz, więc biłem się pięścią w piersi, w nadziei na uzyskanie przebaczenia... - Jego ramiona zaczęły się trząść i kiedy podniósł głowę do góry, zobaczyła, że Perry się śmieje.

- Ty oszuście! Co ty wyprawiasz? A ja zlekłam się, że coś cię bardzo boli.

- Bo to prawda, boli mnie serce! Czy mogę przyjść do biblioteki i porozmawiać z tobą? Chciałbym cię przeprosić za wczorajszy dzień. Nie zamierzałem zrobić krzywdy Danowi.

- Przychodź, jeśli to konieczne. Czy tęsknisz za pracą? - Ręką wskazała na półki z książkami.

- Mam wrócić do tego kieratu? - Perry zrobił przerażoną minę. - Twoim zdaniem to właściwa kara za złe zachowanie? - Przełożył nogę przez framugę okna i zeskoczył na podłogę. - Czy mam harować tak długo, aż mi wybaczysz?

- Nie mam panu czego wybacząć, sir.

- O Boże! To znaczy, że ugrzązłem po uszy! Dlaczego zwracasz się do mnie per „sir”?

- Zwykle przejęzyczenie... Przepraszam cię...

- To ja cię przepraszam.

- Nie gniewam się — uśmiechnęła się najmilej jak umiała. - Nie mam do ciebie pretensji za tę lekcję pływania. Wiem, jaki natarczywy potrafi być Dan. Nie jest niestety zbyt silny, lecz za nic nie chce się do tego przyznać.

Nie miało sensu tłumaczyć, że to lata ciężkiej pracy i straszne warunki życia sprawiły, że Dan jest tak wątpy. Perry dostrzegł smutek na jej twarzy.

- Byłem bezmyślny - przyznał szczerze. - Na przyszłość będę ostrożniejszy. Prudy, nie opowiedziałas mi za wiele o swoim życiu, zanim tu zamieszkałaś. Czy było ci bardzo ciężko?

- Nie bardziej niż wielu innym podrzutkom. Zawsze byliśmy zmęczeni, zmarznięci i głodni. Nie jesteś w stanie sobie tego wyobrazić.

- Masz to już za sobą. Z czasem Dan zmężnieje, wiesz przecież, że ten spryciarz jest ulubieńcem kucharki. Już ona dopilnuje, by chłopak szybko przytył. Popatrz na mnie!

Nie mogła wytrzymać jego wzroku i spuściła oczy.

- Jesteśmy znowu przyjaciółmi? - zapytał niecierpliwie.

Słyszając jej śmiech, uspokoił się.

Prudence cieszyła się z obecności Perry'ego. Miała doskonałą okazję, by go wybadać, nie budząc przy tym żadnych podejrzeń.

- Nie zmęczyłaś się jeszcze? - zapytał. - Wydaje się, że ta robota nigdy nie będzie mieć końca...

- Lubię tę pracę - zaprotestowała. - Żałuję tylko, że nie zawsze potrafię odnaleźć nazwiska i daty. Gdzie mogą być jakieś wskazówki na ten temat?

- Nie wiem. - Zmarszczył brwi w zamyśleniu. - Może zajrzyć do „Wykazu parów Wielkiej Brytanii” Burke'a? No tak, ale tam nie będzie nazwisk autorów ani wydawców.

- „Wykaz parów Wielkiej Brytanii”? Co to takiego?

- Nigdy sam tam nie zaglądałem, wątpię jednak, czy ci ta książka pomoże. Burke podaje w niej tytuły, daty narodzin, liczbę dzieci, gdzie dany ród zamieszkuje i inne tego rodzaju nudne informacje. Gdzieś tutaj musi znajdować się ta księga... - Rozejrzał się dokoła niepewnym wzrokiem.

- Nie szukaj teraz - powiedziała pospiesznie. Nie powinien domyślić się, że ta publikacja bardzo ją zainteresowała. Gdyby wspomniał o tym przypadkowo przy matce, ta wpadłaby zapewne w popłoch.

Prudence uświadomiła sobie, że staje się podstępna, i to ją martwiło, z drugiej jednak strony nie mogła pozbyć się uczucia irytacji. Jej poszukiwania nie miały nic wspólnego z ludźmi, którzy, dokładnie znając swoje wielopokoleniowe koligacje, nie mogli jej zrozumieć.

Lord Wentworth i jego matka, każde na swój sposób, usiłowali ją zniechęcać, ale to tylko umacniało ją w uporze.

Po wyjściu Perry'ego Prudence zabrała się do szukania wspomnianej książki i wtedy usłyszała parskanie koni.

Czyżby Sebastian wrócił? Z bijącym sercem podeszła do okna i zobaczyła na podjeździe kilka powozów ze stangretami na koźle.

W unoszącym się nad nimi kurzu rozpoznała, jak się jej wydawało, wysoką sylwetkę lorda Wentwortha, wysiadającego z pierwszego powozu.

Po chwili stwierdziła, że pomyliła się. Ten mężczyzna był wyższy od Sebastiana, choć bardzo do niego podobny. Czując w głębi duszy lęk, domyśliła się, że przybył par Brandon z żoną.

W świetle licznych pochodni zapalonych nad wejściem do domu Prudence zobaczyła tę kobietę, *bete noire** według Perry'ego.

***Bete noire* (franc.) - dosł.: czarne zwierzę; osoba najbardziej przez kogoś nie cierpiana, najbardziej antypatyczna i obmierzła (przyp. red.).

Hrabina Brandon, ubrana według najnowszej mody, była niezwykle wysoka i szczupła, wręcz chuda. Robiła wrażenie dumnej i niemilej. Surowy wyraz twarzy nie uległ zmianie nawet przy powitaniu z teściową, która wyszła gościom naprzeciw. Pochyliła głowę i pozwoliła ucałować się w jeden policzek, po czym szybko weszła do środka.

Jej mąż, par, nie podążył za nią. Objąwszy mocno ramieniem matkę w talii, przygarnął ją do siebie z serdecznym uśmiechem, podczas gdy trójka dzieci wysypywała się z drugiego powozu.

Nic sobie nie robiąc z pokrzykiwania niańki, biegły na wyścigi do babci, gdyż każde chciało być tym pierwszym, które ją uściska i zwróci na siebie jej uwagę.

Kiedy lady Brandon pochyliła się, żeby ucałować każde z osobna, Prudence spojrziała z zainteresowaniem na para. Był starszy i tęższy od Sebastiana, lecz rodzinne podobieństwo rzucało się w oczy.

Trzej chłopcy zaczęli się bić i ojciec spojrzął na nich z nie ukrywanym rozdrażnieniem. Zganił ich ostrym tonem i wszystkim trzem po kolei dał po lekkim klapsie, co zupełnie nie usprawiedliwiało towarzyszących temu przeraźliwych wrzasków.

Prudence przyglądała się tej scenie zdziwiona. Najstarszy chłopiec mógł mieć dziesięć lat, a drugi był chyba tylko o rok młodszy. Jak na ten wiek byli zaskakująco źle wychowani. Także i najmłodszy syn para, naśladując starszych braci, głośnym płaczem domagał się współczucia. Mimo woli porównała ich zachowanie z Danem i musiała przyznać, że jej mały przyjaciel zasługiwał na zdecydowanie wyższą ocenę.

Westchnęła i z ciężkim sercem pomyślała, że Perry miał rację. Spokojna dotąd atmosfera w Hallwood bez wątpienia ulegnie na przeciąg kilku dni zakłóceniu, ale to nie jej zmartwienie. Na ile to możliwe, będzie się trzymać z boku.

Instynkt podpowiadał Prudence, że ta kobieta, która właśnie przybyła, jeśli w ogóle raczy ją zauważyć, na pewno odniesie się do niej z niechęcią. Trzeba więc jeszcze raz poprosić, aby w czasie wizyty pozwolono jej i Danowi jadać w kuchni ze służbą.

Gdy więc nadarzyła się sposobność, zwróciła się z tą prośbą do lady Brandon:

- Jeszcze raz bardzo panią proszę o zgodę, żebyśmy mogli jadać posiłki ze służbą.

- Ależ, moja droga, nie jesteś służącą. Wprawdzie z Danem jest inaczej, to jeszcze dziecko, lecz jeśli chodzi o ciebie, to absolutnie nie wypada. Nie spodobałoby się to Sebastianowi.

- Jestem pewna, że mnie zrozumie - nalegała Prudence. - Pani nie traktuje mnie jak służącą... ale przecież pracuję dla pani.

- To może będziesz jadać w swoim pokoju?

- Bardzo proszę o to, obsłużę się sama.

- Nie ma takiej potrzeby - odparła z uśmiechem starsza pani. Chciała jeszcze coś dodać, lecz w tym momencie otworzyły się drzwi i na progu stanęła hrabina.

Prudence od razu wyczuła, że przybyła poddaje ją dokładnym oględzinom. Hrabina spojrziała pytającym wzrokiem na teściową.

- Amelio, przedstawiam ci Prudence Consett. Prudence, poznaj hrabinę Brandon, żonę mego najstarszego syna.

Dziewczyna dygnęła uprzejmie, zmieszana badawczym spojrzeniem zimnych, szarych oczu. Amelia ledwo dostrzegalnie skinęła głową.

- Prudence jest moją nową pomocnicą - wyjaśniała pospiesznie lady Brandon. - Pomaga mi w prowadzeniu korespondencji oraz porządkuje bibliotekę.

Hrabina zwróciła się do teściowej i powiedziała tak, jakby były same:

- Porządkuje bibliotekę? To dziwne zajęcie dla kobiety, a poza tym ona jest za młoda. Gdybyś poprosiła Fredericks, przysłałby ci jakiegoś bibliotekarza... co byłoby pod każdym względem stosowniejsze.

- I ten mężczyzna miałby mi wszędzie towarzyszyć? - Lady Brandon pragnęła złagodzić ostre słowa hrabiny, lecz żartobliwy ton jej pytania został całkowicie zignorowany.

- Czy ktoś polecił ci tę dziewczynę? Kto? Mam nadzieję, że nie będziesz tego żałowała. Zdecydowanie nie zatrudniłabym młodej kobiety w domu, w którym są nieżonaci synowie...

- Na szczęście panna Consett jest zatrudniona u mnie, a nie u ciebie. - Lady Brandon powiedziała to uprzejmie, hrabina jednak zaczerwieniła się ze złości. - Prudence, moja droga, zostaw nas na chwilę same.

Dziewczyna była szczęśliwa, że pozwolono jej odejść. Zanosiło się na to, że następne pół godziny nie będzie przyjemne dla jej miłej pracodawczyni.

Zamierzała pozostać w swoim pokoju przez cały wieczór, lecz spostrzegła, że nie ma nic do czytania.

Ponieważ minęła już pora obiadu, Prudence była pewna, że cała rodzina przeniosła się do salonu. Postanowiła więc, że po cichu, nie zwracając niczyjej uwagi, zejdzie na dół do biblioteki.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Niestety, Amelii nie odpowiadały wiejskie godziny posiłków i obiad został przesunięty na ósmą wieczór.

Prudence natknęła się na nią w korytarzu. Dygnęła grzecznie, mając nadzieję, że uniknie rozmowy, lecz hrabina zatrzymała ją władcym gestem ręki.

- Podejź do mnie, dziewczyno! - rozkazała. - Chcę, żebyś mnie dobrze zrozumiała. Masz trzymać się z dala od moich dzieci.

- Słucham?! - Prudence patrzyła na nią w kompletnym osłupieniu.

- Nie udawaj przede mną niewiniątka! Bóg jeden wie, co przedtem robiłaś i gdzie wynalazł cię lord Wentworth. Coś niecoś słyszałam na twój temat i muszę przyznać, że jestem zaszokowana.

Prudence opuściła głowę, by ukryć wściekłość w oczach. Miała ochotę wybuchnąć i oznajmić tej damie, że z radością zrezygnuje z towarzystwa jej przebrzydłych bachorów, lecz w porę ugryzła się w język.

- Możesz odejść, lecz pamiętaj, co ci powiedziałam. - Hrabina odprawiła ją z miną pełną pogardy.

Żadna z nich nie zauważyła, że drzwi pokoju para były uchylone. Gdy Prudence już zniknęła, wyszedł na korytarz i zwrócił się do żony z pytaniem:

- O co ci chodzi, Amelio? Dziewczyna nie może nikomu wyrządzić krzywdy. Matka jest z niej bardzo zadowolona. ..

- Absurd! - odrzekła ze złością. - To jeszcze jeden przedziwny pomysł Sebastiana.

- Słucham?

- Jak chcesz, to broń wybryków braciszka. Czy pomyślałeś jednak o swojej pozycji? Jako członek rządu nie możesz sobie pozwolić na skandal.

- A ty pozwól sobie przypomnieć, że skandale najczęściej są wywoływane przez złośliwe języki. Będę ci bardzo zobowiązany, jeśli powstrzymasz się od wydawania sądów o mojej rodzinie.

- Wiem dobrze, że nikomu nie wolno krytykować Sebastiana - mówiła dalej z hardo podniesioną głową. - Nie podoba mi się jednak, że twoja matka tak łatwo mu ulega. W mojej rodzinie nie tolerowano by takich dziwactw.

- Wierzę ci. Nikt nigdy nie słyszał o jakiegokolwiek działalności charytatywnej wśród twoich najbliższych. - Ta ostatnia uwaga zmusiła ją wreszcie do milczenia i razem zeszli schodami na dół.

Prudence zaciskała pięści. Ponieważ nie chciała wracać do swojego pokoju, dopóki ziejąca złością hrabina się nie oddali, musiała przeczekać w załomie korytarza i dlatego usłyszała tę rozmowę.

Policzki paliły ją od uczucia upokorzenia. Hrabina nie kryła swej niechęci wobec niej i Dana, będzie musiała więc ostrzec chłopca, by nawet nie próbował odzywać się do jej synów. Ta kobieta skorzysta z najmniejszej sposobności, by doprowadzić do wypędzenia z tego domu Prudence i jej przyjaciela. Z ulgą pomyślała, że dzięki Bogu uwolniono ją od tak niemiłego towarzystwa przy obiedzie.

Nie dane jej było jednakże cieszyć długo spokojem.

Późnym wieczorem do jej pokoju przyszedł Sebastian.

- Powiedz mi, dlaczego to zrobiłaś? - zapytał bez żadnych wstępów.

Tym razem nie udawała, iż nie rozumie pytania.

- To wizyta rodzinna, czułabym się niezręcznie.

- Zawiodłem się na tobie. Miałem nadzieję, że zostałeś przyjęta przez nas serdecznie - mówił chłodno.

- Wiem i jestem za to wdzięczna...

- Nie oczekuję wdzięczności - odrzekł szorstko. - Widzę, że nic nie rozumiesz... Postępując w ten sposób, utwierdzasz moją szwagierkę w przekonaniu, że nie jesteś mile widziana w naszym gronie.

Prudence zaczerwieniła się.

- Ona może sobie myśleć, co tylko jej się podoba.

- Niezupełnie. Gdzie podziła się twoja odwaga? Czy boisz się Amelii?

- Nie boję się - odparła z groźnym błyskiem w oczach - nie mam jednak ochoty słuchać impertynencji. Hrabina nie siądzie do stołu z kimś, kogo uważa za gorszego od siebie.

- Decyzja nie zależy od niej.

- To nie jest znowu takie ważne, sir. Nie warto sobie zawracać tym głowy.

- Nie masz racji. Hrabina nie rządzi w tym domu i ty będziesz jadać z nami jak przedtem.

- Nie może mnie pan do tego zmusić! - odparła, wprost gotując się ze złości.

Ich spojrzenia spotkały się i po krótkiej chwili Sebastian uśmiechnął się.

- Naturalnie, przekonałem się już o tym, Prudence. - Ujął jej rękę i poprosił: - Czy jednak możesz zrobić to dla mnie?

Nie pierwszy raz, ulegając czarowi jego uśmiechu, szepnęła:

- Dobrze, zgadzam się.

Wtedy lord delikatnie ucałował jej rękę.

- Nie dopuszczę, żeby pożarł cię jakiś smok - obiecał. - Do zobaczenia rano. Dobrej nocy!

Wyszedł, zostawiwszy ją z myślami, które nie dały jej spać ponad godzinę. Dlaczego Sebastian tak nalegał, aby jadła ze wszystkimi? Nie przyczyni się to do załagodzenia jego nieporozumienia z hrabiną.

A może chodziło mu tylko o uczucia Prudence? Westchnęła. Nie umiała go przekonać, że znacznie lepiej by się czuła, gdyby nadal jadła posiłki w pokoju.

Z tego wszystkiego zapomniała powiedzieć mu o odkryciu w księdze heraldycznej herbu Manvellów. Nie zapytała go także o wyniki jego poszukiwań. Zrobi to nazajutrz.

Następnego ranka Prudence prześlizgnęła się do biblioteki tylnymi schodami. Dan przyszedł do niej na poranną lekcję nauki czytania, a potem zniknął, by poszukać Perry'ego.

Ten zaś starał się przebywać w domu jak najmniej, żeby unikać spotkań ze szwagierką. Prudence brakowało wesołych pogawędek z czupurnym młodzieńcem, lecz korzystając z jego nieobecności, mogła swobodnie poszukać upragnionej książki.

Znalazła ją dopiero po godzinie. Klęcząc wśród rozłożonych na podłodze tomów, sięgnęła w głąb ostatniej szuflady i natrafiła na grube tomisko w czerwonej skórzanej oprawie. Z rosnącym podnieceniem spojrzała na tytuł. Była to wreszcie książka, na odszukaniu której tak bardzo jej zależało.

Odnalazła interesujący ją zapis i szybko przebiegła wzrokiem fragment dotyczący Manvellów z Longridge. Potem przeczytała wszystko na głos:

- „Rodzina Manvellów z Longridge.

Jonathan Manvell, urodzony 3 listopada 1728 r. Poślubił 16 czerwca 1750 r. Annę, córkę Crispina Langhome'a z Orford Chase w hrabstwie Norfolk; z żoną tą, która umarła w 1754 r., miał córki, Frances, urodzoną w 1751 r. i Henriette, urodzoną w 1754 r. Główna rezydencja to Longridge Hall, w hrabstwie Kent. Ewentualny dziedzic - William, lord Woodforde, wnuk powyższego”.

Podczas czytania miała wrażenie, że w pokoju rozlega się echo powtarzające każdą wypowiedzianą przez nią sylabę. Poniżej notatki widniał wyraźny rysunek herbu, który został wryty na broszce.

Przeczytała tę notatkę jeszcze raz. Każda z obu córek Jonathana Manvella mogłaby być jej matką... dlaczego więc została porzucona, dlaczego?

Musiał wydarzyć się jakiś skandal, być może skandaliczny romans, w wyniku którego urodziło się nieślubne dziecko. Przygryzła wargi. Już dawno przywykła do myśli, iż najpewniej jest bękartem. Stary pastor sugerował, że być może Prudence była dzieckiem zrodzonym z miłości... jednak Prudence stanowczo odrzucała ten pomysł, gdyż jej zdaniem kobieta, która ją porzuciła, pozbawiona była matczynych uczuć.

Przeczytała ponownie całość. Teraz już wiedziała, gdzie mieszkają Manvellowie. W końcu kiedyś do nich dotrze i będzie delektować się każdą sekundą ich wstydu.

Prudence już zabierała się do przepisania cennych informacji, gdy otworzyły się drzwi. W popłochu wepchnęła książkę pod stos innych i odwróciwszy się, stwierdziła, że była to lady Brandon.

- Moja droga Prudence, potrzebna mi twoja pomoc. Frederick i Amelia wybrali się do Canterbury, Perry gdzieś zniknął, a Sebastian znowu wyjechał w swoich sprawach. Jest to więc świetna okazja, by zająć się korespondencją. Czy nie masz nic przeciwko temu, żebyś odłożyła na razie pracę?

Dziewczyna zgodziła się na to z uśmiechem. Odczuła ulgę, iż będą jeść lunch same.

Do biblioteki powróciła dopiero wieczorem, gdy zapadał już jesienny mrok. Przepisanie potrzebnych jej informacji trwało zaledwie chwilę i wtedy uderzyła ją pewna myśl. Nie знаła przecież dokładnej lokalizacji rezydencji Longridge Hall, a hrabstwo Kent było rozległe.

Sięgnęła do książki z mapami, które tak zachwyciły Dana. Było to jednak dzieło historyczne, wynikłe przede wszystkim z nieposkromionej wyobraźni i fantazji dawnych kartografów, nie zaś współczesny atlas. Prudence nigdzie zresztą na natrafiła na Longridge. Może nazwa ta odnosi się tylko do rezydencji? Gdzie szukać odpowiedzi na to pytanie?

- Panno Consett, zniszczy pani sobie wzrok, pracując przy takim świetle. Zadzwoń, by przyniesiono świecę. - Obok niej stał par Brandon.

- Właśnie kończyłam pracę, milordzie. - Dziewczyna wstała i złożyła grzeczny ukłon.

- Ale ja mam coś do zrobienia. - Pociągnął za sznurek z dzwonkiem.

- Przepraszam pana bardzo. Nie wiedziałam, że pragnie pan korzystać z biblioteki. Jeśli pan pozwoli... - Zamierzała już wyjść.

Było to jej pierwsze tak bliskie spotkanie ze starszym bratem Sebastiana, poczuła się więc trochę zażenowana.

- Proszę nie uciekać. Czy zechce mi pani pokazać, czym się pani zajmuje?

Była mu wdzięczna za okazane zainteresowanie. Domyślała się, że pragnie jakoś zrekompensować obraźliwe zachowanie swojej żony.

Wyjaśniła pokrótce, na czym polega jej praca w bibliotece, pokazała mu sporządzone już karty katalogowe, jak również z wyraźnym pietyzmem zaprezentowała mu najcenniejsze książki.

Gdy uniosła wzrok, napotkała przyjazne spojrzenie.

- Widzę, że jest pani entuzjastką! - Przez moment był tak podobny do Sebastiana, że serce Prudence zabiło mocniej.

- Nie potrafię odnosić się obojętnie do książek - powiedziała nieśmiało. - Niektóre z nich są jak starzy przyjaciele.

- I bardziej niezawodne niż nowi?

- Ach, nie! - szybko zaprzeczyła. - To nieprawda. Wszyscy w Hallwood są dla mnie bardzo mili.

- Wszyscy? - W jego tonie zabrzmiała ironia, lecz nie podtrzymał tego, tak przykrego dla nich obojga, tematu.

Szybko zaczął układać na biurku przyniesione ze sobą dokumenty i wówczas Prudence zwróciła uwagę na jego dłonie. Mogłyby należeć równie dobrze do Sebastiana. Par miał tak samo długie palce i poruszał nimi z podobnym jak Sebastian wdziękiem.

Prudence odwróciła wzrok, lecz on, zajęty pracą, nie zauważył wyrazu jej twarzy.

Kiedy potem szła schodami na górę do swego pokoju, usłyszała głośny płacz.

Od chwili przyjazdu rodziny lorda Fredericka nauczyła się ignorować hałas, gdy ponad jej głową krzyczeli i piszczeli trzej mali chłopcy. Tym razem krzyk był jakiś inny, jakby spowodowany bólem.

Poczuła nagły skurcz litości, ale nie mogła przecież nic zrobić. Jej obecność w pokoju dziecinnym nie będzie mile widziana. Hrabina wyraziła się aż nadto jasno.

Zanim przebrała się do obiadu, umyła twarz i ręce, ścierając z nich ślady kurzu i atramentu.

- Czy coś złego stało się dzieciom? - zapytała pokojówkę, która przysłała jej pomoc. Wrzask stawał się nie do zniesienia.

- Nie wiem, panienko. Oni ciągle płaczą, jak nie jeden, to drugi.

- Mam jednak wrażenie, że dzieje się tam coś złego.

- Możliwe, bo nie ma z nimi opiekunki. Ona jeszcze się wyleguje.

Prudence spojrzała na dziewczynę i powiedziała:

- Pójdiesz ze mną.

- Ależ, panienko, jestem potrzebna w jadalni.

- To zajmie ci tylko moment - zapewniła ją Prudence. - Gdzie jest pokój opiekunki dzieci?

Dziewczyna niechętnie zaprowadziła ją piętro wyżej i zapukała do drzwi.

Prudence usłyszała jakiś niewyraźny dźwięk. Mimo to otworzyła drzwi i w panujących ciemnościach dostrzegła skuloną postać leżącą na łóżku. Po sekundzie dosłyszała jęk.

- Proszę nie odciągać zasłon - poprosiła kobieta. - Światło bardzo razi mnie w oczy.

Prudence zapaliła świecę i podeszła do łóżka.

- Co się pani stało?

Kobieta bez słowa odwróciła się i ukazała rozpaloną twarz, pokrytą szkarłatnymi plamami. Bez wątplenia miała gorączkę i była poważnie chora.

- Jak długo jest pani w tym stanie? - zapytała wstrząśnięta Prudence.

- Czułam się bardzo źle już od dwóch dni, jednak hrabina orzekła, że udaję. Teraz sama się przekona. Mam takie plamy na całym ciele i strasznie mnie swędzą...

- Niech się pani nie drapie, bo zostaną okropne blizny. Czy hrabina już wie?

- Nie lubi, gdy wieczorem zakłóca się jej spokój, panienko. - Po policzkach chorej zaczęły płynąć łzy.

- Proszę się uspokoić, powiadomię ją o tym. Tymczasem dostanie pani trochę lemoniady do picia i ochładzającą maść na wysypkę. - Prudence dała służącej odpowiednie polecenia.

W tej sytuacji było bardzo prawdopodobne, że chłopcy zostali zarażeni. Obawy Prudence potwierdziły się, gdy otworzyła drzwi pokoju dziecinnego.

Synowie Amelii leżeli w łóżeczkach, cicho teraz pochlipyjąc. Ich nocne koszule przemoknięte były od potu a oni sami rozpaleni i osłabieni.

Prudence rozejrzała się szybko po pokoju. Znalazszy gąbkę, zmoczyła ją wodą z porcelanowego dzbanka i obmyła nią chłopców, ściągawszy z nich przemoczone nocne stroje, które rzuciła na podłogę.

Mokre od potu były nawet ich materacyki. Potrzebna jej była pomoc, żeby zmienić je na suche, na razie więc starała się przynieść ulgę chorym dzieciom. Zadzwoiła na służącą i zabrała się do przebierania chłopców w czyste koszule nocne. Dopinała na nich ostatnie guziczki, gdy ktoś wszedł do pokoju.

Prudence usłyszała okrzyk gniewu. Zobaczyła hrabinę i pomyślała, że ta za chwilę ją uderzy. Spojrzenie stalowoszarych oczu było wręcz jadownicze.

- Miałam rację! - syknęła Amelia. - To ty i ten drugi przybłęda przywlekliście tutaj zarazę. - Podeszła z zapaloną lampą do łóżeczek i spojrzała na synów.

- Światło powinno być osłonięte - powiedziała odruchowo Prudence. - Razi ich.

- Co za bezczelność! Ty będziesz mi wydawać polecenia? Wyjdź z tego pokoju i pakuj natychmiast manatki Nie zostanieie pod tym dachem ani dnia dłużej!

- Moja droga Amelio, widzę, że jesteś bardzo zdenerwowana. Co cię doprowadziło do takiego stanu?

Na progu pokoju stał Wentworth. Prudence, usłyszawszy jego głęboki głos, odczuła ogromną ulgę. Cofnęła się w cień, aby nie wyczytał w jej oczach, jak bardzo była szczęśliwa.

Sebastian nie zwrócił na nią uwagi, gdyż patrzył na Amelię, która nawet nie próbowała ukrywać wściekłości.

- To wszystko twoja wina, Wentworth! Twój ukochani nędzarze sprowadzili na nas chorobę. I teraz moim dzieciom grozi śmierć!

- Nie sądzę - odrzekł spokojnie. - Wyjątkowo głośno wrzeszcza.

Mówił prawdę. Chłopcy, słysząc proroctwa matki, przestali chlupać i rozsłochali się na cały głos.

- Po co ich straszysz? - zapytał. - Myślę, że przede wszystkim potrzebują spokoju.

- Proszę, jaki troskliwy! - Twarz hrabiny wyrażała wrogość. - Nie wierzyłam własnym uszom, kiedy twoja matka poinformowała mnie, że przywiozłeś tych dwoje włóczęgów, a w dodatku uciekinierów. I oto rezultat. Przez twoje szaleństwo muszą cierpieć inni!

Wentworth zignorował jej ostatnie słowa i zwrócił się do Prudence:

- Gdzie jest opiekunka chłopców?

- Jest także chora, sir. Wydaje mi się, że to odra.

- A ty, Prudence, chorowałaś już na odrę?

- Tak, kilka lat temu, kiedy w tkalni wybuchła epidemia.

- To znaczy, że nic ci nie grozi. A Dan?

- Chorował na odrę w tym samym czasie.

- Czy uspokoiłaś się już, Amelio? Ani Prudence, ani Dan nie mogli zarazić twoich synów.

- Przeklęte przybłędy! - W jej głosie brzmiała nie skrywana wściekłość. - Na pewno przywlekli coś jeszcze gorszego! Skąd ta pewność, że to odra? To może być ospa...

- Opanuj się, kobieto! Nie wywołuj paniki! Poczekajmy, co powie lekarz, zanim poddasz się histerii.

- Ta dziewczyna musi stąd odejść! - Hrabina wskazała na Prudence. - Nie życzę sobie, żeby ona kręciła się koło moich dzieci...

- Masz zamiar opiekować się nimi sama? - zapytał obojętnie.

- Oczywiście, że nie! Zatrudnię w tym celu kogoś innego. Zresztą Frederick też by się na to nie zgodził.

- Może go zapytamy? - Sebastian mówił ze zjadliwą słodyczą w głosie. - Jestem pewien, że nie będzie miał nic przeciwko Prudence.

- Opiekunka już chorowała na odrę, jeśli w ogóle to ta choroba. Nikt tego nie stwierdził...

- Ona nie czuje się jeszcze na tyle dobrze, żeby wstać z łóżka. - Prudence nie oczekiwała, że tymi ostatnimi słowami ściągnie na siebie taki gniew hrabiny.

- Milcz, bezwstydną ulicznico! Nie pozwalaj sobie za dużo! Czy nie kazałam ci pakować manatków?

Sebastian utkwiał baczne spojrzenie w hrabinie i ona pierwsza odwróciła wzrok.

- Wydawało mi się, że moja matka jest tu panią domu - powiedział lodowatym tonem. - Czyżby wydała takie polecenie?

W niebieskich i szarych oczach tych dwojga płonął prawdziwa nienawiść. W końcu hrabina z twarzą wykrzywioną złością opuściła pokój.

- Czy mama się gniewa? - zapytał z lękiem któryś z chłopców.

- Zmartwiła się, że jesteście chorzy, ale już niedługo wyzdrowiejecie - odpowiedziała Prudence z uspokajającym uśmiechem. I wówczas poczuła silną dłoń na swoim ramieniu.

- Czy możesz z nimi pobyt jakiś czas? Postaram się kogoś znaleźć.

- Proszę tego nie robić. Umie radzić sobie z chłopcami. Jeśli lady Brandon zwolni mnie z zajęć w bibliotece, świetnie sobie tu poradzę.

- Nie wątpię. - Sebastian patrzył na nią ciepłym wzrokiem. - Moja droga, nie wiem, co powiedzieć... - Było coś takiego w jego głosie, że serce Prudence mocno zabiło. Zaczerwieniła się i odwróciła wzrok.

- To nie takiego.. - Aby ukryć zmieszanie, podeszła do chłopców. - Będziemy wspaniale się bawić. Znam wiele ciekawych historii. Czy wiecie, że w Hallwood mieszka pewien olbrzym? Ma na imię John. Potrafi chwycić w każdą rękę po jednym łobuziaku i stuknąć ich głowami.

- Można go zobaczyć?

- Oczywiście - odpowiedział Sebastian. - Najpierw jednak musicie lepiej się poczuć. John doskonale walczy, ale na pewno nie ma ochoty zarazić się od was odrą. Musicie poleżeć w łózkach kilka dni.

- Ale, wujku, moje łóżko jest całe mokre!

- Wstańcie, a my z Prudence zmienimy pościel - odparł Sebastian bez dalszych wyjaśnień zdjął surdut, po czym wziął na ręce dwóch młodszych chłopców i zaniósł ich na sofę, otulając starannie pledem. - Kryspinie, ty także tu usiądź. Razem będzie wam cieplej. To nie potrwa długo. Pościel leży w największej szafce pod oknem. Jeśli mi pomożesz... - Ostatnie dwa zdania skierował do Prudence i nie czekając na jej odpowiedź, zaczął ściągać mokre prześcieradła.

- Ja to zrobię - zaprotestowała. - To nie jest zajęcie dla pana, sir.

- We dwoje będzie nam łatwiej - odrzekł krótko. Spojrzała na niego ze zdziwieniem. Co mógł wiedzieć na ten temat? Przecież nie wykonywał czynności przynależnych służbie. Ujrzawszy jej minę, Sebastian pokiwał głową i z udaną rezygnacją powiedział:

- Wciąż nie wierzysz we mnie? Moja droga, bez względu na to, co o mnie myślisz, uwierz mi, nie żyłem w wieży z kości słoniowej.

Na poparcie tych słów zręcznie podwinął prześcieradło. Robił to jeszcze szybciej niż Prudence. A gdy skończył, zawołał do bratanków:

- Wskakujcie do łóżek! Panna Consett jest na tyle miła, że zgodziła się z wami trochę побыć, ale musicie zachowywać się przyzwoicie. Żadnych wrzasków! Żołnierze na polu bitwy cierpią o wiele bardziej od was. Później tu wrócę i opowiem wam, jak walczyliśmy z Francuzami w Quebecu, w Kanadzie.

Złożywszy chłopcom taką obietnicę, wziął Prudence na bok.

- Poślę Sama po doktora. Trzeba się upewnić, czy to odra, czy też coś poważniejszego.

Na jego twarzy malowało się z troską i Prudence, chcąc go pocieszyć, powiedziała:

- Jestem pewna, że to odra. Objawy są takie same, jakie mieliśmy wtedy z Danem, a chociaż chłopcy gorączkują i czują się słabo, nie sądzę, żeby to była ospa.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz. - Utkwił w niej spojrzenie ciemnych oczu. - Nie mam prawa prosić cię o to, zanim doktor postawi diagnozę...

- A czy ja zgodziłabym się z nimi zostać, gdybym podejrzewała, że to jakaś niebezpieczna choroba? - zapytała żartobliwym tonem.

- Nie wątpię, że zgodziłabyś się. - Uścisnął mocno jej dłoń. - Jesteś niezawodnym przyjacielem!

- Proszę się nie martwić. - Prudence zaczerwieniła się, słysząc te słowa. - Mówiłam, że nigdy nie choruję.

- I nigdy nie dajesz się nastraszyć? - Patrzył na nią z takim wyrazem twarzy, że nie bardzo wiedziała, co o tym myśleć.

Sebastian po chwili puścił jej rękę i wyszedł. Podeszła do dzieci i wesoło zapytała:

- Nie znam waszych imion, czy zechcecie mi je zdradzić?

- Ja jestem Kryspin, to jest Damian, a ten dzieciuch to Gerard.

- Nie jestem dzieciuchem! - Zniewaga wywołała natychmiastowy protest najmłodszego z chłopców. - Jestem już duży i będę jeszcze większy! Jak tata!

- Z całą pewnością... i równie dzielny, jak przypuszczam. Mam na imię Prudence.

- Poczytasz nam coś? - W głosie Kryspina zabrzmiała nadzieja.

- Trochę tu za ciemno, ale opowiem wam pewną historię. Potem pośpiewamy.

- Nie lubię ciemności - wyznał Gerard. - Cienie na ścianach wyglądają jak potwory.

Ponieważ starsi chłopcy głośno wyrazili pogardę, Prudence czym prędzej wtrąciła się, żeby nie dopuścić do kłótni:

- Jest nas tu czworo. Żaden potwór się nie pojawi, za bardzo będzie się nas bał.

- Mogą przyjść zbóje... - Sponad kołderki patrzyły na nią oczy pełne łez.

- No to udawajmy, że jesteśmy strażnikami, którzy schowali się w zbójckiej jaskini, żeby ich złapać.

Zgodnie z przewidywaniami Prudence, chłopcy natychmiast zainteresowali się strażnikami. Ona sama niewiele o nich wiedziała, dopóki nie przeczytała książki o słynnych zbrodniach.

Puściła wodze fantazji i zaczęła snuć niezwykle historie o oddziale odważnych mężczyzn, którzy przysięgli, że będą strzec prawa.

- Kiedy dorosnę, zostanę takim strażnikiem - oznajmił Damian. - Tatuś pożyczycy mi jeden ze swoich pistoletów.

- Nic z tego, tatuś mówił, że masz wstąpić do wojska.

- A jeśli nie zechcę...

- Tchórz z ciebie! - zakpił Kryspin.

- Uspokój się, Kryspinie. Strażnicy są tak samo odważni jak żołnierze. - Prudence zganiła go wzrokiem. - A kim ty będziesz?

- Ja otrzymam tytuł para Brandon.

- Dopiero po śmierci taty - przerwał mii brat - a ja mam nadzieję, że będzie żył jeszcze długo.

- On nie umrze, prawda, Prudence? - Gerard najwyraźniej się przestraszył.

- Oczywiście, że nie. Wasz tatuś jest silny i zdrowy. Będzie żył wiele, wiele lat.

- Mówisz o mnie? - Sebastian wrócił i z uśmiechem zbliżał się do grupki siedzącej na łóżku.

Dziewczyna, zapominając o dobrych obyczajach, leżała oparta o poduszki i obejmowała jedną ręką małego Gerarda. Starsi chłopcy przykucnęli koło niej.

- Prudence, podobno nic nie jadłaś - powiedział z wymówką Sebastian.

- Zupełnie o tym zapomniałam - przyznała Prudence i wstała.

- No to idź, coś zjedz! Nawet żelazna dama czasami musi się posilić.

Słyszając troskę w jego słowach, poczuła ciepło w sercu.

- Wrócisz, dobrze? - poprosił Gerard. - Mówiłaś, że będziemy śpiewać.

- Obiecuję! Patrz, przysięgam z ręką na sercu! Wrócę, kiedy duża wskazówka zegara będzie na górze, a mała na cyfrze dziewięć.

- To będzie dziewiąta godzina - oznajmił z dumą Damian. - Znam się już na zegarze.

Sebastian odprowadził ją do drzwi.

- Nie spiesz się. Może byś trochę odpoczęła? Ja porozmawiam z doktorem.

- Muszę dotrzymać przyrzeczenia.

Pokiwał głową z żartobliwą naganą, ale nie przekonywał jej dłużej. Wyraz ciemnych oczu przyprawił ją o zawrót głowy. Wyszła szybko z sypialni chłopców. Jej spokój ducha był bardzo kruchy, Wentworth z łatwością burzył go jednym dotknięciem. Z wielkim trudem oparła się ogromnemu pragnieniu, żeby wtulić się w jego ramiona. Skierowała się do swojego pokoju, jedynego schronienia przed tym wspaniałym mężczyzną.

Wtedy stwierdziła, że straciła ochotę na jedzenie. Nie miało sensu oszukiwać się dłużej. Im częściej widywała Sebastiana, tym bardziej się w nim zakochiwała. I nie miało to nic wspólnego z jego wyglądem, ani ze sposobem, w jaki na nią patrzył i uśmiechał się, a od czego robiło się jej gorąco na sercu. Nawet gdyby był najszeptniejszym mężczyzną na świecie, uważałaby, że jest doskonały.

Spełniał wszystkie jej wyobrażenia o idealnym mężczyźnie, lecz los nie był dla niej łaskawy. Ich znajomość nie miała przyszłości, ale do końca życia będzie pamiętać o Sebastianie.

Ostatnio zauważyła w jego zachowaniu ledwo uchwytną zmianę. Była pewna różnica choćby w tym, jak na nią patrzył podczas minionych kilku dni.

Może tylko podpowiadała jej to spragniona czułości wyobraźnia, lecz w wyrazie twarzy Sebastiana odnajdywała ciepło. Wróciła pamięcią do spaceru na plaży. Potknęła się wówczas i upadła, a kiedy ją podnosił, dostrzegła coś dziwnego w jego oczach. Najwyraźniej na sekundę stracił panowanie nad sobą i zdradził coś więcej niż zwykłą serdeczną uprzejmość.

Prudence przywołała się w myślach do porządku: to tylko marzenia. Byłoby szaleństwem wierzyć, że lord zaczyna dzielić jej uczucia.

Zapewniał ją jednak, że są przyjaciółmi. Zachowa w pamięci jego słowa jak drogocenny skarb. Chciałaby pozostać tu jeszcze trochę, żeby móc go widzieć, słyszeć jego głos i wiedzieć, że śpią pod jednym dachem.

Zaczerwieniła się na wspomnienie dnia, gdy w zajeździe wtargnęła do jego pokoju. Wydaje się, że było to tak dawno temu, a przecież nie mogła pozbyć się obrazu silnego, gibkiego ciała.

Przycisnęła dłonie do skroni. Zganiła się w duchu za to, że zbyt popuszcza wodze fantazji. Jak ogromnym szczęściem byłoby leżeć w jego ramionach i słyszeć szeptane przez niego słowa miłości. Pochylałby się nad nią, a ona grzałaby się ciepłem jego spojrzenia...

Dość tych marzeń na jawie. Lordowi Wentworthowi na pewno nie przychodzą do głowy takie myśli. Czyż nie zapewniał, że przy nim jej cnota jest bezpieczna? Zawsze będzie widział w niej tylko przybłędę, którą przypadkowo poznał... i nigdy nie ujrzy w niej kobiety.

Dla własnego spokoju powinna jak najprędzej opuścić Hallwood. Nie czuła się już związana obietnicą, że nie odejdzie podczas nieobecności Sebastiana. Lecz będąc zakochaną, trudno jej było podjąć taką decyzję... Zresztą nie mogła jeszcze stąd odejść, ponieważ nie dowiedziała się wszystkiego o położeniu Longridge... ponadto zobowiązała się teraz opiekować dziećmi para.

Przekonywała samą siebie, że były to poważne powody. Musiała jednocześnie przyznać, że traciła stanowczość i stawała się pobłażliwa dla siebie. Gdzie się podziała jej siła woli? Niestety, zniknęła wraz z nadejściem miłości...

Gdy wróciła do pokoju chłopców, Sebastian czytał przy osłoniętej świecy. Wszyscy trzej malcy spali.

- Czy nie ma nikogo innego, kto by posiedział przy chłopcach? - zapytała.

- Służące się boją, a mama nie chce ich zmuszać. Przyszłaby tu sama, ale zabronił jej tego doktor.

Prudence patrzyła na niego przestraszona, z niemym pytaniem w oczach.

- Nie, to nie jest ospa, lecz poważny przypadek odry. Dał im pastylki, żeby dobrze spali. Ich opiekunka jest dużo bardziej chora.

- Nie ma więc potrzeby, żeby pan tu siedział. Ja ich dopilnuję.

- Czy ukrywasz coś przede mną, Prudence? - Mówiąc to, utkwiał w jej twarzy intensywne spojrzenie.

- Nie wiem, o co panu chodzi... - odpowiedziała sploniona.

- Raczej nie chcesz mi tego zdradzić. - Poglaskał ją po głowie dawnym, poufałym gestem, po czym szybko cofnął rękę. - Twoja twarz jest odzwierciedleniem twoich myśli.

- Mam nadzieję, że tak jednak nie jest - uśmiechnęła się słabo.

- Może tylko dla mnie. Od chwili spotkania bardzo się do siebie zbliżyliśmy.

Dreszcz podniecenia przebiegł całe jej ciało. Tak bardzo pragnęła usłyszeć te słowa, ale nie miała odwagi wierzyć, że oznaczały coś więcej niż tylko przyjaźń.

- Lubi pan przeciwności - odrzekła lekkim tonem, tak różnym od tego, co naprawdę przeżywała w głębi duszy. - A potem doznaje pan ulgi, jakby przestano pana walić młotkiem po głowie.

Zaśmiał się z tego porównania, co rozładowało niebezpieczne napięcie, wkradające się między nich. Jeszcze chwila i zdradziłyby się ze swymi uczuciami.

- Prudence, nie powinienem cię o to prosić, ale czy nie zgodziłabyś się spać w pokoju obok? Dzieci raczej się nie obudzą, gdybyś jednak zostawiła drzwi tamtego pokoju otwarte...

Bez wahania wyraziła cichym głosem zgodę. Wtedy Sebastian wstał i z rękami na jej ramionach powiedział:

- Pomyliłem się. Uważałem cię za dziecko, a teraz dostrzegam. .. - Urwał, gdy zobaczył wyraz oczu Prudence. Ucałował jej dłoń i wyszedł, zostawiając ją własnym myślom.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Prudence dotknęła dłońmi płonących policzków. Lord Wentworth przekonał się, że nie jest już dzieckiem. Czowała się jak kwiat, który rozwija płatki w gorącym blasku słońca. Marzyła o tym, lecz równocześnie zdawała sobie sprawę, jak wielkie związane jest z tym ryzyko.

Wiedziała już, że nie jest Sebastianowi obojętna, w jego spojrzeniu bowiem dostrzegła prawdziwą namiętność. W tej krótkiej chwili wszystko się między nimi zmieniło. Ogarnęła ją szalona radość. Jakie to cudowne uczucie być pożądaną przez mężczyznę, którego kocha! Miała ochotę tańczyć dokoła pokoju.

Równocześnie jednak na dnie jej duszy zagościł głęboki smutek, zdrowy rozsądek bowiem wciąż napominał, by nie poddawała się złudzeniom. Gdzież indziej, jak nie na manowce rozpaczy, może ich zaprowadzić wzajemne uczucie? Małżeństwo nie wchodziło w rachubę, a ona, chociaż bardzo kocha Sebastiana, nigdy nie zgodzi się zostać jego kochanką. Gdyby przystała na to, ów sekretny romans zbrukałby ich oboje, a ponieważ lord Wentworth dobrze znał swoje powinności, jakie nakładały na niego tytuł i majątek, i tak kiedyś pojmie za żonę kobietę równą sobie stanem.

Musi więc spędzić resztę życia bez niego, a to będzie wymagać od niej ogromnego wysiłku woli. Sebastian chyba nie zdaje sobie sprawy z uczuć, jakie do niego żywi... i nigdy się nie dowie. Z tym mocnym postanowieniem Prudence zasnęła.

Po północy obudził ją płacz. Pobiegła do pokoju dziecinnego i zobaczyła Gerarda, który cały rozgorączkowany siedział na łóżku, kaszłał i rozdrapywał krosty. Szybko wzięła go na ręce i dała chłodny napój do picia. Potem nałożyła mu na powrót bawełniane rękawiczki.

- Nie chcę spać w rękawiczkach - poskarżył się malec.

- Będiesz jak dyrygent orkiestry, a on nosi białe rękawiczki. A to twoja pałeczka. - Włożyła mu do rączki łyżkę. - Będę śpiewać, ale musisz mi dać znak, kiedy mam zacząć.

Ta zabawa odwróciła na jakiś czas jego uwagę. Potem zasnął na jej rękach, a ponieważ był ciężki, ułożyła go na poduszkę, lecz wtedy chłopiec się obudził. Powtórzyło się to kilka razy, przytuliła więc malca do siebie i obiecała, że pozostanie z nim do rana.

W końcu sama też usnęła.

Kiedy się obudziła, zobaczyła Sebastiana stojącego przy łóżku.

- Czy przeszkadzaliśmy panu spać? - zapytała nie całkiem jeszcze rozbudzona.

- Nie bardziej niż zwykle... - Jego głos był dziwnie szorstki.

- Przepraszam, wydawało mi się, że śpiewam cicho. - W tym momencie zauważyła, że Sebastian był całkowicie ubrany. - Która godzina? - zaniepokoiła się.

- Już rano. Czy spędziłaś tu całą noc?

- Nie, chłopcy spali dobrze, lecz potem Gerard się obudził.

- No, tak - mruknął z dziwnym wyrazem twarzy.

Podążyła za jego wzrokiem i z przerażeniem stwierdziła, że jej koszula nocna odchyliła się, odsłaniając nagie piersi. Zmieszana, szybko zakryła je rękami.

- Muszę iść się ubrać. Jeśli zechce pan się odwrócić, pójdę do mojego pokoju.

Posłusznie zrobił to, o co go prosiła, i Prudence wyskoczyła z łóżka.

- Nie śpiesz się tak! - odezwał się Sebastian. - Jesteś na pewno zmęczona, powinnaś trochę odpocząć.

- To nie jest konieczne.

- Czy zawsze musisz się ze mną sprzeczać? - zapytał ze złością. - Doprowadzasz człowieka do szaleństwa!

- Przepraszam Waszą Lordowską Mość! - mruknęła. Czowała się urażona, bowiem gniew Sebastiana był zupełnie nieuzasadniony. Drżąc z zimna w cienkiej koszulce, ze szlochaniem ruszyła do swojego pokoju, lecz Sebastian chwycił ją, nim dotarła do drzwi.

- Przepraszasz? - krzyknęła, tracąc panowanie nad sobą. - Jak ci się wydaje, co ja czuję? Wolałbym cię nigdy nie spotkać.

- Łatwo temu zaradzić - odrzekła z płaczem. - Odejdę...

- Nie ma mowy! - Chwycił ją w ramiona i mocno przygarnął do siebie, całując jej powieki i wargi, aż niemal omdlała. Wbrew temu, co podpowiadał rozsądek, wtuliła się w Sebastiana, poddając się jego namiętności.

Zapomniawszy o całym świecie, nie usłyszeli otwierających się na korytarz drzwi. Do przytomności przywrócił ich dopiero okrzyk grozy.

Amelia przyglądała im się zimnym wzrokiem. Potem uśmiechnęła się i w jej oczach pojawił się wyraz złośliwej satysfakcji. Bez słowa odwróciła się i wyszła.

Sebastian pierwszy odzyskał panowanie nad sobą.

- Ubierz się szybko! Postaram się ją zatrzymać.

- Jakim sposobem? - Prudence drżała ze wstydu i upokorzenia. - Nic nie sprawi jej większej przyjemności, niż rozpowiedzieć o tym po całym domu. Ona mnie nienawidzi.

- Zostaw to mnie! To ja zawiniłem. - Sebastian skłonił się oficjalnie i wyszedł.

Ponieważ w pokoju nie rozpalono jeszcze ognia w kominku, było w nim bardzo zimno i Prudence ubierała się, szcękając zębami.

W jednej sekundzie podjęła decyzję. Musi wymazać z pamięci minioną godzinę. Sebastian wprawdzie bez wahania wziął wszystko na siebie, lecz i jej postępowanie nie było bez zarzutu.

Z radością przyjęła pieszczoty i odpowiedziała na pocałunki w taki sposób, jakby od tego zależało jej życie. Zdradzieckie ciało płonęło namiętnością i on z pewnością to wyczuł. Teraz ma prawo o niej myśleć, że jest niewiele więcej warta niż zwykła nierządnicą, która kusiła go, nie zważając na skutki.

Nie ma się co oszukiwać. Lady Brandon zaraz się dowie o wszystkim. Nic nie powstrzyma hrabiny, która pozostanie tu jako triumfatorka.

To była gorzka pigułka do przełknięcia, lecz trzeba położyć kres okropnej sytuacji. Prudence wyciągnęła starą niebieską sukienkę i zaczęła zbierać do niej swój skromny dobytek.

Dzięki Bogu zachowała samodziśowy kaftan, spodnie i flanelow¹ koszul¹. Gdy układała te rzeczy na łó¿ku, z oczu popłyn¹ły jej łzy. Wspominaj¹c tamten dzieñ na jarmarku w Stamford, nie była w stanie zapanowaæ nad sob¹.

- Prudence, co ty robisz? - do przytomnoœci przywołał j¹ g³os lady Brandon.

- Hrabina powiedziała ju¿ pani... ja nie mog¹ tu pozostaæ...

- Mam si¹ przejmowaæ plotkami niezrównowa¿onej kobiety? Zawiodłam si¹ na tobie...

- Ale to prawda, hrabina zastała mnie nie ubran¹ i...

- I Sebastian skradł ci całusa. Czy to takie straszne? Młodzi m¹¿czy¿ni lubi¹ robiæ takie rzeczy, a ty jesteœ bardzo ładn¹ dziewczyn¹. Przykro mi, jeœli poczułaœ si¹ obra¿ona.

- Pani mnie nie rozumie - powiedziała Prudence ledwo dosłyszaln¹ szeptem.

- Przeciwnie, rozumiem ci¹.

- Bardzo Ńaluj¹, Ńe tak si¹ stało. Co pani teraz o mnie myœli?

- Myœl¹, Ńe jesteœ m¹dr¹ młod¹ kobiet¹, która nie weźmie sobie za bardzo do serca tego, co było tylko chwilow¹ impuls¹. Na litoœæ bosk¹, Prudence, nie powiesz mi chyba, Ńe Ńaden m¹¿czyzna nie próbował przedtem ci¹ pocałowaæ? - mówiła z rozbawieniem lady Brandon, lecz Prudence wcale nie było do œmiechu.

- Owszem, próbowali... ale...

- B¹dź wi¹c rozs¹dna i przestañ o tym myœleæ. Zawinił Sebastian, lecz obiecał mi, Ńe to si¹ ju¿ nigdy nie powtórzy. Czy to ci wystarczy?

Prudence nie odczuła ulgi, slysząc to zapewnienie, była jednak wdzi¹czna lady Brandon, Ńe rozmawiała otwarcie o całej sprawie. Nie miała oczywiœcie pojecia, i¿ starsza pani bardzo niepokoiła si¹ o syna, choæ przezornie nie zdradziła si¹ z tym przed Prudence.

W zachowaniu Sebastiana nast¹piła a¿ nadto widoczna zmiana, a przecie¿ jej syn nie był kobieciarzem. Nigdy nie zwracał uwagi nawet na najładniejsze słu¿¹ce, jeœli zaœ chodzi o panny z towarzystwa... Lady Brandon westchn¹ła. Zaczynała ju¿ w¹tpiæ, czy jakakolwiek kobieta zdoła go na tyle zainteresowaæ, aby zaproponował jej małŃeństwo.

Oczywiœcie trzeba podj¹æ jakieœ stanowcze kroki, byłoby jednak niewybaczaln¹ okrucieñstw¹, jak równie¿ ogromn¹ g³upot¹ wyrzuciæ Prudence z Hallwood, jak tego Ńaðała Amelia. Sebastian wyst¹piłby natychmiast w obronie dziewczyny i cała sytuacja nabrałaby jeszcze wi¹kszej wagi.

Rozmowa z synow¹ była wyjątkowo nieprzyjemna, na szcz¹œcie pojawił si¹ Frederick, który ostrym tonem nakazał Ńonie milczenie.

- Dlaczego robisz tyle hałas¹ o nic, Amelio? - zapytał rozniewany. - Te sprawy nie powinny ci¹ w ogóle obchodziæ. Ńyczyłbym sobie, abyœ wi¹cej si¹ tym nie zajmowała.

- Mam na wzgl¹dzie dobro moich dzieci...

- Naprawd¹? Nie zauwa¿yłem tego. Zapomniałaœ, jak widz¹, Ńe ta dziewczyna, w przeciwi¹nstwie do ciebie, ich matki, nie bała si¹ nimi zaj¹æ.

Gdy znaleźli się sami, hrabina przeszła do ataku. Prudence i lady Brandon słyszały kłótnię, jaka wybuchła między małżonkami.

- Brandon, chyba oszalałeś! Ta dziewczyna to ladacznica. Zobaczyłam ją prawie nagą w ramionach twojego brata...

Odpowiedzi męża nie dosłyszały.

- Nie mam przywidzeń i nic nie koloryzuję! Wszyscy wiemy, że drogi i przez wszystkich tak ukochany Sebastian, cokolwiek by uczynił, jest poza wszelką krytyką. Mam o nim inne zdanie, lecz nawet ja nie przypuszczałam, iż stać go na to, by sprowadzić uliczną dziewczkę pod dach matki po to, aby dać upust grzesznym namiętnościom. ..

- Co ci przychodzi do głowy?! - rozgniewał się już na dobre par. - Nic podobnego się tu nie dzieje. Jak śmiesz obrażać moich najbliższych?

- Myśl sobie, co chcesz - odpowiedziała z szyderczym śmiechem - ale ja cię ostrzegam, że... ona zarzuci na niego sidła. To niewiniątko jest w rzeczywistości wyrachowaną zimną kokotą!

Prudence stała bez ruchu przy łóżku, zaciskając pięści. Nie płakała, lecz jeszcze nigdy dotąd nie była tak wściekła. Najchętniej wymusiłaby na hrabinie cofnięcie tych potwornych oskarżeń.

Lady Brandon pospiesznie zamknęła drzwi.

- Co mam ci powiedzieć, moja droga? Nie przejmuj się bredniami mściwej, złej kobiety. Strasznie mi przykro, że musiałaś tego wszystkiego wysłuchać.

- Nie chcę być powodem kłótni rodzinnych, mylady. Dan i ja musimy odejść, i tak przebywaliśmy tu zbyt długo.

Lady Brandon zagrała ostatnią kartą.

- Czy pomyślałaś o mnie, kochanie? - zapytała łagodnie. - Ogromnie potrzebuję twojej pomocy przy dzieciach i naprawdę proszę cię o tę przysługę.

Prudence, choć była w najwyższym stopniu zdenerwowana, nie mogła odmówić tej prośbie. Byłby to objaw najczarniejszej niewdzięczności, tak wiele przecież zawdzięczała szlachetnej lady. Mimo to odwołała się do jeszcze jednego argumentu:

- Hrabina nie uważa mnie za osobę odpowiednią do opieki nad jej synami.

- Jej zdanie w tym domu się nie liczy. Zresztą nie zostanie już tu długo, ponieważ Frederick musi wracać do Londynu i Amelia będzie mu towarzyszyć. Wyjeżdżają jeszcze dziś.

- Sądziłam, że przyjechali na kilka tygodni...

- We Francji wypadki toczą się bardzo szybko - odrzekła poważnie lady Brandon. - Nasz rząd jest bardzo zaniepokojony. Tak się boję, moja droga. Modłę się, aby nic złego nie przytrafiło się mojej kochanej Sophie i jej dzieciom. Niestety, wciąż nie mam żadnych wieści od Gillesa...

Lady Brandon skuliła ramiona i nagle wydała się Prudence dużo starsza. Dziewczyna zapragnęła przytulić do serca i pocieszyć zrozpaczoną lady, widziała jednak, że z powodu dzielących je różnic nie wolno jej tak postąpić. Mimo to, pod wpływem impulsu, dotknęła rękawa starszej damy i powiedziała cicho:

- Zostanę, przynajmniej do czasu, aż chłopcy wydobrzeją.

- Dziękuję ci, moja droga. Postaram się, żeby nie obarczono cię zanadto obowiązkami. Sebastian pojechał po naszą nianię. Nie jest już młoda, ale z pewnością ci pomoże.

Prudence skinęła głową. Podjęła tę decyzję wbrew głosowi rozsądku, lecz jej odmowa byłaby zupełnie nie na miejscu. Oczywiście będzie unikać towarzystwa Sebastiana, ponieważ jednak hrabina wyjeżdża, pod dachem Hallwood znów zapanuje spokój.

- Jesteś na pewno zmęczona, nie spałaś chyba tej nocy? Teraz z chłopcami jest Perry, a wkrótce przyjedzie niania.

- Czuję się dobrze i...

- Wiem, wiem, nikt jednak nie pragnie, żebyś i ty się rozchorowała. Sama posiedziałybym przy dzieciach, lecz nie chorowałam na odrę i doktor mi na to nie pozwalała.

- Nie może się pani tak narażać. Odpocznę, kiedy przyjedzie niania.

Gdy Prudence weszła do pokoju dziecinnego, zastała Perry'ego na podłodze. Znalazł pudełko z farbami i, ku uciesze trzech chłopców, malował sobie na twarzy czerwone plamy.

Na widok wchodzącej Prudence zaczął głośno jęczeć.

- Jestem chory! - zawołał. - Chcę lemoniady, sorbetu, galaretki i kremu owocowego...

- Nic nie dostaniesz - odrzekła z udaną surowością. - Potrzeba ci tylko lekarstwa, które przepisał doktor.

Chłopcy śmiali się do rozpuku.

- Daj mu to lekarstwo! - wołał Damian. - Jest okropne, wujku!

- Potworze! Nie masz dla mnie litości! - poskarżył się Perry. - Spójrz na moją twarz. - Zamknął oczy i znowu jęknął.

Prudence przyjrzała mu się bacznie.

- Uważam, że wyglądasz świetnie - oznajmiła. - Doskonale wyglądasz w tych plamach.

- To farba! To farba! Naprawdę myślałaś, że on zachorował na odrę? - Gerard z radości aż podskakiwał na łóżku.

- Ani przez chwilę tak nie myślałam - powiedziała poważnie Prudence. - On udaje czerwonoskórego Indianina na wojennej ścieżce.

Na te słowa Perry zaczął skakać i tańczyć po całym pokoju, pokrzykując przy tym i głośno śpiewając.

- Paniczu Perry, co pan wyrabia? Tym hałasem śmiertelnie wystraszy pan chłopców.

- Ciebie, kochana nianiu, jeszcze nigdy nie udało mi się przestraszyć! - Perry objął starą kobietę i obrócił ją w koło.

- Przestań, nicponiu! Co pomyśli o tobie ta panienska? - Niania zdjęła czepek i skłoniła się Prudence. - Nie zwracam uwagi na jego wyskoki i tobie, panienko, radzę to samo.

- Ma pani rację - uśmiechnęła się Prudence. - Chłopcy, podobnie jak ja, z pewnością się ucieszyli na pani widok.

Niania podeszła ciężkim krokiem do łóżka.

- A ty, paniczku Kryspinie, czy także pomalowałeś sobie buzię?

- Nie, Ellie. Ja mam prawdziwą wysypkę i strasznie mnie swędzi.

- To szybko minie. Może będziecie teraz coś zjedli? Malcy czym prędzej wyrecytowali listę ulubionych przysmaków.

Niania z powątpiewaniem pokręciła głową, ale obiecała zrobić, co się da, i wyszła.

- Prudence opowiada fantastyczne historie, wujku Perry... - Damian spojrział na nią z nadzieją w oczach.

- Naprawdę? To ja też posłucham. - Perry usiadł obok niej.

- Nie masz poważniejszych zajęć? - zapytała wesoło.

- Nie, wróciłem do domu, jak tylko doszły do mnie zatrważające wieści. - W jego oczach zamigotały wesołe iskierki.

Prudence mruknęła ostrzegawczo, by nie wspominał o odjeździe hrabiny, na co odpowiedział figlarną miną, a potem dodał:

- No to co z tą historią?

- Później opowiem, teraz chłopcy muszą się umyć i zmienić nocne koszule. Potem wezmą lekarstwo i zjedzą lunch.

Miny chłopców wydłużyły się, lecz już po chwili znów się śmiali, ponieważ Perry uparł się, że on także spróbuje tego okropnego leku. Zatkanął nos i krzywił się przy tym niemiłosiernie, aż wreszcie upadł na podłogę i trzymając się za brzuch, udawał, że zwija się z bólu. Chłopcy śmiali się do rozpuku.

- Mój drogi panie, pan się marnuje w Hallwood. Powinien pan występować na scenie. - Prudence nie mogła ukryć rozbawienia.

- Wiem. - Skoczył na równe nogi, gdyż dc' pokoju wróciła niania z ciężką tacą w ręku. - Co my tam mamy? Czy jest coś dla mnie? Nie uwierzę, że to wszystko jest tylko dla tych przebrzydłych czerwonoskórych!

- Proszę odejść, paniczku Perry. Te biedne kruszynki od dawna nie jadły nic dobrego.

- Nie jestem kruszynką, jestem dużym chłopakiem! - gromko oświadczył Gerard.

- To już wiemy, ale czy jesteś chłopcem, który chce poznać historię o smoku? - Prudence usadowiła się na krześle obok łóżka i wzięła do ręki łyżkę.

- Tak, proszę cię! - Gerard otworzył posłusznie buzię i zjadł trochę galaretki.

- Panienko, nie mogę na to pozwolić! - zaprotestowała niania.

- Ellie, proszę iść do kuchni i też coś zjeść. Przyjdiesz później. - Perry ujął staruszkę pod ramię i odprowadził ją do drzwi. - Prudence, mam nadzieję, że nie będzie to zbyt straszna historia, bo umrę z przerażenia.

- Muszę cię rozczarować, bo to będzie okropna opowieść - pozbawiła go złudzeń Prudence. - Z uwagi na twoje delikatne zdrowie, radzę ci, odejdz stąd.

- Będzie to dla mnie próba odwagi. Zostaję!

- Bardzo dobrze. Opowiem wam o strasznym smoku z... z Longridge. - Zawahała się, nie wiedziała bowiem, czy powinna użyć tej nazwy. - Mieszkał w głębokiej grocie pod morzem.

- Ze swoimi przyjaciółmi? - przerwał Gerard.

- Nie, ten smok nie miał przyjaciół, był bowiem złośliwym potworem. Gdy tylko dostrzegł kogoś na brzegu, wypełzał z groty, żeby go schwycić.

- Czy kiedyś mu się to udało?

- Nigdy! - odrzekła stanowczo. - Nie mógł biegać, bo był za gruby. Ze złości ukrył się za skałami, aby stamtąd zionąć ogniem na rybaków, gdy znajdą się na lądzie.

- O Boże! - powiedział Perry słabym głosem. - Gruby, zionący ogniem smok? Nie chciałbym go spotkać.

- To się może zdarzyć - Damian spojrzał przeciągle na wuja - jeśli podpłyniesz łodzią zbyt blisko legowiska smoka. Wtedy on ciebie zje albo ty go zabijesz. A jak go upolujesz, przyniesiesz go do Hallwood?

- Broń Boże! Wystraszyłyby nasze konie. Zresztą, już raz spotkałem smoka i wiercie mi, nie było to przyjemne spot...

Prudence rzuciła mu wymowne spojrzenie. Jego aluzje do szwagierki nie były w dobrym stylu, choć dzieci ich oczywiście nie rozumiały.

- Czy chcesz posłuchać tej historii? - zapytała. - Bo jeśli nie, to zostaw nas samych!

- Przepraszam panią. - Udawał skruchę, szarpiąc włosy na głowie. - Nie pisnę już ani słówka.

- No i co dalej? - niecierpliwił się Damian.

- Pewnego dnia smok pływał w morzu, a kiedy już wyszedł z wody, zrobiło mu się tak zimno, że postanowił ogrzać się przy olbrzymim ognisku. Aby więc zdobyć drewno, poczołgał się do lasu, lecz na jego widok wszyscy drwale uciekli.

- Ja bym nie uciekł - oświadczył Damian. - Musiałbym mieć tylko do pomocy tatę i wuja Sebastiana.

- Świetny wybór! - roześmiał się Perry. - Słyną z tego, że żaden smok nie umknął im spod muszki!

- Będziesz cicho? Może chcesz sam dokończyć opowiadanie? - Prudence zgromiła go wzrokiem.

- Nie, nie! Słucham z największą uwagą! Opowiadaj dalej, proszę!

Dziewczyna rozważyła szybko w myślach, co ma mówić. Wspomniała już nazwę Longridge, więc może tym sposobem...

- Wtedy smok wpadł na inny pomysł - podjęła opowieść. - Po co ma się męczyć i zionąć, kłopotać się ze wznieceniem ognia, kiedy w Longridge Hall płonie wielkie ognisko? Może przecież stamtąd ukraść czerwone jęczory!

- Czy to był zamek?

- Nie wiedział, ale udał się na jego poszukiwanie, aż zabłądził i nie było nikogo, kogo mógłby zapytać o drogę.

- Mój tatuś wiedziałby - wtrącił z dumą Kryspin. - On wie wszystko!

- Tak jak wódz Indian - wtrącił się Perry z triumfalnym uśmiechem. - Zaprowadziłbym go od razu na miejsce. Krążą już legendy o moich zdolnościach tropicielskich.

Prudence uchwyciła się tej szansy:

- Nie skąpi pan sobie dobrego słowa - zadrwiła. - Trudno mi jednak uwierzyć w te peany...

- Nie wierzysz? No to dowiedz się, Prudy, że Longridge Hall jest blisko Dover - roześmiał się Perry. - Stary zrzęda nie byłby zachwycony, gdyby dowiedział się, że w jego lesie przebywa smok.

- Co to znaczy „zrzęda”, wujku Perry?

- To złośliwy facet, Damianie, znany ze swego skąpstwa. Zresztą, pewnie już nie żyje.

- To dziwne! - Prudence z trudem opanowała podniecenie. - Ten człowiek... nie pokazuje się w towarzystwie?

- Stary Manvell to odludek. Nikt nie widział go od lat. A może pożarł go smok?

W oczach Gerarda malowało się przerażenie.

- Prudence, czy smoki naprawdę pożerają ludzi?

- Ależ nie! Smoki uciekają, gdy tylko ktoś na nie głośniej krzyknie.

- Odnalazł ten dom z ogniem?

- Nie. Wreszcie dotarł do leśnej polany, gdzie zobaczył chłopca...

- Dużego?

- Był taki jak Damian i pasł świnię. Kiedy głośno zakwiczały, rozejrzał się dokoła i ujrzał smoka...

Gerard schował główkę pod poduszkę.

- Nie chcę już tego słuchać! - zawołał.

- Ale to ciekawa historia. - Prudence uspokoiła malca, kładąc mu rękę na ramieniu. - Pastuszek przegonił smoka, który zmykał tak szybko, że nie zatrzymał się nawet na wysokim brzegu i spadł do morza...

- Utonął? - Spod kołderki wyjrzały zaleknione oczka Gerarda.

- Utopił się bez śladu! I teraz nie ma żadnego smoka w Longridge.

Zakończenie opowieści zostało przyjęte westchnieniami ulgi, choć Kryspin stwierdził, że to tylko bajka.

- Nie bajka, tylko święta prawda - zapewnił uroczyście Perry. - Prudy, kiedy opowiesz nam inną historię?

- Nie wcześniej niż dziś po południu - odpowiedziała stanowczo. - Przyjdzie do was znowu doktor...

- To ja wolę się ulotnić. Zażyłem tylko jedną dawkę lekarstwa i znów będzie się na mnie gniewał. Wiem, bo już w przeszłości...

- Paniczu Perry, zasłużył pan na to! - przerwała mu niania, która właśnie weszła. - Panienko Prudence, nie uwierzyłaby pani, co z niego był za urwis. Wciąż spadał z drzew albo topił się w jeziorze. Nigdy nie widziałam chłopca, który by tak często łamał ręce i nogi.

- Ellie, ja się zmieniłem. Nie złamałem już nic od wielu lat... no, może miesięcy...

- Wynoś się stąd! - Staruszka patrzyła na niego z miłością. Najwyraźniej Perry był jej ulubieńcem.

- Ma pan jeść lunch z lady Brandon i nie wypada, żeby czekała długo.

W tym momencie drzwi gwałtownie się otworzyły i pojawił się Sebastian. Widząc wyraz jego twarzy, Prudence zerwała się na równe nogi.

- Co się stało? - zawołała.

- Sophie przyjechała - odrzekł krótko. - Gilles wysłał ją do nas pod eskortą młodego Tollarda.

- Skąd ta nagła decyzja? - spytał zaskoczony Perry.

- Motłoch wtargnął do Wersalu i zabrał stamtąd króla Ludwika, żeby uwięzić go w Paryżu, w pałacu Tuileries.

Perry aż gwizdnął z przejęcia.

- Nie do wiary! Jak się czuje Sophie?

- Jest cała i zdrowa. Chodź, sam zobaczysz. Opowie wam o wszystkim. - Zwrócił się do Prudence: - Jestem pewien, że chętnie poznasz moją siostrę. - I nie czekając na jej odpowiedź, ruszył schodami na dół.

Prudence nie drgnęła. Pragnęła, na ile to możliwe, unikać towarzystwa Sebastiana, lecz Perry pociągnął ją za rękaw.

- Polubisz Sophie - oznajmił - jest naprawdę wyjątkowa! - Ten braterski komplement był chyba największym, na jaki go było stać, i Prudence z trudem ukryła rozbawienie.

Z powagą na twarzy weszła do salonu. Siedziało tam więcej osób, niż się spodziewała. Lady Brandon podeszła do niej, trzymając za rękę wysoką dziewczynę.

- Sophie, przedstawiam ci Prudence Consett. A to, moja droga, jest moja córka, hrabina de Verneuil.

- Mów mi po imieniu - powiedziała młoda kobieta głosem niskim i dźwięcznym. - Jak się czują chłopcy mojego brata?

- Już im lepiej, madame. - Prudence przyjrzała się z bliska siostrze Sebastiana. Byli do siebie bardzo podobni. Rozpoznałaby po tym młodą hrabinę wszędzie.

Ciemne oczy, wyraziste rysy twarzy zdradzające arystokratyczne pochodzenie, stanowczy wykrój ust, były takie same jak u Sebastiana. Sophie nie wyglądała jednak na matkę dwóch synów.

Mimo że hrabina uśmiechała się, Prudence patrzyła na nią z niepokojem. Na białych policzkach odcinały się wyraźnie ciemne sińce pod oczyma. Uznała, że Sophie jest bliska omdlenia, i to zarówno z powodu smutnych przeżyć, jak i wyczerpania.

Wzrokiem dała znak Sebastianowi, by podtrzymał siostrę, lecz ona zapewniła go, że czuje się zupełnie dobrze, i zwróciła się do Prudence:

- Musisz poznać siostrę mojego męża. Poprowadziła ją do okna, gdzie Perry rozmawiał z jakąś kobietą.

Prudence dostrzegła tylko bujne blond włosy i suknię, która nawet od tyłu zrobiła na niej ogromne wrażenie.

Kiedy nieznajoma odwróciła się, Prudence poczuła, że brak jej tchu. Była to najpiękniejsza istota, jaką kiedykolwiek widziała. Przypominała kruchą figurkę z saskiej porcelany, z gładką skórą twarzy i błyszczącymi oczyma w kolorze akwamaryny. Była bardzo szczupła i sięgała zaledwie ramion Sebastiana, który stanął obok niej.

- Ależ z was wielkoludy! - poskarżyła się, patrząc do góry na dwóch braci. - Oto jest ktoś, z kim mogę porozmawiać bez obawy, że złamię sobie szyję. Proszę mi wybaczyć mój angielski, mademoiselle. Wiem, że robię błędy.

- Przeciwnie, świetnie sobie radzisz - uśmiechnął się do niej Sebastian. - Przedstawiam ci pannę Prudence Consett. Prudence, to panna de Verneuil...

- Gabrielle. Myślę, że nie musimy być takie ceremonialne, prawda? - zapytała z tak rozbijającym uśmiechem, że Prudence od razu ją polubiła.

- Sebastianie, czy zechcesz mnie przedstawić tej uroczej damie? - odezwał się młody mężczyzna. Gdy pochylał się nad jej dłonią, Prudence uchwyciła w jego wzroku wyraz zachwytu.

Dowiedziała się, że był to brat Gabrielle, Armand. W przeciwieństwie do siostry miał czarne włosy i był przystojnym, zaledwie wyrosłym z lat chłopięcych młodzieńcem. Prudence domyśliła się, że jest niewiele starszy od niej samej, choć zachowywał się ze znacznie większą elegancją niż jego angielscy rówieśnicy.

Kiedy okazało się, że posadzono go koło niej przy stole, była mu wdzięczna, że prowadzi lekką konwersację. W potoku jego wymowy jej własne milczenie pozostawało nie zauważone.

Lady Brandon z wielką biegłością kierowała rozmowę na tematy obojętne, takie jak zdrowie dzieci, najnowsze plotki, ostatnie wyczyny Perry'ego i relacje o niedawnej sprzeczce między księciem Walii i starym królem.

Mimo żartobliwego nastroju, Prudence wyczuwała niepokój towarzyszący zebrany przy stole. Spojrzała na Sophie i z przerażeniem stwierdziła, że młoda kobieta drży na całym ciele.

Ogarnęło ją współczucie. Wiedziała bardzo niewiele o tym, co wydarzyło się we Francji i co mogło to oznaczać dla młodej hrabiny, ale umiała rozpoznać rozpacz.

Własne kłopoty wydały się jej zupełnie bez znaczenia. Sophie musiała uciekać z domu z dwojgiem maleńkich dzieci i pozostawiła męża na niepewny los. Cóż może być gorszego?

Wydawało się, że drobna lady załamała się lada moment. Najwyraźniej była u kresu wytrzymałości. Prudence postanowiła odwrócić jej uwagę.

- Czy pani dzieci mają się dobrze? - zapytała nieśmiało.

Sophie nie usłyszała jej pytania i Armand, pochylając się do niej przez stół, szepnął:

- Panna Consett mówi coś do ciebie.

- Przepraszam... co pani mówiła?

- Pytałam, jak się czują pani dzieci. Nie ucierpiały w czasie podróży?

- Spały prawie całą drogę - odpowiedziała cicho i z pewnym roztargnieniem. - Są bardzo mali.

Denis ma dwa latka, a Ludwik, mój młodszy synek, dopiero trzy miesiące. - Jej wargi drżały, udało się jej jednak pohamować łzy. - Słyszałam, że pielęgnuje pani chłopców Fredericka. Wszyscy jesteśmy za to pani bardzo wdzięczni...

- Zasługuje na medal - wtrącił Perry. - Nie ma z nimi łatwo, zapewniam cię.

- Mnie wydali się całkiem spokojni.

- Ty, Perry, byłeś oczywiście aniołem. Doskonale pamiętam twoje młode lata.

Słowa Sebastiana rozbawiły rodzinę i rozładowały nieco atmosferę, lecz wokół nadal czał się strach. Był nieuchwytny, ale stale obecny.

- Nic pani nie mówi, panno Consett - zwrócił się do niej Armand. - Pewnie jest pani bardzo zmęczona.

- Ach, nie! - zaprzeczyła. - Po prostu wolę słuchać. Czy zechciałby pan opowiedzieć mi o minionej podróży?

Zorientowała się natychmiast, że poruszyła niezręczny temat, bowiem twarz Armanda natychmiast spoważniała.

- Nie powinienem był wyjeżdżać - odrzekł krótko. - Okazałem się tchórzem.

- Nonsens! - przerwał mu Sebastian. - Panie potrzebowały twojej opieki, Armandzie. Młody Tollard nie poradziłby sobie sam, gdybyście zostali napadnięci...

- Być może, ale Gilles pozostał we Francji.

- Twój mąż musi rozważyć dokładnie całą sytuację, prawda, Sophie?

- Mówił, że gdyby wyjechał, nasz majątek zostałby skonfiskowany. Mój Boże, czy ma to jakieś znaczenie? Próbowałam przekonać męża, że jego życie jest ważniejsze... - Sophie była bliska załamania.

- Powinniśmy do niego dołączyć! - W głosie Perry'ego słychać było gniew. - Gilles mógłby zwołać na pomoc swoich przyjaciół i wszyscy razem dalibyśmy odpór motłochowi.

- Rewolucja ogarnęła cały kraj, mój bracie...

Perry oblał się rumieńcem, słysząc sarkazm w słowach Sebastiana. Zerwał się od stołu.

- Wiem, że uważasz mnie za narwańca, ale któregoś dnia jeszcze ci udowodnię...

- Przestańcie! - krzyknęła Sophie, tracąc panowanie nad sobą. - Nie mogę słuchać waszych kłótni, kiedy Gilles... kiedy Gilles... - Jej szloch poruszyłby najbardziej nieczułe serce.

- Przepraszam cię - wybąkał Perry.

- Dorośnij wreszcie! Zachowujesz się jak smarkacz. Zanim coś powiesz, najpierw pomyśl! - skarcił go ostro Sebastian.

- Dostyc tego! Może sytuacja we Francji nie jest aż tak poważna, jak to sobie wyobrażamy... - Lady Brandon dotknęła pocieszającym gestem ręki córki.

- Jest bardzo poważna! - Sophie szlochała rozpaczliwie. - Uwięziono króla, nie rozumiecie tego?!

- Ależ, kochanie, jemu i jego bliskim nic nie grozi. Przeniesiono ich tylko z Wersalu do pałacu Tuileries...

- Mamo, on jest więźniem, jak każdy pospolity przestępca. Nie lekceważ tego. W ten sposób motłoch potraktował swego władcę. Czy wiesz, jaki los czeka tych, którzy związani są z dworem?

- Sophie, król Ludwik ma jeszcze poparcie we Francji. Nie przejmuj się tym aż tak bardzo. Lud chciał po prostu, żeby przebywał w Paryżu...

- Nie byliście tam i nie widzieliście tej strasznej nienawiści na twarzach chłopów... a ja widziałam.

- Kochanie, nienawiść skierowana jest na królową. Ich zdaniem to Austriaczka, jak ją nazywają, jest odpowiedzialna za wszystko.

- Król też nie jest bez winy. Nie interesował się sprawami państwa. Nic go nie obchodziło, że jego poddani umierają z głodu. - W głosie Sophie słychać było narastającą histerię. - Dla niego dzień bez polowania lub bez teatru był stracony. Ci ludzie zemszczą się nie tylko na królu...

Do uszu Prudence doszedł cichy jęk i nagle z przerażeniem zobaczyła, że Gabrielle de Verneuil osuwa się z krzesła.

Sebastian podtrzymał ją, zanim upadła na podłogę, a jego twarz wyrażała tyle czułości, że Prudence zabrakło tchu. Przez chwilę była niezdolna do jakiegokolwiek ruchu, w końcu jednak pospiesznie wstała, aby mu pomóc.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Zbyt wiele przeżyła - powiedział cicho Sebastian, patrząc na Gabrielle. Wziął ją na ręce i wyniósł z pokoju, a za nim podążyły Sophie i lady Brandon.

Prudence pragnęła ofiarować pomoc, lecz najwyraźniej nikt od niej tego nie oczekiwał. Spojrzała na Perry'ego.

- Nic nie mów! - poprosił błagalnym tonem. - To wszystko przeze mnie.

- Nie bierz całej winy na siebie. Twoja rodzina martwi się i wszyscy są bardzo zdenerwowani...

- To prawda - odrzekł w wyrazem wdzięczności w oczach - ale powinienem bardziej uważać na to, co mówię.

- Ja także! - odezwał się Armand. - Żałuję, że nie panowałem nad językiem.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego?

- Z całą pewnością, panno Consett. Gabrielle, podobnie jak Sophie, żyje w stałym lęku. Jej narzeczony jest człowiekiem związanym z dworem i został uwięziony w Tuileries, razem z rodziną królewską...

- Gabrielle jest zaręczona? - zapytała ze zdziwieniem Prudence.

- Nieoficjalnie. Moi rodzice jeszcze nie wyrazili zgody, ale Lucien bardzo ją kocha. Znamy się od urodzenia...

Przerwał na widok Sebastiana, który wrócił z miną nie wróżącą nic dobrego.

- Muszę z panem pomówić, sir - powiedziała szybko Prudence.

- Słucham?

- Jeśli można na osobności...

- Czy to nie może poczekać?

- Obawiam się, że nie - odrzekła stanowczo. Wahał się przez moment, zwyciężyło jednak dobre wychowanie.

- Jak sobie życzysz! Może przejdziemy do biblioteki?

Gdy znaleźli się w bibliotece, Prudence, chcąc zapobiec kolejnej kłótni rodzinnej, zapomniała o swoich poprzednich obawach.

- O co chodzi? - zapytał szorstko.

- Proszę pana bardzo, by nie był pań za surowy dla Perry'ego - zaczęła bez żadnych wstępów. - On nie chciał nikogo urazić...

- Dlaczego obchodzi cię, co zamierzam powiedzieć memu bratu? - Patrzył na nią zimnym wzrokiem, jakby była obcą dla niego osobą.

Prudence spojrzała mu prosto w oczy.

- Pomyślałam, sir, o pańskiej matce i siostrze. Czy pomoże im jeszcze jedna sprzeczka rodzinna?

- Droga damo, za dużo sobie pozwalasz! Dam bratu taką nauczkę, że, mam nadzieję, nigdy jej nie zapomni!

- Mógłby pan wreszcie zacząć traktować go jak mężczyznę, a nie bezmyślnego chłopca. Wciąż rani pan jego dumę. - Prudence mówiła bez ogródek, zirytowana lodowatym tonem Sebastiana.

- Zostałaś więc jego orędowniczką? Mogłem się tego spodziewać...

- Czy zechce pan wyjaśnić, co oznacza ta ostatnia uwaga?

- Oczywiście! Ty i Perry macie wiele z sobą wspólnego. Oboje jesteście w gorącej wodzie kąpani, bezmyślni, nieodpowiedzialni i nie zastanawiacie się nad skutkami swego postępowania.

- Czy coś jeszcze? - Prudence z trudem oddychała. Ręka wprost ją świerbiła, by z całej siły spoliczkować Sebastiana.

- Wystarczająco dużo, ale przypuszczam, że nie byłoby to dla ciebie miłe.

- Proszę nie decydować z góry o moich uczuciach.

- Prudence, nie przeciągaj struny. Powiedziałaś już zbyt wiele! - Patrzył na nią z wyższością.

- Nie sędzę, nie zdążyłam bowiem powiedzieć, co ja myślę o panu. — Urażona w swej dumie i powodowana zazdrością o Gabrielle, zapomniała o rozwadze i mówiła, na nic już nie zważając: - Dlaczego wyobraża pan sobie, że to pan zawsze ma rację? Ludzie są słabi i ułomni, a pan oczekuje od nich, aby byli doskonali. Nie pojmuję, dlaczego tak się dzieje, skoro pan sam nie jest bez winy.

- Rozumiem - odrzekł Sebastian i jeszcze bardziej spochmurniał. - Chodzi o ten niefortunny poranny incydent? Nic mnie nie usprawiedliwia. Zachowałem się w sposób niewybaczalny i nie mogę mieć do ciebie pretensji, że masz o mnie tak złą opinię.

Prudence milczała. Źle zrozumiał powód jej gwałtownego wybuchu gniewu. Wywołał go lęk o to, co Sebastian powie Perry'emu, oraz niezbyt szlachetne uczucie zazdrości, ale to musiała zachować w tajemnicy. Czy mogła mu wyznać, że tęskni do jego pieszczot? Na samo ich wspomnienie czuła, jak oblewa ją fala gorąca.

Kiedy Sebastian ponownie się odezwał, był już całkowicie opanowany.

- Matka mówiła mi, że chcesz odejść, gdy chłopcy poczują się lepiej?

Prudence zdobyła się tylko na kiwnięcie głową. Nie ufała samej sobie i wołała milczeć.

- Niech będzie, jak chcesz. Po takiej zniewadze nie możesz pozostać w Hallwood. Podejmiemy pewne decyzje w związku z tobą i Danem...

Nie, tego już naprawdę było zbyt wiele!

- Jak pan śmie?! - krzyknęła. - Niczego już od pana nie chcemy!

- Ależ, Prudence... - Patrzył na jej pochyloną głowę i wyciągnął rękę, by pogłaskać ją po włosach, szybko jednak cofnął dłoń i skłoniwszy się oficjalnie, wyszedł z biblioteki.

Dziewczyna stała odrętwiała i nieszczęśliwa. Skutek tej sprzeczki okazał się dla niej straszliwy. Chętnie odwołałaby słowa wypowiedziane w złości, lecz było już za późno.

Zachowała się wobec Sebastiana niesprawiedliwie. Powodowana niegodnym pragnieniem odwetu, głęboko go zraniła i obraziła.

A przecież żaden z jej zarzutów nie był prawdziwy. Sebastian wcale nie żądał od ludzi, aby byli doskonali. Czy nie tolerował wiele razy jej opryskliwych odpowiedzi i wybuchów złości? Czy, mimo jej aroganckiego zachowania, nie zrobił dla niej i Dana tak wiele?

Załamana, ukrywała twarz w dłoniach i na dobre się rozplakała.

- Prudy, co się stało Sebowi? - Perry stanął przy niej i zarzucił ją pytaniami. - Pokłóciliście się?

- Niech ci sam powie. - Odwróciła twarz, żeby nie zauważył jej łez.

- Wypadł z domu bez słowa i pobiegł do stajni. Ponieważ Prudence milczała, zdenerwowany Perry powiedział:

- Po południu zabiorę Armanda do Canterbury. Może mama przekaże nam jakieś polecenia...

Będzie to taka gałązka oliwna, rozumiesz?

- To naprawdę świetny pomysł - uśmiechnęła się słabo Prudence.

- Wolę nie spotykać się z moim bratem, kiedy jest w takim nastroju. Poczekamy, aż Seb wyjedzie...

Ich uszu dobiegł tętent pędzącego w galopie konia i Perry rozpoznał go.

- Pognał! Na mnie zawsze się wścieka, że ryzykuję złamanie karku, ale jak tak dalej pójdzie, to on sam wróci na noszach do Hallwood!

- Wybacz mi... - Prudence stłumiła szloch. - Muszę iść do chłopców...

- Opowiesz im znowu jakąś bajeczkę? Prudence wybiegła, nie odpowiadając na pytanie.

Może jej się tylko wydawało, ale tego właśnie popołudnia chłopcy byli bardziej niż zwykle niegrzeczni. Czuli się już lepiej i leżenie w łóżku zaczęło im doskwierać. Po trwających prawie godzinę próbach, by czymś ich zająć, niania poradziła:

- Potrzebuje pani trochę świeżego powietrza, panienko. Wygląda pani dziś na bardzo zmęczoną! Proszę zostawić tych łobuziaków ze mną, zorganizuję jakąś grę.

Prudence była zadowolona, iż zwolniono ją z obowiązku bawienia chorych dzieci. Uświadomiła sobie z przykrością, że ostatnio zaniedbała Dana. Zeszła na dół do kuchni, gdzie dowiedziała się, że Dan właśnie poszedł do młyna ze swym przyjacielem ogrodnikiem.

Wprawdzie dzień był chłodny, ale młyn znajdował się niedaleko. Wróciła do pokoju po ciepły płaszcz i wyszła z domu bocznymi drzwiami.

Niebo ciężkie było od czarnych chmur, co odpowiadało jej ponuremu nastrojowi. Miała przed sobą nieprzyjemne zadanie do wykonania. Jak wytłumaczyć Danowi, że najpóźniej za tydzień będą musieli opuścić Hallwood? Chłopiec czuł się tu taki szczęśliwy, ona zaś zamierzała zabrać go stąd i narazić na niepewny los.

Zaproponuje mu, żeby sam dokonał wyboru. Jeśli zechce, lady Brandon na pewno pozwoli mu zostać, Prudence jednak w głębi serca przeczuwała, że Dan nie wybierze takiej możliwości.

Gdy poczuła pierwsze krople deszczu, przyspieszyła kroku, wkrótce jednak rozpadało się na dobre i ulewa przeszła w burzę. Przez gęstą ścianę wody nie widziała już ani domu, ani znajdującego się gdzieś przed nią młyna.

Postanowiła schronić się pod olbrzymim dębem, lecz nim zdołała do niego dobiec, kompletnie przemokła.

Drżąc z zimna, owinęła się ciężkimi, mokrymi połami płaszcza. Deszcz silnym strumieniem przenikał przez liście drzewa, nie było więc sensu zbyt długo pod nim stać, na domiar bowiem złego również buty Prudence całkiem przemokły.

- Znowu przeżywasz jakieś nieszczęście? - usłyszała ironiczne pytanie. - Chodź tu!

Kiedy uniosła wzrok, zobaczyła Sebastiana, który stał kilka metrów od niej. Obok skubał trawę jego koń.

- Co pan tu robi? - zapytała stłumionym głosem.

- Jechałem za tobą. Nie zauważyłaś, że zanoszę się na burzę?

- Nie zauważyłam! - odburknęła. - Powinien się pan ucieszyć, bo to następny przykład mojej bezmyślności, nieodpowiedzialnego zachowania i...

- Wybuchowego temperamentu! - wszedł jej w słowo. - Zapomnieliśmy jeszcze o złośliwości jako jednej z dominujących cech twojego charakteru.

Prudence ze zdziwieniem spostrzegła, że lord jest wyraźnie rozbawiony, i uznała, że po prostu drwi sobie z niej. Odwróciła się do niego plecami, lecz on podszedł do niej i dotknął jej ramienia.

- Zdejmij ten płaszcz!

- Nie zdejmę, bo jest zimno.

- Chcesz jeszcze bardziej przemoknąć? Nie bądź głupia! Włóż to - powiedział, podając Prudence swoją pelerynę.

- Nie chcę! I proszę nie nazywać mnie głupią!

- Dobrze, nie jesteś głupia... Zrobimy więc namiot. - Odwrócił Prudence do siebie, odpiął patkę pod szyją i cisnął przemoknięty płaszcz na siodło. Potem owinął ją swoją peleryną i zapraszającym gestem podał ramię. Prudence patrzyła na niego zbita z tropu.

- Sądziłam, że ta peleryna ma posłużyć nam za namiot...

- I tak będzie, ale nie chcę rozkładać jej na ziemi. Mamy sytuację wyjątkową. Zapomnijmy o tym, co nas różni. Zrób mi ten zaszczyt i przysuń się do mnie, wtedy razem okryjemy się peleryną. - Sebastian nie czekał na jej zgodę i chwyciwszy ją za ramię, przyciągnął do siebie.

Usiłowała mu się wyrwać, lecz nie puszczał jej ręki.

- Nie denerwuj się! Burza wkrótce minie.

Powiedział to w taki sposób, że Prudence nie wiedziała, czy miał na myśli tylko pogodę, lecz z jego uprzejmej miny nic nie wyczytała.

- Czy wciąż się na mnie gniewasz? - zapytał.

- Zagalopowałam się... - Stała sztywno i nieruchomo w jego objęciach. - Chciałam tylko zapobiec kolejnej sprzeczce.

- Nie bardzo ci się to udało. Całe szczęście, że nasza rozmowa nie odbyła się w jadalni. Gdybyś miała pod ręką nóż, zasztylowałabyś mnie.

- Chodziło mi o nieporozumienia rodzinne, tak dla wszystkich przykre, a nie o mnie i o pana - zaprotestowała.

- A czym to się różni? Nie sądziłem... - Nagle zaczął mówić innym tonem. - Cieszę się, że mnie powstrzymałaś, byłem tak wściekły... Perry usłyszałby nie jedno przykre słowo.

Prudence milczała.

- Uważasz, że nie miałem racji, nie zgadzając się na wyjazd do Francji? Matka też była temu przeciwna.

- Oboje mieliście rację - odpowiedziała Prudence już spokojniejszym głosem. - Przypuszczam, że nie wybierałby się pan w tę długą podróż, gdyby nie jego buńczuczne pogrożki...

- Nie mylisz się. Miał szczęście, że uszedł stamtąd cało, sama więc widzisz...

- Oczywiście, ale czy trzeba było ranić jego godność? Gdyby mu pan wszystko spokojnie wytłumaczył...

- Rzeczywiście, postąpiłem wobec Perry'ego niezbyt taktownie. Zapomniałem, że mój młodszy brat jest już dorosłym mężczyzną. Przywykłem nim kierować.

- Tylko bratem, sir? - zapytała żartem Prudence.

- Tylko! Znowu mnie besztasz, a przecież tym razem nie zasłużyłem na to.

Prudence nic nie odrzekła. Niepostrzeżenie gdzieś uleciało przykre napięcie między nimi, a żartobliwy ton rozmowy przywrócił jej wewnętrzny spokój. Już nie drżała z zimna. Ciepło ciała Sebastiana działało na nią kojąco, lecz jednocześnie pobudziło jej zmysły. Poprzez grube sukno kurtki Sebastiana czuła, jak bije jego serce.

Nagle się odsunęła.

- Co się stało? - zapytał.

- Deszcz osłabł. Myślę, że mogę już iść...

- Do młyna? Chyba oszalałaś! Natychmiast pojedziesz ze mną do domu i przebierzesz się w suche rzeczy. - Podniósł ją i posadził przed sobą na siodle.

Nie oponowała, szczęśliwa z bliskości jego silnych ramion. To była cudowna chwila i będzie ją wspominać do końca życia. Niespodzianie dla niej Sebastian pochylił się i dotknął ustami jej włosów.

- Nie opuścisz nas, Prudence? - wyszeptał ochryple. - Za to, co się wydarzyło rano, ponoszę winę tylko ja. Pamiętaj jednak, że nie jestem z kamienia. Kiedy wszedłem do pokoju dziecinnego, ty spałaś. Przyglądałem ci się jakiś czas i poczułem... nieważne... Wybacz, że na chwilę zapomniałem o szacunku, który ci jestem winien.

- Nie jest mi pan nic winien. Dan i ja zawsze będziemy pana dłużnikami.

- Nie chcę wdzięczności.

- To wszystko, co mogę ofiarować, sir. Wie pan, że zamierzam udać się do Kent i dlatego musimy już odejść.

- Z mojego powodu?

- Wcale nie! - skłamała. - Proszę mi tego nie utrudniać. Było nam tu bardzo dobrze...

- Dlaczego więc chcesz odejść?

- Po prostu musimy - odrzekła stanowczo. - Czas pomyśleć o przyszłości.

- Gdzie się udacie? Co będziecie robić? Daj mi przynajmniej czas, abym mógł wam jakoś pomóc.

- Już dosyć pan dla nas zrobił! - zawołała w rozpacz. - Nie przyjmę nic więcej, to nie wypada...

- Zaplanowałem poszukiwania w twojej sprawie.

- Naprawdę? Proszę mi wybaczyć, lecz nie bardzo panu wierzę. Postarał się pan, abym nie mogła ich robić na własną rękę.

- Wybacz, ale nie rozumiem. Mogłaś przecież wszystkich o wszystko pytać...

- Nie wolno mi jednak było przestudiować księgi heraldycznej.

- W tym rzecz! Czuję, że coś się stało. Znalazłaś herb?

- Tak, i sądzę, że pan od dawna wiedział, iż jest to właśnie ten herb. - Wargi jej drżały, gdy oskarżała Sebastiana o niegodny postępek. Nie rozpląkała się jednak, bowiem gniew dodawał jej siły, a poza tym przed Wentworthem za nic nie chciała okazać słabości.

- Podejrzywałem, że tak jest, lecz nie miałem pewności i dlatego poprosiłem matkę o przyniesienie mi tej księgi.

- Ona jednak nie chciała, bym ja do niej zajrzała. To nie było w porządku. Nie miał pan prawa ukrywać przede mną prawdy. Czy obawiał się pan, że nie dotrzymam słowa?

- Polegam na twoim słowie jak na własnym - odrzekł z powagą Sebastian. - Obawiałem się jednak, że za daleko posuniesz się w swoich domysłach. Prudence, nie ma żadnej pewności, że masz coś wspólnego z rodziną Manvellów. Nie chciałbym cię urazić, ale broszka może mieć różne pochodzenie.

- Została schowana w moich powijakach. Bardziej rani mnie to, sir, że przekonałam się, iż pan mi nie ufa.

- To nie był powód...

- Więc jaki? Nie boję się prawdy i odkryję ją, nawet gdybym miała się dowiedzieć, że jestem bękartem.

- Czy musisz używać tego wstrętnego słowa?

- Przywykłam do niego. Bękart... a może dziecko miłości...? Nieważne, muszę poznać całą prawdę.

- Jesteś więc zdecydowana kontynuować poszukiwania?

- Tak! I nie zdoła mi pan w tym przeszkodzić.

- Nie miałem nigdy takiej intencji. Pragnę tylko, abyś zastanowiła się nad nieuniknionymi trudnościami. Nie podejdziesz nawet na kilometr do majątku Longridge Hall. Manvellovi trzymają groźne psy, a do tych, którzy przekroczą granice posiadłości, strażnicy mają rozkaz natychmiast strzelać.

- To znaczy, że on jeszcze żyje?

- Nic nie słyszałem o jego śmierci, trudno jednak powiedzieć coś konkretnego na ten temat. To odludek.

Sebastian objął ją mocniej w pasie.

- Błagam cię, nie rób głupstw. Zostań u nas i pozwól mi tam pojechać...

- Nie! - zawołała. - Muszę zrobić to sama. Dojeżdżali właśnie do domu i Sebastian zatrzymał się przed wjazdem na stajenne podwórze.

- Co będzie z Danem? Czy zamierzasz zabrać go z sobą?

Prudence nic nie odpowiedziała.

- Przynajmniej daj mu szansę, niech sam zadecyduje. Chłopcu jest u nas dobrze i chętnie go zatrzymamy.

- Porozmawiam z nim - przyrzekła, gdy Sebastian zszedł ją z siodła. Nie była w stanie nic więcej powiedzieć. Weszła do domu z sercem przepełnionym najróżniejszymi uczuciami. Dopiero później uświadomiła sobie, że nie podziękowała lordowi za jego szlachetną propozycję.

W drodze do swego pokoju nie spotkała nikogo. Gdy zamknęła za sobą drzwi, odetchnęła z ulgą. Rozmowa z Wentworthem bardzo ją zmęczyła, lecz Prudence odczuwała gorzką satysfakcję. Oparła się miłości i zwalczyła pokusę pozostania w Hallwood. W obecności Sebastiana zawsze będzie niepewna siebie.

Szybko się przebrała i poszła do pokoju dziecinnego. Niania drzemała w fotelu, a chłopcy mieli bardzo ponure miny.

- Przyszła Prudence! - zawołał Damian. - Teraz znowu będzie wesoło!

Ten okrzyk zbudził starszkę.

- Panienko Prudence, cieszę się, że panią widzę. Nie wiem już, co z nimi robić. Nic im się dziś nie podoba.

- Tak nudno leżeć w łóżku! - odezwał się marudnym głosem Kryspin.

- No to nie leż! Przecież możesz wstać i się ubrać. Czy był już doktor? - Z tym pytaniem Prudence zwróciła się do niani.

- Powiedział, że ich stan jest znacznie lepszy i że jutro będzie można odsunąć zasłony na oknach.

- To wspaniale! - Prudence uśmiechnęła się do podopiecznych. - No jak tam, chłopcy? Jesteście zadowoleni z tej nowiny?

- Niezupełnie. - Kryspin nie zamierzał łatwo się poddać. - Mam już dość siedzenia w ciemnym pokoju. Zupełnie jakbyśmy byli na dnie morza.

- Rzeczywiście, zwłaszcza przy świetle sączącym się przez zielone zasłony. To wygląda bardzo tajemniczo. Nie byłam jednak nigdy na statku, więc nie wiem, co widać pod morską wodą

- Kiedy morze jest spokojne, można zobaczyć na dnie małe kamyczki - powiedział Damian.

- I ryby. Widziałem takie małe rybki. - Gerard podskoczył z podniecenia na łóżku.

- Złapałeś kiedyś jakąś rybkę?

- Tylko w jeziorkach między skałami na brzegu, ale Kryspin złowił dużą rybę, kiedy wuj Sebastian zabrał nas na łódź.

- To była makrela - poinformował ją Kryspin. Prudence zerknęła na Ellie.

- Może pani odpocznie? - zaproponowała. - Chętnie posłucham o tych rybach.

Kiedy staruszka wyszła, Prudence powiedziała do Kryspina:

- To satysfakcja złowić rybę. Jaka ona była?

- Chwytają koniec linki tak mocno jak pies - wyjaśniał podekscytowany chłopiec. - Czasami uwalniają się z haczyka, ale mojej makreli się to nie udało. - Westchnął z zachwytem. - Była piękna, niebieskosrebrna i miała taki wzorek na grzbiecie. Wujek złowił ich kilkanaście.

- Zjedliśmy je potem na kolację - oznajmił Damian. - Ja nie złowiłem makreli, ale za to złapałem węgorza.

- O Boże! Damian! Mam nadzieję, że nie był zbyt długi!

- Nie, był malutki, ale silny. Nie mogłem go wyciągnąć i wuj Sebastian mi pomógł. Dotknąłem go, choć był okropny... wił się jak duży robak.

- Ja go nie dotykałem - przyznał Gerard. - Węgorze mają ostre zęby, wiesz o tym? Bałem się, żeby mnie nie ugryzł.

- Dzieciuch z ciebie - zakpił z niego Kryspin.

- Gerard nie jest już dzieckiem - wtrąciła czym prędzej Prudence, aby zapobiec ewentualnej kłótni. - Jest już dużym chłopcem. Myślę, że ten węgorz był tak samo niebezpieczny jak niektóre inne morskie stworzenia. Nie ma ich wprawdzie w naszym morzu, ale w dalekich oceanach są rekiny i wieloryby.

- Opowiedz nam o nich - poprosił Damian.

Przez następną godzinę Prudence musiała przypominać sobie to wszystko, co wiedziała o morskiej faunie i florze, aż w końcu zabrakło jej tchu.

- Co teraz będziemy robić? - zapytał Kryspin.

- Może zagramy w szpiegów?

- Jest za ciemno - zaproponował Kryspin.

- W półmroku gra będzie jeszcze ciekawsza. Jeśli jednak uważasz, że to jest dla was zbyt trudne...

Jak się spodziewała, Kryspin podjął wyzwanie i z entuzjazmem przystąpił do zabawy. Wysiłki Gerarda rozśmieszały starszych braci, lecz Prudence gromiła ich wzrokiem, dzięki czemu gra przebiegała w spokoju.

Kiedy niania przyniosła kolację dla chłopców, Prudence spojrzała na zegar i stwierdziła, że zrobiło się późno. Od wyjazdu hrabiny Amelii znowu jadano posiłki o dawnej porze. Musiała się więc pośpieszyć, aby na nią nie czekano.

Właśnie kończyła się przebierać, gdy do jej pokoju weszła lady Brandon.

Prudence powitała ją uśmiechem.

- Jak się czuje panna de Verneuil? - zapytała.

- Znacznie lepiej i dziś wieczorem zasiądzie z nami do obiadu. Biedna dziewczyna bardzo przeprasza za omdlenie, ale zapewniłam ją, że rozumiemy jej sytuację. Rodzice Gabrielle pozostali we Francji, podobnie jak nasz kochany Gilles. Bardzo się o nich niepokoi.

- Nic w tym dziwnego - rzekła Prudence ze współczuciem. - A jak się ma pani córka?

- Sophie już się pozbierała. Zdaje sobie sprawę, że ze względu na tamtych dwoje musi nad sobą panować.

- Jest naprawdę dzielna, zresztą to bardzo trudny okres dla całej pani rodziny.

- Masz rację i pomożesz mi, jeśli spełnisz pewną moją prośbę. - Lady Brandon zawahała się na moment. - Prudence, mam ci coś do przekazania. Zależy mi bardzo, żebyś się nie poczuła urażona.

- Jakim sposobem mogłaby pani mnie obrazić?

- Wiem, że jesteś dumna. Rzecz w tym, że Frederick pragnął dać ci niewielki prezent w dowód wdzięczności za opiekę nad chłopcami.

- Proszę pani, jest to zupełnie niepotrzebne.

- Bardzo nalegał, moja droga. - Lady Brandon wyjęła z kieszeni małą sakiewkę. - Chciał ci kupić jakiś śliczny drobiazg, lecz zabrakło mu czasu. Frederick ma nadzieję, że wydasz te pieniądze na coś, co sprawi ci przyjemność.

Prudence splonęła rumieńcem po korzonki włosów.

- Nie wezmę tego, mylady.

- Musisz. Sama tak chętnie poświęcasz się dla innych, czy możesz więc im odmówić przyjemności obdarowania ciebie? Jakbyś się czuła, gdyby odmawiano przyjęcia twoich szlachetnych gestów? - Lady Brandon położyła sakiewkę na blacie toaletki.

Prudence nie zamierzała ustąpić. Była zbyt dumna.

- Nie przyjmiesz tego nawet po to, żeby mnie zrobić przyjemność?

- Lady Brandon, proszę tego ode mnie nie wymagać.

- Nie będę cię zmuszać, skoro jesteś taka uparta, ale Frederickowi będzie przykro. Czy nie możesz wydać tych pieniędzy na Dana, jeśli już nie chcesz ich dla siebie?

Prudence patrzyła na nią w desperacji. Przy takim postawieniu sprawy nie mogła już nie przyjąć daru.

- Skończmy już z tą niemądrą dyskusją! - powiedziała starsza pani. - Kucharka jest dziś bardzo zdenerwowana. Chce pokazać naszym gościom, że angielskie jedzenie jest o wiele lepsze od francuskiego. Nie będzie zachwycona, jeśli spóźnimy się na obiad.

Prudence posłusznie poszła za panią domu. Miała nadzieję, że nikt z domowników nie wie o tym prezencie. Gdyby tylko mogła odmówić jego przyjęcia... Poczowała się jak opłacana służąca, mimo iż wiedziała, że nie takie były intencje ofiarodawcy. W rzeczywistości czyż jednak nie była tylko służącą?

W Hall wood traktowano ją jak członka rodziny, lecz były to tylko pozory. Nie należała do arystokratycznego świata, a uprzejmość wysoko urodzonych wynikała jedynie z litości.

Nagle zawstydzila się. Upór oraz duma to główne cechy jej charakteru i Prudence była tego świadoma. Najwyższa pora, aby nauczyć się być miłszą w stosunku do innych. Wchodząc do salonu, zmusiła się do uśmiechu.

Dobre intencje najwyraźniej przeświecały pozostałym uczestnikom obiadu. Sophie, która już przysłała do siebie, powitała Prudence miłym słowem, podobnie zachował się Armand. Gabrielle gawędziła przyciszonym głosem z Sebastianem, który pochylał się nad nią z czułą troską. Tylko Perry robił wrażenie przygaszonego.

Prudence spojrzała na niego pytająco.

- Powiniennem dziś włożyć wór pokutny i posypać się popiołem - powiedział cicho. - Co porabiają nasze potwory?

- Czują się o wiele lepiej. Wysłuchałam opowieści, jak łowić makrele.

- Naprawdę? - Perry od razu poweselał. - To piękny sport. Wezmę cię kiedyś ze sobą, jeśli zechcesz.

- Pod warunkiem, że nie będę musiała łowić węgorzy! - roześmiała się i w tym momencie poczuła na sobie wzrok Sebastiana. Dostrzegła w nim coś niepokojącego.

Potem już więcej tak na nią nie spojrzał, całkowicie pogrążony w rozmowie z Gabrielle. Prudence zmuszała się do słuchania przekomarzanek między Armandem i Perrym, pomiędzy którymi siedziała.

Kucharka rzeczywiście dotrzymała słowa. Po zupie flamandzkiej podano ostrygi w cieście. Następnie postawiono na stole homary, a po nich kurczaki w sosie grzybowym. Były też do wyboru pasztety z baraniny, gęsi i indyka.

Perry wraz z Armandem nakładali sobie spore porcje każdego dania i Prudence patrzyła z podziwem, gdy pod koniec posiłku sięgali jeszcze po sery, owoce oraz orzechy. Ona sama wzięła na deser tylko trochę słodkiej galaretki, odmawiając skosztowania kruchego ciasta z jabłkami, którym objadali się obaj młodzieńcy.

- No i co, Armandzie? Co powiesz teraz o naszym angielskim jedzeniu? - zapytał wyzywająco Perry.

- Macie najlepsze na świecie składniki - przyznał Francuz.

- A nasza kuchnia?

- Co tu mówić? Palce lizać! Nie może być nic lepszego!

Kucharka zaczerwieniła się, gdy podnieśli kieliszki z toastem na jej cześć i szybko uciekła, kiedy zaczęli jej dziękować.

- Trafieś w sedno! - wesoło powiedział Sebastian do brata. - Czy nasz honor został uratowany?

Prudence odczuła ulgę, widząc, że między braćmi zapanowała znowu zgoda. Razem z innymi paniami wyszła z jadalni z poczuciem, że w dniu, który właśnie mijał, udało się jej coś osiągnąć. Wkrótce jej spokój ducha został jednak zakłócony.

Gdy do pań dołączyli panowie, obok niej usiadł Sebastian.

- W dalszym ciągu obstajesz przy swojej decyzji? - zapytał cicho.

- Tak, sir. Muszę odejść.

- Prudence, tłumaczyłem ci już. Zachowałem się nieodpowiedzialnie, ale to się już nigdy nie powtórzy. Przyrzekam. Czy nie możesz o tym zapomnieć?

- Już dawno zapomniałam - skłamała. - Nie jest pan pierwszym mężczyzną, który próbował skraść mi całusa. Nauczyłam się nie zwracać na to uwagi...

Reakcja Sebastian zaskoczyła ją. Zbladł, jakby go uderzyła w twarz.

- Nic to dla ciebie nie znaczyło?

- A dlaczego miałyby być inaczej ? Sam pan stwierdził, że stało się to pod wpływem chwilowego impulsu i przyjmuję takie wyjaśnienie.

- Jesteś zbyt wyrozumiała. - Skłonił się sztywno i odszedł.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Wymiana słów między Prudence i Sebastianem nie uszła uwagi lady Brandon. Gdy w grę wchodziła jej rodzina, szybko wyczuwała atmosferę niezgody, a wyraz twarzy syna bardzo ją zaniepokoił.

Przeszła przez pokój i usiadła przy Prudence.

- Czy coś się stało? - zapytała.

- Lord Wentworth uważa, że nie powinnam wyjeżdżać. Próbował mi wyperswadować szaleństwo, jakim w jego oczach jest moja decyzja.

- Nie bierz sobie tego za bardzo do serca - poradziła lady Brandon. - On ma na względzie wyłącznie twoje dobro. Jeśli czasem wydaje się zbyt gwałtowny, to wybacz mu, proszę, i pamiętaj, że zależy mu na szczęściu twoim i Dana.

Prudence siedziała bez ruchu. Nie była w stanie uczynić nawet najmniejszego gestu. Czuła się, jakby coś w niej umarło, powodując odrętwienie ciała, tak iż nie mogła ani się śmiać, ani chodzić, ani rozmawiać.

Modliła się w duchu, żeby to odrętwienie nie minęło i żeby nie musiała, wraz z odzyskaną świadomością, przeżywać wszystkiego od nowa. Z rozmysłem wypowiedziała okrutne słowa, które miały zranić Sebastiana. Tylko w ten sposób mogła go powstrzymać.

Uznała, że w zaistniałej sytuacji musi być brutalna. Dla dobra obojga jednym szybkim uderzeniem zerwała wszelkie łączące ich więzi, podobnie jak odcina się rękę lub nogę dla zachowania życia rannego. Postąpiła tak z całą świadomością, choć wiedziała, że sama nigdy już nie odzyska wewnętrznej równowagi.

Lady Brandon ruchem głowy przywołała córkę, doszła bowiem do wniosku, że trzeba coś zrobić, aby wyciągnąć Prudence ze stanu szoku, w jakim się znalazła.

- Idzie Sophie, pewnie chce z tobą porozmawiać. Opowiadałam jej trochę o tobie, ale ona chciałaby dowiedzieć się czegoś więcej. - Mówiąc to, rzuciła córce wymowne spojrzenie.

Sophie zaczęła pogawędkę od błahostek i fakt, że Prudence odpowiadała jej monosylabami, zdawał się wcale jej nie martwić. W końcu Sophie zdecydowała, że czas na poważniejsze tematy.

- Prudence... czy mogę zwracać się do ciebie po imieniu? Chciałabym zrozumieć, jakie to uczucie być zupełnie samotnym na świecie? Nie mieć żadnych krewnych? Czy czujesz się okradziona, nie znając swojego prawdziwego nazwiska?

Te słowa wyrwały Prudence z apatii. Popatrzyła na śliczną twarz niewiele starszej od niej kobiety.

- To rozumiałe, że nic pani o tym nie wie...

- Próbowałam sobie wyobrazić, co bym czuła, gdyby to się mnie przytrafiło. Czy masz żal do rodziców?

- Miałam, ale teraz patrzę na to inaczej. Musiał przecież być jakiś powód, dla którego mnie porzucili. Zrobili straszną rzecz, lecz...

- A ty chcesz dowiedzieć się, dlaczego tak się stało? To zrozumiałe. Myślałabym tak samo jak ty.
- Jest pani pierwszą osobą w tej rodzinie, która ze mną się zgadza.
- Mam na imię Sophie. Spodziewałam się, że zostaniemy przyjaciółkami.

Prudence patrzyła na nią niepewnym wzrokiem. W towarzystwie tej uroczej kobiety czuła się bezbronna, a jednocześnie coś ją do niej ciągnęło.

- Muszę kontynuować poszukiwania - szepnęła - jestem już blisko celu. Nie chcę do końca życia zastanawiać się nad moim pochodzeniem.

- Rozumiem cię. Wprawdzie znam cię od niedawna, ale wierzę, że zawsze zrobisz to, co uznasz za najważniejsze. Nie pozwól, by ktokolwiek ci w tym przeszkadzał.

Sophie, jak widać, miała własne zdanie. Jej słowa, choć zaskoczyły Prudence, to jednocześnie pokrzepiły ją na duchu i wzbudziły uczucie wdzięczności.

Nie podtrzymała rozmowy, ale jej nastrój wyraźnie się poprawił. Świadomość, że znalazł się ktoś, kto myśli podobnie, pozwoliła jej uwierzyć, iż nie jest całkiem samotna.

Zmienił się również stosunek Prudence do nieznanych rodziców. Nie czuła już nienawiści i porzuciła myśl o zemście. Chciała tylko poznać... i zrozumieć... prawdę.

Spojrzała więc na Sophie ze szczerym wzruszeniem w oczach.

- Przyjdź do mnie jutro rano, to porozmawiamy na osobności - powiedziała Sophie. - Postaram się pomóc, na ile będę mogła.

Ta propozycja wywołała po raz pierwszy pewne podejrzenia w duszy Prudence. Czy to oznacza, że dyskutowano o niej w gronie rodzinnym? Za dobrze się wszystko układało. Najpierw był prezent od para. Prudence jeszcze nie zajrzała do sakiewki, lecz domyślała się, że zawierała złote monety, o czym świadczyła jej okazała waga. To był znak ostrzegawczy. Nie potrzebowała złota, żeby kupować sobie śliczne drobiazgi, jak sugerowała lady Brandon... wystarczyłoby jej w zupełności kilka szylingów.

Teraz z kolei siostra Sebastiana ofiarowuje jej pomoc. Jest w tym coś bardzo dziwnego. Sophie nie zna jej przecież.

Wydawało się nieprawdopodobne, że mając tyle własnych zmartwień na głowie, pomyślała również o niej. Pewnie ją o to poproszono.

- Dlaczego pragniesz mi pomagać? - zapytała wprost. - Nie oczekuję od nikogo współczucia.

- Nie robię tego z litości - zapewniła ją Sophie. - Podziwiam twój hart ducha, podobnie zresztą jak moja matka i Sebastian.

Skierowała spojrzenie na wysoką postać brata i Prudence także podążyła wzrokiem w tamtą stronę.

Wentworth, który najwidoczniej zapomniiał już o dopiero co doznanej przykrości, pogrążony był w rozmowie z Gabrielle. Prudence nie mogła mieć o to do niego pretensji. Dziewczyna była zjawiskowo piękna, ubrana w cudowną suknię z bładoniebieskiego jedwabiu. Ten kolor świetnie pasował do jej oczu, które utkwiła w Sebastianie, jakby nie chciała uronić ani jednego słowa.

- Tworzą piękną parę, prawda? - powiedziała cicho Sophie. - Największym marzeniem naszej matki jest, żeby Sebastian jak najszybciej się ożenił.

Ta uwaga nie zdziwiła Prudence. Związek między dwiema wysoko postawionymi rodzinami uradowałby bez wątplenia lady Brandon. Widać nie wiedzą o tym, że Gabrielle jest już zaręczona.

- Panna de Verneuil... nie jest... pani brat coś wspominał...

- Mówił zapewne o Lucienie. Nie podjęto żadnej decyzji w tej sprawie, Gabrielle jest przecież jeszcze taka młodziutka. Ma czas, by w pełni zrozumieć swoje uczucia - odpowiedziała Sophie z uśmiechem. - To moja najlepsza przyjaciółka.

Prudence uniosła dumnie podbródek. Czy miało to być ostrzeżenie? Absolutnie niepotrzebne. Powzięła decyzję i Sebastian jej od tego nie odwiedzie.

Wprawdzie czuł się odpowiedzialny za nią i za Dana, lecz Prudence uważała, że trzeba z tym stanowczo skończyć. Być może ruszy za nimi do Longridge, wie przecież, że tam się udadzą w pierwszej kolejności, lecz Prudence nie planowała dłuższego pobytu w swej... rodzinnej?... posiadłości.

Gdyby udało się jej i Danowi niepostrzeżenie wymknąć z Hallwood, minęłoby dużo czasu, zanim lord by ich odnalazł.

Najpierw jednak musi porozmawiać z Danem. Dla niego lepiej byłoby pozostać tutaj, w głębi serca jednak przeczuwała, że chłopiec jej nie opuści. Nie miał nikogo oprócz Prudence i dlatego nie może zawieść jego zaufania. Postąpiłaby okrutnie, gdyby odeszła, nic mu nie mówiąc.

Zajęta własnymi myślami nie zauważyła, że tematem ogólnej rozmowy stały się ostatnie wydarzenia we Francji. Tym razem uwagę skupił na sobie nie Perry, lecz Armand. Wróciła do rzeczywistości, gdy zadał jej pytanie:

- Panno Prudence, czy zgadza się pani, że to królowa, Austriaczka, jest winna temu, co się dzieje w moim kraju?

- Z wypiekami na twarzy szukał u niej wsparcia.

- Nie mam zdania na ten temat - przyznała nieśmiało.

- Niewiele wiem o królowej Marii Antoninie oprócz tego, co o niej przeczytałam...

- Armandzie - wtrąciła się Gabrielle - ferujesz zbyt surowe wyroki. Wydano ją za mąż, gdy miała piętnaście lat i od początku otaczali ją sami wrogowie. Nie zapominaj choćby o pani Du Barry.

Dyskusja o potężnej kochance króla szybko zamieniła się w gorącą sprzeczkę.

- Królowa jest zdrajczynią! - wołał Armand. - A te wszystkie listy, które przesyłał ambasador Austrii do jej matki? Dlaczego Maria Teresa wiedziała więcej o Francji niż sam król?

- A czyja to była wina? - spytała Sophie. - Wspominałam już przedtem, że król nie wykazywał najmniejszego zainteresowania...

- Mogła go przekonać. Ma wystarczające umiejętności do uprawiania polityki...

- Nie uważasz, że mimo wszystko zasługuje na nasze współczucie? - mówiła ze smutkiem na twarzy Gabrielle.

- Niespełna pół roku temu straciła najstarszego syna, a teraz jeszcze i to...

- Bardzo mi przykro z powodu śmierci Delfina, ale to jej postępowanie spowodowało, że nasze życie zostało zrujnowane.

- Wybacz, Armandzie, ale nie do końca masz rację - po raz pierwszy do dyskusji włączył się Sebastian. - Cokolwiek się zdarzy, ty i Gabrielle jesteście na tyle młodzi, aby móc zacząć wszystko od początku.

Po jego słowach zapadła cisza. Wtedy Sophie zwróciła się do Prudence.

- Chyba cię męczy ta rozmowa. Musi cię to bardzo nudzić. Nie powinniśmy poruszać tego tematu, ale trudno nam o tym nie myśleć.

- Mówienie przynosi ulgę. Żałuję, że tak niewiele wiem o francuskiej rewolucji. Opowiedz mi, proszę, o waszej królowej.

Miała nadzieję, że Sophie, opowiadając o Marii Antoninie, zapomni na moment o śmiertelnym niebezpieczeństwie grożącym jej mężowi.

- Armand ma częściowo rację - zaczęła Sophie niezbyt chętnie. - Poza tym, że królowa wtrącała się w sprawy państwowe, żyła ponad stan, w otoczeniu rozwiązłych przyjaciół, w atmosferze ciągłych skandali...

- Mimo to jej bronisz?

- Nie chcę jej osądzać. Kiedy przybyła do Francji, była bardzo młoda. Król i Delfin ubóstwiali ją, lecz wkrótce stała się obiektem intryg tych, którzy pragnęli wykorzystać jej wpływy na dworze.

- Nikt jej nie ostrzegł?

- Niestety, od początku narobiła sobie wrogów. Lekceważyła dworską etykietę, czym naraziła się rozsądniejszym przedstawicielom arystokracji. Przypuszczam, iż rodzina próbowała ją ostrzec, ale jej matka umarła dziesięć lat temu...

- I nie miała nikogo innego?

- Zaraz po śmierci matki przyjechał jej brat, Józef, cesarz Austrii. Użył całego swojego wpływu i przez jakiś czas zmieniło się na lepsze, ale szkody zostały już poczynione. Niestety, cesarz Józef umarł tej wiosny. Jest zupełnie sama, ma tylko króla i swoich faworytów.

- To smutna historia - szepnęła Prudence.

- Gdybyś jeszcze wiedziała, jak wielka otacza ją nienawiść. Boję się właśnie tego. Rewolucjoniści nie zauważają różnic między nami. W każdym arystokracie widzą wroga.

- Dostyc już o tym! - przerwała jej cicho lady Brandon. - Gabrielle bardzo się tym wszystkim denerwuje...

- Nie przypuszczałam, że słyszy to, co mówię - tłumaczyła się skruszona Sophie. - Jakaż jestem bezmyślna! Gilles przebywa przynajmniej w swoim majątku, a jej rodzice są w Paryżu. - Wstała i podeszła do przyjaciółki.

Gabrielle zbladła i Prudence pomyślała, że dziewczyna jest na granicy omdlenia. Wtedy nachylił się nad nią Sebastian i szepnął jej coś do ucha, na co odpowiedziała pełnym wdzięczności spojrzeniem.

Prudence nie była w stanie znieść tego dłużej. Przepraszyła gospodynię i wyszła z jadalni, by schronić się w pokoju. Idąc na górę uświadomiła sobie, że zupełnie zapomniała o swoich podopiecznych, okazało się jednak, że denerwowała się niepotrzebnie. W pokoju dziecinnym panował spokój, a niania spała na niewielkim składanym łóżku.

Poszła więc do siebie i ze szmeru dochodzącego spoza drzwi jej sypialni domyśliła się, że wszyscy członkowie rodziny rozchodzili się do swoich pokoi. Musiała więc poczekać jeszcze jakiś czas, zanim będzie mogła zejść na dół do biblioteki i wybrać jakąś książkę do czytania. Chciała w ten sposób oszczędzić sobie kilku bezsennych godzin rozpamiętywania o przeszłości i niespokojnych myśli o przyszłości.

Ponieważ nie zajrzała jeszcze do sakiewki przyniesionej przez lady Brandon, otworzyła ją teraz i wysypała jej zawartość na łóżko. Par okazał się niezwykle hojny. Nigdy w życiu nie widziała tylu złotych monet. W blasku świecy zabłysło dwanaście złotych gwinei, na które patrzyła ze wstrętem.

Oznaczały dla niej ostateczne pożegnanie. Nie zostały ofiarowane ze zwykłej życzliwości, lecz miały dać jej do zrozumienia, że przyszła pora, aby opuściła to miejsce.

Może niesprawiedliwie osądzała para? Nie był okrutnym człowiekiem i nie musiał dawać jej pieniędzy. Gdyby jego żona decydowała o wszystkim, Prudence zostałaby odesłana bez jednego pensa.

Popatrzyła jeszcze raz na leżące przed nią monety. Ich łagodny blask był kuszący. Po raz pierwszy zrozumiała, dlaczego ludzie ryzykują życie, by zdobyć złoto, daje ono bowiem wolność i bezpieczeństwo. Za te błyszczące krążki ona i Dan będą mogli popłynąć do dalekiej krainy o czym zawsze marzyli. Czy wolno jej nie przyjąć pieniędzy, dzięki którym przed Danem otworzy się nowe, szczęśliwe życie?

W jednej sekundzie podjęła decyzję. Zebrała gwinee i wysypała je na powrót do sakiewki. Potem otworzyła drzwi i wyjrzała na korytarz. Wszędzie panowała głęboka cisza. Nawet służące odesłano na spoczynek. Nikt nie powinien jej zobaczyć na schodach. Nie potrzebowała brać świecy, drgające płomyki dogasających świec w kinkietach na ścianach wystarczająco oświetlały drogę.

Kiedy znalazła się na dole, poczuła, że nie jest sama, a gdy po sekundzie usłyszała szelest jedwabiu, nie miała już wątpliwości. Dostrzegła Sebastiana, który trzymał w ramionach Gabrielle.

Prudence zareagowała w sposób, który ją samą zaskoczył. Zachwiała się i gdyby nie oparła się o mahoniową poręcz schodów, pewnie upadłaby. Tak mocno zacisnęła ręce, aż wbiła sobie w dłonie paznokcie. Musiała opanować się, żeby nie zemdleć. Gdyby dostrzegło ją tych dwoje zakochanych, mogliby pomyśleć, że ich śledziła.

Ogromnym wysiłkiem woli utrzymała się w pozycji stojącej i cofnęła się głębiej w cień. Pragnęła uciec... ukryć się w ciemnościach... rozpląnąć się w nicość. Tylko wtedy zdołałaby wyrzucić z serca obraz Sebastiana tulącego ją do piersi, całującego jej usta ciepłymi wargami. Teraz jego pieszczoty przeznaczone były już tylko dla Gabrielle.

Prudence myślała, że serce jej pęknie z rozpaczy... biło jednak nadal, choć odczuwała to jak wymyślną torturę, odbierającą jakąkolwiek możliwość rozsądnej oceny sytuacji.

Udało się jej jakoś wrócić do pokoju, gdzie rzuciła się na łóżko i utkwiała wzrok w suficie. Nie potrafiła potem przypomnieć sobie, jak spędziła tę noc. Wiedziała tylko, że jak najszybciej musi uciec z Hallwood.

Kiedy zrobiło się jasno, poszła odnaleźć Dana. Trudno będzie mu wyjaśnić powody tak nagłego odjazdu, ale musi to zrobić.

Gdy szła przez podwórzec stajenny, Sam uklonił się jej życzliwie, głową wskazując na jeden z boksów.

- Dziwię się, że jeszcze nie śpi ze źrebakiem - powiedział z uśmiechem. - Jemu pewnie się wydaje, że zwierzak zniknie, kiedy spuści go z oka.

Zastała chłopca obejmującego za szyję młodziutkie źrebie.

- Widzisz, jak on rośnie, Prudy!

- Jest piękny! - Poklepała zwierzę po lśniącym karku. - Czy mógłbyś zostawić go na moment?

Słowa protestu zamarły na jego ustach, gdy spojrzał w oczy Prudence.

- Już czas na nas? - zapytał domyślnie.

- Ja muszę odejść, lecz ty, jeśli tylko chcesz, możesz zostać. Wiem, że jest ci bardzo dobrze w Hallwood.

- Bez ciebie nie będę taki szczęśliwy... Nie zostawisz mnie samego, prawda?

Objęła chłopca.

- Widywaliśmy się dość rzadko przez ostatnie kilka dni - powiedziała żartobliwym tonem. - Czy było to takie straszne?

- Wiedziałem jednak, że tu jesteś. Nie chcę zostać bez ciebie - zapewnił Dan.

Ujęła jego rękę.

- Pragnę dla ciebie tego, co najlepsze. Nie wiemy, Danie, co nas czeka w przyszłości, może znowu będziemy głodować. Nie chciałabym do tego dopuścić.

- Nie boję się głodu! - Rozpaczliwy głos chłopca wzruszył ją do głębi. - Nic sobie nie robię z głodu, jeśli tylko będę z tobą. - Opadł na podściółkę ze słomy i rozplakał się.

Prudence podniosła go i mocno przytuliła.

- Nie płacz - powiedziała z czułością. - Wezmę cię ze sobą, jeśli naprawdę tego chcesz, ale musiałam się przedtem upewnić.

- Ja jestem pewien - chlipnął.

- No już dobrze, ale należy zachować ostrożność. Nikomu nie mów o naszych planach. Tym razem będzie nam łatwiej. Mamy trochę pieniędzy...

- Skąd?

- Dostałam w prezencie. Co powiesz na podróż wielkim statkiem do innego kraju? Może tam będzie nam się lepiej żyło...

- A ile jest tych pieniędzy? Wystarczy na tak długi rejs?

- Myślę, że damy sobie radę - uspokoiła chłopca.

- Jesteś pewna?

Prudence patrzyła na jego rozognioną twarzyczkę.

- Oczywiście, ale musimy to na razie utrzymać w tajemnicy.

- Dlaczego?

- Nie mogę ci jeszcze powiedzieć. Kiwnął głową na znak zrozumienia.

- Kiedy wyjeżdżamy?

- Wkrótce. Za dwa lub trzy dni.

Nie zdradziła mu, że łamała sobie głowę nad tym, jak bez wzbudzenia podejrzeń wymknąć się z domu. Przykre dla niej było również to, że prosiła Dana o zachowanie sekretu. Namawiała go do nieszczerości, nie mogła jednak ryzykować, że ktoś dowie się o jej planach.

Sebastian z całą pewnością wyraziłby dezaprobatę, choć nie zatrzymywałby ich w Hallwood wbrew jej woli. Prawdopodobnie szukał już dla niej miejsca w jakiejś rodzinie w sąsiedztwie. A wtedy byłaby zmuszona oglądać go z nowo poślubioną żoną, a potem patrzeć, jak dorastają ich dzieci.

Kochała go bardzo i życzyła mu szczęścia, musiała jednak odjechać, aby czas uleczył jej złamane serce.

Pogrążona w zadumie, wracała do domu. W pewnej chwili przypomniała sobie, że Sophie ofiarowała się z pomocą. W tym była jej jedyna nadzieja.

O tak wczesnej porze żadna z pań jeszcze nie pokazała się na dole. W holu minęli ją z hałasem Armand i Perry, obaj ubrani w obcisłe spodnie i grube kurtki myśliwskie. Pomachali do niej wesoło, zachęcając, by w jadalni dotrzymała towarzystwa Sebastianowi.

- Nie chciał z nami iść - powiedział, krzywiąc się, Perry. - Jest dziś w złym humorze.

Prudence przyjęła tę informację z zadowoleniem. Była zbyt przygnębiona, żeby prowadzić nieobowiązującą rozmowę, nie miała też nastroju na przedstawianie Sebastianowi kolejnych argumentów.

Ociągając się, poszła do pokoju dziecinnego. Tu, ku wielkiemu zaskoczeniu, zastała uśmiechniętą Gabrielle gawędzącą z chłopcami. Zaslony na oknach były odsunięte, a na łóżkach leżały książki z obrazkami.

Gabrielle dostrzegła jej zdziwienie i zawołała wesoło:

- Proszę się nie martwić. Chorowałam już na *rougeole*, miałam taką samą wysypkę. Nie wiem, jak to się mówi po angielsku.

- To odra! - zawołali zgodnym głosem trzej chłopcy.

- Odra? Muszę to zapamiętać. Panno Prudence, dziś rano ma pani wolne. Sophie chciała się z panią widzieć, jest w swoim buduarze.

Prudence skierowała się do zachodniego skrzydła. Nie знаła jeszcze tej części domu, zobaczyła jednak uchylone drzwi i zajrzała do środka.

- Wejdz, czekałam na ciebie. - Sophie siedziała przed toaletką, ubrana w śliczny peniuar z żółtego jedwabiu. - Jadłaś śniadanie?

Prudence zaprzeczyła ruchem głowy.

- To może zjesz ze mną? - Napełniła drugą filiżankę gorącą czekoladą i zapraszającym gestem ręki wskazała na świeżo upieczone bułeczki. - Kucharka uważa, że powinnam teraz jeść za dwoje. Jestem znowu w ciąży. - Z wyraźną satysfakcją poklepała się po płaskim brzuchu.

- Gratuluję pani, madame. - Prudence podniosła filiżankę i trochę z niej upiła. - To cudowne mieć znowu maleńkie dziecko!

- Chciałabym ich mieć dużo. - Twarz Sophie zachmurzyła się. Otrząsnąwszy się ze złych myśli, uśmiechnęła się znowu. - Nie spotkałyśmy się dziś po to, żeby mówić o moich sprawach. Wczoraj rozmawiałam z tobą szczerze. W jaki sposób mogłabym ci pomóc?

Prudence wahała się. Czy to rozsądne zwierzać się siostrze Sebastiana?

- Nie zawiodę twojego zaufania - powiedziała Sophie. - Zachowam dla siebie to, co mi powiesz.

- Zamierzam udać się do Longridge, madame. Rodzina Manvellów zna chyba sekret mego pochodzenia, lecz nie wiem, jak wyjechać stąd bez... to znaczy... nie chcę, żeby lord Wentworth mnie ścigał lub próbował zatrzymać.

Sophie pojęła w lot, w czym rzecz. Patrzyła na dziewczynę z wyrazem współczucia.

- Myślę, że on czuje się odpowiedzialny za ciebie i twojego przyjaciela.

- Tak, madame, ale już nie musi. Proszę nie posądzać mnie o niewdzięczność, ale zrobił już dla nas dość.

Nawet więcej, o ile wiem, pomyślała w duchu Sophie. Ta dziewczyna najwyraźniej zakochała się w jej bracie. Musi być bardzo odważna i zdesperowana, jeśli zdecydowała się na odejście, ale tak będzie dla wszystkich najlepiej.

- I co potem?

- Słucham, madame?

- Co zrobisz, kiedy już spotkasz się z lordem Manvellem? Czy chciałabyś zamieszkać w Longridge? Jeśli masz rację, że z tą rodziną łączą cię więzy pokrewieństwa, będą musieli coś postanowić w twojej sprawie...

- Niczego od nich nie chcę - odrzekła dumnie Prudence. - Dan i ja pójdziemy swoją drogą. Są przecież inne kraje. Wsiądziemy na statek i popłyniemy do Ameryki lub Australii.

- Sami? - zapytała z przerażeniem Sophie.

- A z kim? Pewnie już pani wie, że par Brandon dał mi w prezencie pieniądze.

- Prudence, czy dobrze to rozważyłaś? - Sophie zaczęła się zastanawiać, czy mądrze zrobiła, proponując pomoc. - Nie dziwię się pragnieniu poznania rodziców, ale wybierać się aż na drugi koniec świata?! Czy wzięłaś pod uwagę grożące wam niebezpieczeństwa?

- Tak, ale za nic nie zrezygnuję z moich planów!

Widząc stanowczy wyraz twarzy Prudence, Sophie zrozumiała, że dalsze perswazyje nie mają sensu. Dziewczyna podjęła decyzję, a ona mogła tylko próbować ułatwić realizację jej zamierzeń.

- Niech pomyślę! - powiedziała szybko. - Longridge jest, jak mi się wydaje, niedaleko Dover. A gdybyśmy tak wyprawili się do Canterbury, ty, ja i Dan? Nie widzieliście jeszcze tego miasta, nikogo więc nie zdziwiłaby ta wycieczka. A stamtąd droga prowadzi wprost do Dover.

- Ale jak...?

- Kiedy znajdziemy się już w Canterbury, będziecie mogli zgubić się gdzieś w wąskich uliczkach. Będę oczywiście zrozpaczona, ale wrócę do Hallwood po pomoc.

- Nie może pani jednak sama prowadzić powozu, będąc w takim stanie.

Sophie zamyśliła się.

- Masz rację, nikt mi na to nie pozwoli. Poproszę Sama. Nie martw się! Pod jakimś pretekstem odwrócę jego uwagę i wtedy uciekniecie.

- Czy pani jest zdecydowana? - zapytała poważnie Prudence. - To dobry pomysł, ale jeśli lord Wentworth dowie się o pani roli...

- Nie dowie się! Zastanówmy się teraz nad szczegółami. Co chcecie z sobą zabrać?

- Tylko to, co najpotrzebniejsze. Czeka nas długi marsz, nie możemy więc mieć dużych ciężarów.

- W Dover będziecie mogli wynająć wóz do Longridge. Potrafisz sama powozić końmi?

- Nie, madame.

- Trudno, będziesz musiała wynająć też woźnicę. - Sophie podeszła do dużej komody i zaczęła wykladać na łóżko różne ubrania. - Potrzebne ci będą ciepłe rzeczy. Weź, co chcesz.

Prudence próbowała protestować, lecz Sophie na to nie zważała.

- Robię to dla spokoju sumienia - wyjaśniła. - Nie powinnam zachęcać cię do tak nierozważnego czynu. - Spojrzała dziewczynie w oczy. - Musisz wiedzieć, że nie wierzę w żadne z oskarżeń Amelii. To bardzo niemiła osoba i przysporzyła już mojej matce wielu przykrości.

Prudence milczała, bo cóż mogłaby powiedzieć?

- Czy możesz mi coś obiecać? - zapytała Sophie. - Jeśli cokolwiek się stanie złego, natychmiast mnie o tym powiadom. - Westchnęła. - W innych okolicznościach mogłybyśmy zostać najlepszymi przyjaciółkami...

Prudence wołała milczeć. Oskarżyła tę szlachetną młodą kobietę o najgorsze, była bowiem pewna, że pomaga jej w ucieczce tylko dlatego, by ochronić brata przed przybłądą. Teraz zrozumiała, że pomyliła się. Sophie domyślała się jej uczuć i rozumiała motywy jej decyzji. Z sercem pełnym wdzięczności Prudence skinęła głową na znak zgody.

Sophie, nic już więcej nie mówiąc, zabrała się do wybierania ciepłych spódnic, skarpet i wełnianych rękawiczek.

- Wystarczy! - orzekła w końcu. - Ma się to przecież zmieścić w jednej torbie. Weź tę! - Pokazała Prudence obszerny skórzany sakwojaż, do którego zapakowała przygotowane rzeczy.

Przyszła pora na najtrudniejsze pytanie.

- Kiedy chcesz wyruszyć? - zapytała Sophie.

- Jak najszybciej. - Prudence opuściła głowę, by ukryć łęk w oczach.

- Nie dzisiaj, jak przypuszczam. Niespodziewany pomysł wyjazdu do Canterbury wzbudziłby ogólne podejrzenia. Wspomnimy o tym wieczorem przy obiedzie i zaprosimy do towarzystwa Gabrielle. Zakupy będą świetnym pretekstem.

Gdy to mówiła, oczy błyszczały jej z podniecenia i Prudence, mimo całego smutku, lekko się uśmiechnęła.

- O co chodzi? - zapytała Sophie.

- Proszę nie potraktować tego jak impertynencję, ale ma pani najwyraźniej talent do spiskowania, madame.

- Dorastałam z trzema braćmi, przeszłam więc twardą szkołę życia - odparła z ożywieniem Sophie. - Myślę, że teraz nikt cię nie zobaczy z tą torbą. Perry i Armand wyszli postrzelać, mama jest w ogrodzie, Gabrielle zabawia chłopców, a Sebastian wyjechał we własnych sprawach.

Prudence pragnęła jej podziękować, ale nie znalazła odpowiednich słów. Wyciągnęła rękę, a Sophie uściskała ją serdecznie i szepnęła:

- Życzę ci wszystkiego, czego sama pragniesz. Idź już! Porozmawiamy wieczorem!

Sophie dotrzymała słowa. Kiedy cała rodzina zebrała się po obiedzie w salonie, poruszyła jakby od niechcenia temat wyprawy do Canterbury.

Gabrielle aż klasnęła w ręce z radości.

- Z wielką przyjemnością pojedę z wami - zawołała.

- Tak mało rzeczy zabrałam ze sobą do Anglii.

- Tylko dwa powozy pełne kufrow - zażartował jej brat. - Nie było w nich miejsca nawet na jedną parę moich butów...

- Może powinniśmy towarzyszyć naszym damom?

- Sebastian, najwyraźniej odprężony, usiadł wygodnie przy oknie, przenosząc wzrok z jednej twarzy na drugą.

Prudence przestraszyła się. Może Wentworth coś podejrzewał?

- Zanudzilibyście się na śmierć! - stwierdziła stanowczo jego siostra. - A nam zepsulibyście całą przyjemność robienia zakupów, gdybyście niecierpliwie spacerowali przed sklepami. To wyprawa tylko dla kobiet. Zabierzemy jeszcze Dana, bo Prudence ostatnio mało z nim przebywała i chłopcu spodoba się ta wycieczka.

Prudence aż wstrzymała oddech. To był ryzykowny moment. Czy Sebastian nie nabierze podejrzeń w związku z Danem? Obawy jej jednak szybko zostały rozwiane.

- Dlaczego chcecie chłopca tak dręczyć? - zaśmiał się Sebastian. - Wynudzi się jak mops.

- Na pewno nie. Prudence mówiła, że chłopak uwielbia siedzieć obok Sama na koźle.

- To prawda. Bawcie się więc dobrze. Miejmy tylko nadzieję, że nie będzie padać. A ty, mamo, nie pojechałabyś z nimi?

- Nie, Sebastianie. Chłopcom wolno już opuścić pokój i zejść na dół. Muszę znaleźć dla nich jakieś zajęcie.

- Nie daj się im zamęczyć. - Sebastian odwrócił się do Perry'ego, by zapytać go, jakie ma plany na następny dzień.

Sophie rzuciła Prudence szybkie, konspiracyjne spojrzenie. Sprawa została załatwiona po ich myśli.

Późnym wieczorem, znalazłszy się w swoim pokoju, Prudence miała czas na zastanowienie się nad sytuacją. Udało się im przeprowadzić pierwszy punkt planu, i to znacznie łatwiej, niż przypuszczała.

Nie zdążyła uprzedzić Dana, że wyjeżdżają już nazajutrz, ale może to i lepiej, bowiem chłopiec mógłby niechcący zdradzić się jakimś gestem lub słowem. Teraz potrzebna jest im ładna pogoda. O wyjeździe w dzień deszczowy nie byłoby mowy i wyprawa zostałaby odłożona na później.

Nadal jednak konieczna jest ostrożność. Oczekała, aż w domu zapanowała zupełna cisza, i dopiero wtedy wyciągnęła skórzany sakwojaż, schowany za mahoniową komodą. Włożyła do niego, głęboko między ubrania, sakiewkę z gwineami.

Rozejrzała się po pokoju, w którym tak dobrze się czuła. Nie zobaczy go już więcej, ale zapamięta na resztę życia każdy jego szczegół. Nie wolno jej teraz poddać się smutkowi. Musi myśleć o przyszłości.

Kiedy się przebudziła, do pokoju przez zasłony przedzierały się słabe promienie jesiennego słońca. Niebo było zupełnie czyste.

Mogą więc jechać. W tym momencie Prudence uświadomiła sobie, że nie wie, jak niepostrzeżenie przenieść torbę do powozu.

Sophie rozwiązała ten problem za nią. Pojawiła się z ciepłym obszernym pledem na rękę. Prudence ukryje pod nim sakwojaż.

- Gdzie jest Dan? - zapytała Sophie.

- Pójdę po niego.

- Pospieszcie się. Kazałam przygotować powóz na dziesiątą.

Prudence pobiegła szybko do stajni. Sam otrzymał już polecenia związane z wyjazdem i Dan, z rozjaśnioną twarzą, pomagał mu w przygotowaniach.

- Prudy, ale będzie fajnie! - szepnął. - Zapomniałem już, jak to jest, kiedy siedzi się na koźle.

Nie miała serca powiedzieć mu prawdy. Potem będzie dość czasu na wyjaśnienia. Weszła do jadalni i zastała przy śniadaniu Armanda i Perry'ego.

- Coś złego się dzieje z naszym Sebastianem - zaczął Perry urażonym tonem. - Myślałem, że dziś pojedzie z nami, ale ma jakieś własne plany. Znowu zniknął...

Prudence nic nie odpowiedziała. To, na co się zdecydowała, wymagało od niej wielkiej odwagi i los jej to wynagrodził. Oszczędził jej ostatniego, jakże trudnego, spotkania z ukochanym. Odsunęła talerz i usprawiedliwiając się, że nie jest głodna, wstała od stołu.

- Czy to ja, czy też pozostali są dziś jacyś dziwni? - zapytał Perry Armanda. - Teraz przyszła kolej na Prudy.

Nie usłyszała tej uwagi. Pospieszyła, żeby ukryć torbę pod pledem. Potem narzuciła na siebie ciepły płaszcz i zbiegła do czekającego przed domem powozu.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Kiedy ruszyli rączym klusem, Prudence nie obejrzała się za siebie. Bała się, że za chwilę się rozpłacze.

Czas przestał dla niej istnieć aż do chwili, gdy powóz zaturkotał na brukowanych uliczkach Canterbury. Sophie, odgadując nastrój Prudence, nie próbowała nawet wciągać jej do rozmowy. Gdy wjechali do centrum miasta, dała znak Samowi, żeby się zatrzymał.

- Możesz nas tu wysadzić - powiedziała. - Zabawimy jakieś dwie godziny.

- Czy Dan może zostać ze mną, panno Sophie... przepraszam, madame?

- Nie, Danowi też trzeba coś kupić z ubrania. Przyjedź po nas w południe. - Wydawszy to polecenie, zwróciła się do Gabrielle: - Sklepy są wzdłuż tej ulicy. Jeśli pójdziesz w tamtą stronę, odnajdę cię. Kupowanie ubrań chłopcu nie będzie dla ciebie interesujące.

Po odejściu Gabrielle, Sophie powiedziała cicho do Prudence:

- Dam wam tyle czasu, ile zdołam. Niech Bóg was wspomaga!

Wyciągnęła ramiona i obie kobiety serdecznie się uściskały. Trwało to dobrą chwilę, po czym Sophie zostawiła ich samych.

- Co to znaczy? - zapytał Dan.

- To początek naszej przygody - odpowiedziała Prudence. - Już niedługo znajdziemy się na dalekim oceanie.

- Nie wrócimy już do Hallwood? - Za odpowiedź wystarczyła mu mina Prudence. - Prudy, dlaczego mnie nie uprzedziłaś? Nie pożegnałem się ani z Samem, ani z Iskrą.

- Sam zaopiekuje się Iskrą.

- Wiem, ale żrebak będzie za mną tęsknił... Wyglądał na tak zmartwionego, że Prudence zatrzymała się i powiedziała:

- Możesz zmienić zdanie, jeszcze nie jest za późno. Sam wróci powozem w południe. Możesz poczekać na niego i na pozostałych...

- Nie! Chcę iść z tobą, ale Sam będzie zdziwiony...

Nie tylko Sam, pomyślała ponuro Prudence. W Hallwood zapanuje konsternacja, gdy odkryją ich zniknięcie. Wiele by dała, by nie przysparzać nowych zmartwień lady Brandon, ale nie miała wyjścia. Ostatecznie takie rozwiązanie jest dla wszystkich najlepsze.

- Nie mógłbyś mu powiedzieć prawdy, Danie - tłumaczyła łagodnie - to byłby koniec naszych planów. Teraz musimy się pospieszyć. Trzeba opuścić Canterbury, zanim zaczną nas szukać.

Wzięła go za rękę i podążyła boczną uliczką tak szybkim krokiem, że ledwie za nią nadązał.

Sophie podsunęła pomysł wynajęcia jakiegoś powozu, którym pojechaliby do Dover, lecz gdzie mogłaby to załatwić?

- Może w jakiejś stajni? - zaproponował Dan.

Prudence wahała się. Im mniej będą wypytywać, tym mniej zostawią śladów, w końcu jednak zgodziła się.

Zajęło im to trochę czasu, gdyż nie znali nawet nazw ulic, w końcu niespodzianie trafili na jakąś stajnię.

Prudence zatrzymała się i powiedziała do Dana:

- Zasłoń mnie, a ja wyciągnę pieniądze. Poszukała w głębi torby, aż trafiła na sakiewkę. Wyjęła jedną monetę i ukryła ją w rękawiczce. Nie byłoby mądrze pokazywać komuś obcemu cały jej niewielki majątek.

Zacząła wyjaśniać, o co jej chodzi, jakimś tęgiemu osobnikowi, który wyszedł im naprzeciw, lecz jego reakcja nie była zachęcająca.

- Nic z tego! - powiedział. - Mam wprawdzie wóz, ale nie dam woźnicy.

- Prudence, ja mogę powozić, Sam mnie nauczył. Na te słowa właściciel stajni zawołał:

- A to dobre! Miałbym powierzyć moją własność komuś takiemu jak ty? Niech pani jedzie powozem pocztowym, panienko.

- To potrwa za długo, a mnie się spieszy. Longridge nie leży daleko od Dover. Nie znam tej okolicy, jak mam się tam dostać?

- Nie wiem, panienko. Może pani coś wynająć w Dover...

- Mam czym zapłacić! - krzyknęła w rozpacz. Ściągnęła rękawiczkę i pokazała złotą monetę.

Mężczyzna spojrzał na nią podejrzliwie.

- No, nie wiem... - Na jego twarzy pojawił się chytry uśmiezek. - To będzie kosztować trochę więcej... - Najwyraźniej nie mógł oderwać oczu od połyskującej monety.

Prudence patrzyła na niego z przestachem, wyczuwając, że podniesie cenę do nieprzyzwoitego poziomu.

- Dziękuję panu! - odrzekła zimno. - Załatwimy tę sprawę gdzie indziej. Chodź, Danie! - Odwróciła się i odeszła, nie zwracając uwagi na okrzyki oburzenia rzucone pod jej adresem.

- I co teraz, Prudy? Czy pojedziemy wozem pocztowym?

- Chyba nie mamy innego wyjścia. - Spojrzała na miejski zegar. Stracili już dużo czasu, ale przy odrobinie szczęścia może nie trzeba będzie czekać zbyt długo na następny kurs z Canterbury.

Będą jechali wolniej niż dwukółką, lecz mniej zapłacą za przejazd. Żałowała, że nie poprosiła wcześniej Sophie o rozmielenie gwinei na drobniejsze monety. Złoto budzi chciwość, a ponieważ była kobietą, mogła łatwo paść ofiarą rabunku.

Do południa zostało jeszcze trochę czasu, mimo to ona i Dan nie mogą sobie pozwolić na zwłokę. Sam nie wróci do Hallwood, dopóki nie spenetruje całego miasta w poszukiwaniu uciekinierów.

Tym razem szczęście im sprzyjało. Kiedy wkroczyli na dziedziniec jednego z zajazdów, Prudence ujrzała gotowy do drogi powóz. Kazała Danowi szybko wsiadać i kupując u woźnicy bilet, zapytała:

- Czy zna pan Longridge?

- To po drodze, panienko. Wyszadzimy panią na skrzyżowaniu, a stamtąd już będzie blisko. Może wezmę pani bagaż?

- Nie, dziękuję, zatrzymam torbę przy sobie. Powie mi pan, kiedy mamy wysiąść?

Kiwnął głową i pomógł jej usadowić się w rogu. Po czym dał znak trąbką i powóz wyjechał na główną ulicę.

Prudence ukryła się za skórzaną zasłoną, wyglądając niespokojnie przez okno. Odprężyła się dopiero wtedy, gdy opuścili przedmieścia. Teraz była już pewna, że Sam ich nie odnajdzie.

- Dlaczego jedziemy do Longridge? - zapytał cicho Dan, szarpiąc ją za rękaw. - Myślałem, że wsiądziemy na statek...

- Najpierw mam do załatwienia pewną sprawę. Nie mogę odkładać tego na potem. Bądź cierpliwy.

Dan zadowolił się tą odpowiedzią i uśmiechnął z zadowoleniem do siedzącej naprzeciw kobiety o rumianej twarzy.

- Twoje włosy są koloru prawdziwej marchewki. Przypominasz mi mojego siostrzeńca - odezwała się ta kobieta i podała mu z uśmiechem jabłko.

Dan wdał się z nią w pogawędkę, w której wzięli udział także jej mąż i córki.

Prudence przymknęła oczy, mając nadzieję, że tamci nie będą na nią zwracać uwagi. Potrzebowała spokoju, żeby się zastanowić. Na razie wszystko szło zgodnie z planem, ale czekały ich znacznie poważniejsze trudności.

W najlepszym przypadku zyskali pół dnia, zanim wybuchnie zamieszanie związane z ich zniknięciem. Kiedy Sophie wróci do Hallwood, na pewno wyślą kogoś na poszukiwanie zaginionych. Nie będzie to Sebastian, gdyż wyjechał w jakichś ważnych sprawach, ale zostali przecież Perry i Armand.

Perry nie pojedzie w kierunku Longridge, bo nie miał pojęcia o jej planach. No tak, ale lady Brandon mogła się domyślić, bo wiedziała, iż Prudence odkryła, do jakiej rodziny należy herb, który wyryto na broszce.

Modliła się w duchu, żeby powóz jechał szybciej, zdawała sobie jednak sprawę, że konie pędzą co sił dzięki dobrej nawierzchni na drodze do Dover. Nie ma się czym denerwować, bo minie sporo czasu, może dobre parę godzin, zanim ruszy za nimi pościg.

Nie jest zresztą wykluczone, że jej obawy okażą się bezpodstawne. Być może w Hallwood przyjęto jej zniknięcie z ulgą, gdyż likwidowało to liczne problemy.

Nie rozwiązywało jednak jej własnych spraw. Jeśli nawet Sebastian jest zakochany w Gabrielle, to i tak nie zaniedba tego, co uważa za swój obowiązek. Nie ulega wątpliwości, że zrobi co w jego mocy, żeby odnaleźć Prudence i w tym celu na pewno uda się do Longridge.

Wentworth zawsze wracał do domu na obiad. Czy wyjedzie na jej poszukiwanie tego samego wieczora? Zresztą to nieważne, bo do tej pory zdążą z Danem opuścić to miejsce i będą w drodze do Dover.

Prudence wydawało się, że powóz wlecze się niemiłosiernie, w końcu jednak dojechali do skrzyżowania, o którym wspominał woźnica, i tam też ich wysadzono.

- To jest jakiś kilometr stąd, panienko. Nie ma mowy o zabłądzeniu. Wokół posiadłości biegnie mur wysokości prawie dwóch i pół metra... - Woźnica wskoczył na kozioł i powóz szybko odjechał.

Dan chciał nieść torbę, lecz Prudence zabrała mu ją ze słowami:

- Sama poniosę. Idziemy! To niedaleko. Dan pierwszy zobaczył mur.

- Wygląda jak forteca albo zamek - ocenił. - Czy myślisz, że jest tu most zwodzony i fosa?

- Mam nadzieję, że jest brama. Musimy dokoła obejść mur i znaleźć wejście.

Niemal natychmiast natknęli się na bramę i kiedy Dan spojrzał do góry, zawołał:

- Popatrz! Popatrz na tę tarczę herbową! Przedstawia to samo co twoja broszka.

Prudence obejrzała uważnie potężną żelazną konstrukcję. W środku, na obu skrzydłach, widniał znajomy herb. Brama zamknięta była na masywną kłódkę i cała posiadłość wydawała się niedostępna.

Ponieważ nie dostrzegła nikogo w stróżówce, szarpnęła za dzwonek wiszący na jednym z kamiennych filarów.

I wtedy rozpętało się piekło. Prudence usłyszała brzęk łańcuchów i przerażona odskoczyła do tyłu na widok dwóch wielkich mastifów, które nadbiegły z głośnym ujadaniem, po czym próbowały przecisnąć się przez żelazne kraty.

Gdy pojawił się stróż i kopnął oba psy, szczekanie przeszło w skomlenie.

- Czego chcecie? – warknął.

- Chciałabym widzieć się z lordem Manvellem - odrzekła Prudence z godnością.

- Niejeden już chciał! - odburknął stróż, ukazując pożółkłe zęby. - Odejdźcie albo wypuszczę na was psy.

Prudence nie po to zaszła tak daleko, żeby teraz dać się odprawić z kwitkiem przez tego gbura.

- Mógłby pan przynajmniej zapytać.

- Dostałem taki rozkaz. Raz nie posłuchałem i więcej tego nie zamierzam robić.

- To ja tu poczekam.

- Nie sądzę, panienko. Jeśli nie rozumie pani tego, co powiedziałem... - Wyjął z kieszeni ogromny klucz i włożył go do zamka kłódky.

- Prudence, uciekajmy! - zawołał przerażony Dan. - Nie czekajmy, aż wypuści na nas psy...

- Jeszcze tu wrócę! - obiecała Prudence.

- Proszę bardzo. Odpowiedź będzie zawsze taka sama. - Mężczyzna odwołał psy i poszedł do stróżówki.

- Chodźmy stąd - szepnął Dan. - Tu jest strasznie.

- Przepraszam cię, kochanie. - Odeszła kawałek i usiadła na trawiastym zboczu drogi. - Czy nie rozumiesz? Muszę zobaczyć się z lordem. Czekałam na to całe życie. On może mi powiedzieć, kim byli moi rodzice...

- Ale ten człowiek nie chce nas wpuścić.

- Trzeba znaleźć jakiś inny sposób, żeby się tam dostać. - Prudence rozejrzała się wokół. - Przejdźmy się, przy murze widzę drzewa. Gdybyśmy natrafili na zwisającą gałąź...

- Żadna nie zwisa na zewnątrz, a ściana jest za wysoka, żeby się na nią wspiąć. Chyba nie myślisz, Prudy, o tym. Mogą tam być jeszcze inne psy.

- Nikomu nie zaszkodzimy, jeśli się rozejrzemy - nalegała Prudence. - W razie niebezpieczeństwa zeskoczemy i uciekniemy.

Dan powłókł się za nią z ociąganiem i poczuł ulgę, gdy nie znaleźli żadnej zwisającej gałęzi.

- Gdybyś stanął na moich ramionach, dojrzałbyś może dom - zaproponowała Prudence.

- Nie przejdę przez ten mur, poza tym nie dałbym rady wciągnąć cię na górę...

- Wiem! - zawołała zniecierpliwiona. - Dlaczego nie chcesz spróbować? Może zauważysz jakąś inną drogę.

- Jeśli nawet zobaczę ją, na pewno będzie pilnowana tak samo jak tamta. Prudy, chodźmy stąd.

- No dobrze. Och, Danie, miałam taką nadzieję... Nagle usiadła i ukryła twarz w dłoniach.

- Stań tutaj, a ja spróbuję wspiąć się na twoje ramiona - powiedział Dan, poruszony rozpaczą przyjaciółki.

- Nie! Miałaś rację! To był głupi pomysł. Wracamy do drogi do Dover.

- Przejdźmy się jeszcze trochę dokoła muru - zaproponował wspaniałomyślnie Dan.

- Jest z pewnością bardzo długi, a my nie mamy tyle czasu. Teraz szybko zapada zmrok i musimy znaleźć jakiś nocleg.

- Nie martw się! - starał się ją pocieszyć chłopiec. - Jutro dostaniemy się na statek...

Prudence wyprostowała się. Sprawa jest beznadziejna, trzeba jak najprędzej opuścić Longridge. Czy ma jakieś znaczenie to, że nigdy nie odkryje tajemnicy swych narodzin?

W przeszłości stale o tym marzyła, a teraz nie była w stanie stwierdzić, kiedy to obsesyjne pragnienie zaczęło w niej słabnąć, aż wreszcie stało się mało ważne.

- Prudy, spójrz! Jeśli tu staniesz, to będziesz mogła zobaczyć, co jest po drugiej stronie muru. Chcesz spróbować?

Zadarła spódnicę i zaczęła się wspinać. Nie było jeszcze zbyt ciemno, dostrzegła więc budynek, stojący na wzniesieniu. I wtedy usłyszała jakiś dziwny dźwięk, jakby koło jej głowy przeleciała pszczoła.

- Zobaczyli nas! - Zeskoczyła na dół i chwyciła Dana za rękę. - Uciekajmy!

Odbiegli zaledwie parę metrów, kiedy doszedł ich odgłos kopyt końskich.

- Ścigają nas! - krzyknął Dan. - Patrz, otwierają bramę!

- Szybko! Wskakujemy do rowu! - Prudence zsunęła się na dół i pociągnęła chłopca za sobą. I nagle zabrakło jej tchu.

- Prudy, to był lord Wentworth!

- Niemożliwe! Co by tu robił?

- Nie wiem, ale to był on. Spójrz sama! Wychyliła się z rowu. Jeździec już się oddalał, ale nie mogło być mowy o pomyłce - miał szerokie ramiona Sebastiana i jechał na koniu z charakterystyczną dla niego swobodą.

- Najwyraźniej nas szuka.

- Jakim sposobem? Za szybko... - Prudence drżała na całym ciele. Chciała zawołać do Sebastiana, by wrócił do niej... lecz nie zrobiła tego.

Do głowy przychodziły jej różne myśli. Wentworth przyjechał z pewnością do Longridge, by zdobyć dalsze informacje. Świadomość, że nadal chce jej pomóc, była gorzkim pocieszeniem. Dlaczego zabrakło jej odwagi, by krzyknąć za nim? Teraz jest już za późno.

Zresztą, nie ma to żadnego znaczenia. Pewnie się dowiedział, że była nieślubnym dzieckiem, godnym co najwyżej litościwej wzgardy bękartem. Nic nie mogło zmienić tego nieszczęsnego faktu.

Poczuła przenikający ją dreszcz. Po niedawnym deszczu rów napelnił się wodą i płaszcz Prudence oraz jej rękawiczki zdążyły szybko przemoknąć.

Dan patrzył na nią krytycznym wzrokiem.

- Jesteś cała mokra. Ja upadłem na ciebie, jestem więc w lepszym stanie.

- Dzięki Bogu! Kiedy dojedziemy do Dover, kupię ci nowe ubranie, a ja przebiorę się już teraz. - Otworzyła sakwojaż. - Odwróć się do mnie plecami!

Rozejrzała się dokoła i nie zauważywszy nikogo, zdjęła wilgotne rzeczy i zawinęła je w tłumok.

- Chyba trochę przytyłam. - Z trudem dopięła na sobie spodnie, ale koszula i kurtka były wystarczająco długie i obszerne, by zakryć krągłości jej dziewczęcej figury.

- Poniesiesz to! - wręczyła Danowi tłumok. - W torbie wszystko by się od tego zamoczyło. Idziemy! Musimy dotrzeć do Dover przed zmrokiem.

Ponieważ nie miała już na sobie ciepłego płaszcza, zrobiło się jej zimno. W dodatku zerwał się wiatr, zaczęła więc iść bardzo szybkim krokiem.

- Nie mogę nadążyć za tobą - poskarżył się Dan. - I jestem już cały mokry...

- Rozumiem cię, kochanie, ale nie znam tej okolicy i boję się, żebyśmy w ciemnościach nie zabłądzili.

Zmusiła Dana do szybkiego marszu, dopóki nie dotarli do skrzyżowania, gdzie wysiedli z powozu pocztowego. Stąd wiodła główna droga do Dover. Zapadał już zmierzch, ale ruch na drodze był wciąż duży.

Minęło ich kilka pojazdów, lecz żaden się nie zatrzymał. W końcu Prudence dostrzegła migające w oddali światło lampy jakiegoś większego wehikułu. Domyśliła, że był to jeden z powozów pocztowych, które kursowały regularnie między Dover i Canterbury. Stała na drodze i zaczęła machać ręką.

Złękła się, że woźnica jej nie zauważy, i zamierzała już wskoczyć na środek drogi, lecz powożący ściągnął lejce i rzucając jej niechętnie spojrzenie, zapytał:

- O co chodzi? Czy coś się stało na drodze? Jakaś przeszkoda?

- Chcę jechać do Dover - odpowiedziała pewnym siebie głosem Prudence. - Czy ma pan dwa wolne miejsca?

- Usuń się z drogi, chłopcze! Nie mogę brać nikogo za darmo, a tobie nie wolno zatrzymywać powozów pocztowych...

- Mam pieniądze. - Prudence pokazała mu trzymaną w dłoni monetę.

- Przypadkiem jej nie ukradłeś? - Mężczyzna patrzył na nią podejrzliwie.

- Nie ukradłem! Zabierze nas pan?

- A jakże! - Wziął monetę i schował do kieszeni. Wydał im dwa bilety, które kosztowały niezbyt wiele, a resztę bez skrępowań zabrał dla siebie.

Prudence wepchnęła Dana do środka i wsunęła się za nim, nie zważając na niechętnie spojrzenia pozostałych pasażerów. Nie od razu pojęła powód ich irytacji, wewnątrz bowiem było dużo wolnego miejsca. Dopiero kiedy kobieta siedząca obok odsunęła się, poprawiając spódnicę, uświadomiła sobie, że jej sztruksowe spodnie i zniszczona koszula oraz kurtka nie budziły zaufania towarzyszy podróży.

- W dzisiejszych czasach zabierają do wozu byle kogo - powiedziała ze złością kobieta. - Powinniśmy zaprotestować, że nie życzymy sobie takiego towarzystwa. Zapłaciliśmy za bilety...

- My też! - Prudence spojrzała jej prosto w oczy.

- Co za bezczelność! Dzięki Bogu, nie jedziemy daleko. - Prychnęła pogardliwie i umilkła.

Prudence więcej się nią nie zajmowała. Układała w myślach plany na najbliższą przyszłość. Kiedy dojadą do Dover, będzie już za późno, aby szukać statku. Będą więc musieli znaleźć schronienie na noc, lecz kto przyjmie takich dwóch przemoczonych włóczęgów?

Żałowała teraz, że przebrała się w stare męskie ubranie. Właściciele zajazdów rozpoznają od razu ich status społeczny. Doświadczyła tego już w podróży z Sebastianem.

Płaszcz z drogiej tkaniny wełnianej poprawiłby ich sytuację, ale był wciąż mokry. Trudno, musi na razie pozostać w przebraniu i cokolwiek się zdarzy, nie może z tego rezygnować.

Niestety, nawet widok złota nie skusił właściciela zajazdu, przed którym zatrzymał się wreszcie wóz pocztowy. Miał już pod swymi dachem gości znacznie bogatszych od Prudence.

Podobna sytuacja powtórzyła się i w drugim zajazdzie.

Wprawdzie budynek był duży, ale powiedziano jej, że wszystkie pokoje zarezerwowane zostały z góry.

- I co my zrobimy? - pytał Dan z niepokojem.

- Coś wreszcie znajdziemy - zapewniła go Prudence.

- Nie wierzę, żeby nigdzie nie było wolnego miejsca. Poszukajmy jakiejś mniejszej gospody. - Skręciła w uliczkę prowadzącą w dół.

- Popatrz! - Dan aż wstrzymał oddech. - Jesteśmy chyba niedaleko portu. Widzę maszty jakiegoś statku.

- Rzeczywiście. Gdzieś w pobliżu muszą być doki...

- Prudence poczuła ogarniający ją strach. Czytała nieraz, że jest to w każdym porcie najniebezpieczniejsze miejsce.

- Lepiej zawróćmy...

Na szczęście księżyc w pełni oświetlał ulice i tylko wąskie zaułki tonęły w ciemnościach. Nagle Prudence usłyszała krzyk i zdrętwiała z przerażenia.

Z mroku wyłonili się jacyś mężczyźni. Prudence zatrzymała się. Najpierw pomyślała, że są to pijacy, i instynkt samozachowawczy nakazywał jej czym prędzej uciekać. Wtedy ujrzała w bladym świetle księżyca pobielającą twarz młodego chłopca, którego trzymało mocno dwóch silnych zbirów.

- Zlitujcie się! - wołał. - Nie zabierajcie mnie! Moja matka poza mną nie ma nikogo...

Na jego błagania odpowiedzieli głośnym grubiańskim śmiechem.

- Zobaczysz ją za jakieś dwa lata. Podróż morską dobrze ci zrobi... - Przywódca grupy podszedł do młodzieńca i uderzył go w twarz. - Zamknij się, bo źle się to dla ciebie skończy.

Prudence chwyciła za ramię jakiegoś przechodnia.

- Nie mógłby mu pan pomóc? - zapytała z prośbą w głosie. - Zabierają go wbrew jego woli...

- Nic nie poradzę, takie jest prawo - mruknął zagadnięty mężczyzna.

- Prawo? - Nie wierzyła własnym uszom.

- Tak, chłopcze. To najemna banda łapiąca młodych mężczyzn, żeby wcielić ich do wojska lub marynarki. Lepiej zmykaj stąd, bo zaraz zgarną i ciebie...

- I mają prawo postępować tak brutalnie? - Powiedziała to głośno i z gniewem, co zwróciło uwagę bosmana, który zaczął iść w jej kierunku.

- Dopisało nam dziś szczęście! - krzyknął do swoich kompanów. - Mamy tu jeszcze jednego!

Prudence obejrzała się i zobaczyła, że na ulicy nie było nikogo poza nią i Danem.

- Tego smarkacza też bierzemy. Kapitanowi potrzebny jest chłopak okrętowy - dodał.

Prudence rzuciła skórzaną torbę Danowi i zawołała:

- Uciekaj! - Po chwili bosman trzymał ją już w żelaznym uścisku i drugą ręką sięgał do jej gardła.

Ogarnięta straszliwą paniką uderzyła go silnie głową. W tej samej sekundzie zrobiło się jej ciemno przed oczyma, gdyż bosman, ohydnie przeklinając, ogłuszył ją laską, którą miał przy sobie.

Gdy Prudence otworzyła oczy, pomyślała, że śni się jej jakiś koszmar.

W ciemnościach dostrzegła leżących mężczyzn, którzy w jęczeli i krzyczeli w nieopisanej udęce. Niektórzy z nich szlochali, inni modlili się.

Panował okropny zaduch. Obok niej któryś z więźniów wymiotował, a przenikliwy smród ludzkich odchodów był wprost nie do zniesienia.

Niespodzianie usłyszała śmiech i, zaskoczona tym, uniosła głowę. Kilka kobiet przycupnęło w kącie tego przypominającego stajnię pomieszczenia i piło coś łąpczywie z butelki. Kiedy doszedł ją zapach rumu, poczuła silne mdłości. Powstrzymała się siłą od zwymiotowania, chowając głowę między kolana.

Mdłości minęły, ale potwornie bolała ją głowa. Pomacała ją ostrożnie palcami i natknęła się na ogromny guz oraz coś mokrego i ciepłego. Obtarła ciecz spływającą po policzku i stwierdziła, że to jej własna krew.

Choć wydawało się to nieprawdopodobne, Prudence została schwytana i zawleczona na jeden ze statków Jego Królewskiej Mości. Okręt stał na kotwicy i lekko kołysał się na falach. Podniosła z trudem głowę i dojrzała nad sobą kratę, a za nią gwiazdy na niebie.

Ogarnęła ją panika. Jeśli nawet zawoła i ktoś zwróci na nią uwagę, to co ma powiedzieć? Że bosman pomylił się i złapał kobietę? Wzdrygnęła się na samą myśl o tym. Wśród mężczyzn stłoczonych w ładowni statku w żadnym wypadku nie mogła zdradzić swojej płci.

Nie miała żadnych złudzeń. Kobiety siedzące w kacie zostały zabrane tylko w jednym celu i z całą pewnością musiały do nich dołączyć.

Z niepokojem rozejrzała się wokół. Nigdzie nie dostrzegła Dana, udało mu się więc uciec. Domyślała się, że okręt cumuje jeszcze w Dover, nie liczyła jednak na ratunek ani na utrzymanie swego sekretu. Wołała nie myśleć o czekającym ją potwornym losie, gdy okaże się, kim jest naprawdę.

Nie odstawią jej na ląd. Wiedziała, że kobiety potrzebne są na statkach. W czasie wojny opiekowały się, jak umiały, rannymi, wykorzystywane też były do innych celów. Nie była w stanie znieść myśli, że już niedługo zostanie zmuszona do zaspokajania żądzy rozpustnych marynarzy. Rozplakała się.

Noc zdawała się nie mieć końca, lecz wreszcie przez kratę przebił się słaby odblask świtu. Czy odpłyną z rannym przyplływem? Nie miała od kogo się dowiedzieć. Co robić? - myślała w rozpacz. Straciła już wszelką nadzieję.

Wtedy ujrzała nad sobą wykrzywioną w złośliwym uśmiechu twarz. Był to jeden z marynarzy. Zawołał innych kumpli, by także wzięli udział w tym spektaklu.

- Płaczesz za mamusią? - zadrwił. - Wybijemy ci to z głowy.

Prudence ocknęła się z letargu i pokazała mu język.

- Ty, ty... - Splunął na nią sokiem z tytoniu. Prudence odwróciła głowę i brązowa ślina ominęła jej policzek, ale splamiła kurtkę.

- Poczekaj tylko, aż znajdziesz się na pokładzie - zagroził złowieszczym tonem. - Zapamiętam cię...

- Nie bądź głupi - syknął do niej mężczyzna leżący obok. - Zamieni ci życie w istne piekło.

Prudence zignorowała go. Zdawało jej się, że śni, gorączkowo wyteżyła słuch... usłyszała bowiem czyjś głos.

- Ależ, milordzie, to niemożliwe! - Przy kracie zatrzymał się człowiek ubrany w błyszczący mundur. - Mam upoważnienie, żeby brać tych ludzi...

- I kobiety też? - zapytał lodowatym tonem Sebastian.

- Nie mamy na pokładzie żadnych kobiet, oprócz tych...

- Nie mówię o pańskich flądrach. Wiem, że tam na dole jest moja siostra.

- Jego Lordowska Mość z pewnością się myli. Mój bosman jest człowiekiem doświadczonym. Nigdy nie odważyłby się napaść na damę.

- Mógł jej nie rozpoznać - powiedział spokojnie Sebastian. - Moja siostra jest ekscentryczką i lubi przebierać się w chłopięce stroje. Tym razem uciekła z domu... z powodu idiotycznej miłości... rozumie pan?

- Nie do wiary!

- Pozwoli więc pan, że dla pewności sprawdzimy? Podniesiono kratę i spuszczone na dół drabinę.

- Prudence! - zabrzmiał rozkazujący głos Sebastiana. Wstała i jakby w transie wspięła się po drabinie na pokład, a Sebastian chwycił ją za ramię.

- No proszę! Dostanie ci się od matki! Kapitan był zaskoczony.

- Nie wiem, co powiedzieć, panie. Kiedy pomyślę, że mogliśmy odplłynąć, nie wiedząc...

- Proszę się uspokoić! Niech pan siebie nie obwinia. Wszystko zakończyło się pomyślnie i nie ma o czym mówić.

Kapitan, ocierając czoło, wybąkał słowa podziękowania. Był wyraźnie wstrząśnięty, że młoda dama musiała spędzić noc z najgorszymi mętami w Dover.

Sebastian postanowił szybko rozwiązać jego obawy.

- Prudence, nic ci się nie stało? - zapytał lodowatym tonem. A kiedy potrząsnęła głową, powiedział: - Niech to będzie dla ciebie nauką. - Po czym podszedł do relingu, żeby przywołać łódź, zostawiając drżącą z zimna dziewczynę na pokładzie.

Skorzystał z tej okazji znany już jej marynarz i objąwszy ją ramieniem, złapał za pierś i szepnął:

- Nie musiałaś spędzać tej nocy na dole, gdybym wiedział, jakie tu skarby kryjesz, zająłbym się tobą jak na dżentelmena przystało...

Prudence popatrzyła na niego jak na powietrze. Stał blisko trapu. Udając, że traci równowagę, wpadła na niego i popchnęła tak, że wypadł za burtę.

- Boże, co ja zrobiłam? - krzyknęła niby przestraszona i zasłoniła ręką usta. - Jestem taka niezdara... Mam nadzieję, że umie pływać.

Podbiegła do relingu i ujrzała, że jej ofiara szamocze się w wodzie. Ponieważ nikt inny tego nie mógł zobaczyć, pokazała mu znowu język.

Sebastian pomógł jej zejść do łodzi. Nie odezwał się słowem, dopóki nie usiedli w szalupie.

- Czy wolno mi wiedzieć, dlaczego ten młody człowiek tak cię zirytował? - zapytał obojętnym tonem.

- Kto taki? Ten, który wpadł do wody?

- Mam na myśli tego, którego wepchnęłaś. - Mówił bez uśmiechu i Prudence złękła się nie na żarty.

Spodziewała się wybuchu gniewu, lecz jeszcze bardziej przerażała ją ta powstrzymywana wściekłość. Sebastian miał kamienny wyraz twarzy.

- Splunął na mnie sokiem z tytoniu - próbowała się bronić.

- Nic.

Dziewczyna pochyliła głowę.

- Rozumiem, że chce mnie pan ukarać - szepnęła. - Uważam jednak, iż mam prawo wiedzieć. Tu chodzi o moje... nie wolno panu ukrywać... okłamywać mnie...

- Nie okłamuję cię. - Jego głos nieco złagodniał. - Niczego się od niego nie dowiedziałem. A tobie nie udało się wejść do środka?

- Nie! Stróż zagroził nam wypuszczeniem psów. A potem ktoś strzelił i musieliśmy uciekać. To dziwny dom...

- Słyszałem ten strzał. Mój Boże! Mogli cię zabić...

- Dlaczego pan tak się tym przejmuje? Przecież jeszcze przed chwilą marzył pan o tym, by skrócić mi kark...

- Wciąż jeszcze walczę z tą pokusą, Prudence. Może nie skreć ci karku, ale porządne lanie bardzo by ci pomogło. Nie wierzę, że nie mogłaś mnie zawołać. Dlaczego tego nie zrobiłaś?

- Nie pozwoliłby nam pan jechać do Dover.

- Z całą pewnością! Rozumiem, że pragniesz odbyć morską podróż, ale mogłabyś wybrać do tego celu inny środek transportu, a nie okręt wojenny.

- Niech pan ze mnie nie drwi, wystarczająco dużo wycierpiałam.

- Stanowczo zbyt mało, moja droga! Jeszcze się nacierpisz, zanim skończę z tobą. Solennie ci to obiecuję!

W odpowiedzi Prudence tylko mknęła jak wściekła kotka.

Dopłynęli do doku i Sebastian podał jej rękę, by pomóc jej przy wysiadaniu.

- Gdzie mnie pan zabiera? Nie chcę wracać do Hallwood.

- Na razie się tam nie wybieramy - powiedział pojednawczym tonem. - Przypuszczam, że chętnie się przebierzesz, no i czeka na nas Dan.

Prudence ujrzała małą figurkę wybiegającą z powozu. Po sekundzie Dan był już w jej ramionach i z twarzą zalaną łzami, mówił:

- Bałem się, że już nigdy cię nie zobaczę. Prudy, myślałem, że pojechałaś beze mnie!

- Prudence nigdzie nie jedzie, podobnie jak i ty, mój chłopcze - powiedział Sebastian serdecznie. - Usiądziesz na kozle obok Sama?

Umieściwszy Dana na jego ulubionym miejscu, Sebastian pomógł Prudence wsiąść do powozu.

- Dlaczego pan tak powiedział? - zaatakowała go natychmiast. - Mówiłam, że nie wrócę do Hallwood.

- Nawet w roli mojej żony? - Chciał wziąć ją za rękę, lecz mu na to nie pozwoliła.

- To żart w najgorszym stylu! - zawołała. - Nie sądziłam, że stać pana na takie okrucieństwo.

- Ja nie żartuję, kochanie. To poważne oświadczenia. Zakryła sobie uszy.

- Nie chcę więcej o tym słyszeć! Zapowiedział pan, że będę cierpieć, i muszę przyznać, że jest pan nadzwyczaj słowny.

- Najdroższa, czy byłoby to takie straszne? Nie mogę ryzykować, że znowu cię utracę... i wiem, że nie jestem ci obojętny.

- Nienawidzę pana! Jeśli powie pan jeszcze jedno słowo, wyskoczę z powozu.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Sebastian nie odezwał się już do niej słowem, dopóki nie dotarli do zajazdu. Wtedy podał jej płaszcz.

- Lepiej będzie, jeśli go włożysz.

Prudence miała ochotę odmówić, lecz byłoby głupotą wchodzić do eleganckiego zajazdu w brudnym stroju.

- Boi się pan, że przyniosę panu wstyd? - burknęła.

Z głową dumnie uniesioną weszła do środka, nie patrząc nawet na gnącego się w ukłonach właściciela. Jego uprzejmość była przeznaczona nie dla niej, lecz dla tego wstrętnego człowieka, który jej towarzyszył. Jak to się stało, że nagle znalazły się pokoje, podczas gdy jeszcze wczoraj nie było żadnego wolnego?

Aż drżała ze złości, kiedy wprowadzono ją do pięknego apartamentu. Z trzaskiem zamknęła za sobą drzwi.

Na łóżku leżał jej skórzany sakwojaż, lecz szybko stwierdziła, że schowane w niej gwinee zniknęły. To typowe dla niego, pomyślała z goryczą. Lord Wentworth wolał być pewny, że dziewczyna, pozbawiona funduszy, tym razem nie ucieknie. Pieniądze te jednakże należały do niej i zmusi go, by je oddał.

Nie chciała go widzieć już nigdy więcej. Był bez serca. Wiele wycierpiała w swoim życiu, lecz nigdy nie czuła się tak boleśnie zraniona. Odgadł, że ona go kocha. Tamtego rana poddała się jego pocałunkom i pieszczotom, a teraz wykorzystuje przeciw niej jej najgłębsze uczucia. Jego fałszywe oświadczenia były brutalną, wręcz prostacką drwiną. Nigdy mu tego nie wybaczy. Nigdy!

Kipiąc z gniewu, wysypała zawartość sakwojaża na łóżko. Większość rzeczy była pomięta. Najlepiej wyglądała sukienka z zielonej wełny, natomiast bielizna była sucha i świeża.

Prudence rozebrała się do naga i w perfumowanej wodzie, którą przygotowano w misce stojącej na toalecie, zmyła z siebie ślady nocy spędzonej w ładowni. Krótkie włosy szybko wyschły, ale nie zamierzała się spieszyć. Tym razem każe lordowi trochę na siebie poczekać.

Dan zapukał do drzwi.

- Pospiesz się, Prudy! - powiedział z niecierpliwością. - Śniadanie gotowe, a ja jestem głodny.

Wiedziała, że nie przełknie ani jednego kęsa. Miała już po uszy litości lorda Wentwortha, nie mogła jednak sprawić zawodu chłopcu. Bez słowa poszła za nim do prywatnego saloniku. Oboje z Danem od wczoraj nic nie jedli i żołądek Prudence głośno protestował.

Głód i boląca głowa nie poprawiały jej nastroju. Rana za uchem już nie krwawiła, ale guz był wielki. Nagle zrobiło się jej słabo.

Sebastian podtrzymał ją, żeby nie upadła.

- Usiądź i włoż głowę między kolana. - Wtedy dopiero dostrzegł okropną opuchliznę. - Dlaczego nie powiedziałaś, że jesteś ranna?

- Nie dał mi pan ku temu okazji - odparła opryskliwie.
- Danie, biegnij i poproś o ocet winny lub przypalone ptasie pióra.
- Nic mi nie będzie.
- Znowu się sprzeczasz, Prudence? Chyba będziesz się klócić nawet na łożu śmierci.

Wyprowadziłabyś z równowagi najcierpliwszego ze świętych. Danie, zrób, o co cię prosiłem.

Poczekaj chwilę, aż chłopiec zniknie za drzwiami, i objął Prudence.

- Wysłuchaj mnie - powiedział miękko. - Nie żartowałem. Chcę, żebyś została moją żoną. Spójrz, mam w kieszeni dokumenty...

Podniosła głowę i spojrzała na niego. Gdy napotkała jego wzrok, wszystkie wątpliwości nagle gdzieś się ulotniły. Poczowała wewnętrzny spokój.

- Dlaczego pan to robi? - zapytała. - Wydawało mi się, że kocha pan pannę de Verneuil.

- Gabrielle? Skąd ten pomysł?

- Widziałam... jak pan ją obejmował.

- Gabrielle jest w nie najlepszym stanie psychicznym - wyjaśnił Sebastian. - Jej najbliżsi są uwięzieni w Tuileries wraz królem i Marią Antoniną. Obiecałem, że zrobię co w mojej mocy...

Wierzyła mu tylko w połowie.

- Pojedzie pan do Francji? - zapytała.

- Pojechał tam jeden z moich znajomych. Lucien został już zwolniony.

- W jaki sposób?

- Dzięki pieniądзом, moja droga! - odrzekł wprost. - Niestety, żadne złoto nie ocali króla.

- To szlachetne z pana strony, sir. Cieszę się i za mademoiselle, i za tego człowieka, którego ona kocha.

- A co czujesz do tego, który kocha ciebie? - zapytał z ustami w jej włosach. - Powiedz, kochanie, że się nie mylę. Pokochałem cię już dawno, lecz nie przyznawałem się do tego sam przed sobą. Dopiero tego ranka, kiedy trzymałem cię w ramionach, nie miałem już wątpliwości co do moich uczuć, a kiedy i ty odpowiedziałaś na pocałunki...

Największym wysiłkiem woli Prudence zmusiła się do wyparcia się swej miłości.

- Pan się myli - szepnęła.

- Naprawdę? - Przytulił ją mocno do siebie i jego usta spoczęły na jej wargach. Świat zawirował wokół nich. Prudence miała wrażenie, że jej dusza ulatuje z piersi, ulegając nieubłaganej potędze miłości.

Po długim pocałunku Sebastian odsunął się trochę i popatrzył Prudence głęboko w oczy.

- Kłamczucha! - powiedział ciepło. - Czy nadal będziesz zaprzeczać?

Prudence, bardzo wzruszona, nie była w stanie nic powiedzieć, tylko bez słowa patrzyła na Sebastiana. Dostrzegł w jej oczach lęk.

- Co ci jest? - zapytał. - Chyba nie myślisz nadal, że Kocham Gabrielle?

Pokręciła przecząco głową.

- O co więc chodzi? Moja najdroższa, obiecuję, że uczynię cię szczęśliwą.

- To niemożliwe! - Odzyskała w końcu głos.

- Dlaczego? Kocham cię niezmiernie i wiem, że ty również mnie kochasz.

- Pan chyba zapomniał, sir - mówiła z bólem - że jestem bękartem. Jak mógłby pan mnie poślubić?

- Najdroższa, nie dbam o to. Nic nie może stanąć nam na drodze do szczęścia...

- Proszę przestać! - zawołała. - Nie przemyślał pan tego do końca. Dziś uważa pan, że to nie ma znaczenia, ale tak nie jest. Co powie na to pana rodzina, przyjaciele i znajomi?

- No tak, kochana rodzina! Zawsze ma na uwadze moje dobro. Powiedziałem im, co myślę o ich wtrącaniu się w moje sprawy. To się już nigdy nie powtórzy.

- Nie ma pan racji, oskarżając ich z mojego powodu. Brat pana dał mi pieniądze z czystej życzliwości. Nie przypuszczał, że wykorzystam je na ucieczkę.

- A Sophie?

- Sophie miała na względzie moje dobro. Kiedy przekonała się, że nic mnie nie powstrzyma przed ucieczką, postanowiła mi pomóc.

- I nic dobrego z tego nie wyszło. Gdyby Sam nie przypomniał sobie pewnych wzmianek, jakie usłyszał, gawędząc z Danem, byłabyś nadal na statku. Tylko dzięki szczęśliwemu przypadkowi spotkaliśmy chłopca na drodze do Dover.

Prudence wstała i odeszła kilka kroków.

- To w niczym nie zmienia mojego zdania - powiedziała ze spokojem. - Nie mogę się zgodzić. Odjedziemy z Danem jeszcze dziś, pod warunkiem że odda mi pan moją sakiewkę ze złotem.

- Czy możesz mi dać jeszcze jeden dzień? - poprosił. - To bardzo ważne! Jeśli nie zmienisz zdania do dzisiejszego wieczora, osobiście załatwię wam miejsce na statku. Daję ci na to moje słowo.

Patrzyła na niego niepewnym wzrokiem, lecz wyraz jego oczu zniweczył wszelki jej opór. Odwróciła się, gdyż w tym momencie wszedł Dan.

- Nie jesz śniadania, Prudy? - zapytał wesoło. - Nie jesteś głodna?

Pozwoliła mu, aby zjadł część jej porcji. Sama przełknęła zaledwie kilka kęsów.

- Sam mówił, że wyjeżdżamy o dziesiątej - odezwał się znowu Dan. - Czy wracamy do Hallwood?

- Jeszcze nie. Pojedziemy dość daleko, ale pewnie nie masz nic przeciwko takiej przejażdżce, prawda?

- Oczywiście, że nie! - Chłopiec nie zdawał sobie sprawy z panującego w pokoju napięcia. - Lubię jechać na koźle obok Sama.

Kiedy zostawili już za sobą Dover, Prudence ośmieliła się zapytać:

- Gdzie właściwie jedziemy? Czy nie obiecał pan, że zarezerwuje dla nas miejsca na statku?

- Tak, ale pod warunkiem, że dziś wieczorem nie zmienisz zdania. - Sebastian zamilkł i Prudence o nic więcej już nie pytała.

Nic, co powie lub zrobi, nie skłoni jej do zmiany decyzji, ale na jeden dzień mogła mu ustąpić. I to nie tylko dlatego, że ją o to prosił. Czuła się za słaba, żeby odmówić sobie spędzenia z nim jeszcze kilku godzin.

Powóz toczył się wśród jesiennych pól i lasów, a oni jechali w całkowitym milczeniu. Z drzew zaczynały już opadać pierwsze liście, niebo zaciągnęło się ciemnymi chmurami, które nadawały mu groźny wygląd. Pomyślała ze smutkiem, że pasuje ono do jej ponurego nastroju. Lato dobiegało końca... a wraz z nim kończyło się to wszystko, co rozświetliło i napełniło sensem jej życie. Od tej chwili będzie musiała kroczyć samotnie trudną drogą.

Oczy piekły ją od powstrzymywanych łez. Mogliby być tacy szczęśliwi. Doznała gorzkiej pociechy, gdy odkryła, że Sebastian pokochał ją tak głęboko, że gotów był zlekceważyć obowiązki wobec własnej rodziny i siebie samego.

Nie mogła dopuścić, by tak bardzo się dla niej poświęcił. Z czasem znienawidziłby ją. Sebastian nadal pozostałby w swoim środowisku, lecz ona stałaby się czarną owcą, a od ich dzieci wszyscy by stronili.

Przez jakiś czas patrzyła nie widzącymi oczyma za okno, lecz w pewnej chwili zwróciła baczną uwagę na pejzaż, gdyż wydał się jej znajomy. Upewniła się, kiedy dojechali do skrzyżowania.

- Czy to nie jest droga do Longridge? - spytała. Sebastian potwierdził skinieniem głowy.

- Dlaczego tam jedziemy? To bezcelowe. Jeśli lord Manvell nie chciał mówić z panem, to tym bardziej nie zgodzi się na rozmowę ze mną. Wątpię, czy w ogóle otworzą nam bramę...

Pomyliła się jednak, brama bowiem już była otwarta. Psy milczały, a stróż gdzieś zniknął.

Sam prowadził zaprzęg przez krętą aleję obsadzoną starymi dębami, aż podjechali pod sam dom. Gdy zatrzymał się przed krytym gankiem, Sebastian wyskoczył i powiedział do Dana:

- Zostań z Samem. To nie potrwa długo. - Po czym zwrócił się do Prudence: - Chodź, czekają na nas.

Drżąc na całym ciele, poszła za nim. Kiedy szli przez pusty hol, poczuła ściskanie w żołądku. Wszędzie panowała grobowa cisza. Nikt ze służby nie wyszedł ich powitać. Nagle rozległ się skrzyp otwieranych drzwi.

- Czy mam przyjemność z lordem Wentworthem? - Pytanie zadane zostało przez osobę o niskim i melodyjnym głosie.

Sebastian odwrócił się w tamtą stronę i uklonił.

- Bardzo mi miło poznać panią, lady Woodforde. Przedstawiam pani pannę Consett.

Kiedy Prudence grzecznie przed nią dygnęła, Sebastian zsunął szybkim ruchem kaptur osłaniający jej twarz oraz włosy - i wówczas rozległ się cichy okrzyk.

- Frances?

- Nie, lady Woodforde, mam na imię Prudence - odpowiedziała i zaskoczona zachowaniem gospodyni, zrobiła kilka kroków, żeby zaoferować jej swoją pomoc, bowiem lady najwyraźniej poczuła się źle i była bliska omdlenia. - Może pani usiądzie, madame? Czy mamy zadzwonić po pani służącą? - Prudence przestraszyła się nie na żarty, widząc bladość na twarzy tej kobiety.

- Nie trzeba! Zaraz dojdę do siebie! - odpowiedziała lady Woodforde ledwie słyszalnym szeptem. - Czy mógłby mi pan pomóc? Muszę usiąść... - Wskazała ręką na otwarte drzwi.

Sebastian podał jej ramię.

- Proszę mi wybaczyć, madame. Zamierzałem panią uprzedzić. Poinformowano mnie w pani domu, że wyjechała pani do Longridge, ale wczoraj z kolei dowiedziałem się, że już pani stąd miała wyjechać.

- To prawda. Zatrzymały mnie tylko pewne sprawy w Dover. - Lady Woodforde nie patrzyła na niego. Oczy jej utkwione były w Prudence. - Pozwól mi się sobie przyjrzeć - szepnęła. - Bądź tak dobra i podejdź do światła.

Opadła na sofę stojącą przy oknie i posadziła dziewczynę obok siebie. Potem obejrzała badawczo jej kształtną twarz z rysami wyrazistymi jak u młodego chłopca.

- Jesteś tak do niej podobna... nie ma mowy o żadnej pomyłce... jakby po latach wróciła do nas twoja matka...

- Po policzkach lady płynęły łzy.

- Lady Woodforde, jest pani absolutnie pewna? Nie chciałbym przyczynić Prudence nowych cierpień - zapytał Sebastian, który stanął przy nich.

- Zaraz wam coś pokażę... Zawsze noszę przy sobie tę miniaturę. - Sięgnęła do torebki i podała mu medalion.

Sebastian z wielką powagą przekazał go Prudence. Z portretu patrzyła na nią kobieta z jej twarzą.

- Czy to moja matka? - zapytała rozgorączkowana. - Gdzie ona teraz jest? Tak bardzo chciałabym ją zobaczyć...

Głucha cisza, jaka zapadła po jej pytaniu, przeraziła Prudence.

- Tylko proszę nie mówić, że umarła! - zawołała z rozpaczą.

Lady Woodforde wzięła ją za rękę.

- Zmarła zaraz po twoim urodzeniu.

- I dlatego mnie porzucono? Czy pani nie mogła mnie zatrzymać? Co się stało z moim ojcem?

- Twój ojciec został zabity kilka miesięcy wcześniej, Prudence. Woliałabym ci zaoszczędzić szczegółów.

- Ale ja chcę usłyszeć wszystko. Całe życie czekałam, żeby poznać prawdę!

- Pragniesz więc, moje dziecko, żebym opowiedziała ci o tragedii mojej siostry? - Na twarzy lady Woodforde malowała się prawdziwa męka.

- Sądzę, że nie ma pani innego wyjścia, madame. Prudence także wiele wycierpiała. Nie może pani odprawić jej bez wyjaśnień. - Sebastian mówił uprzejmie, ale stanowczo.

- Ja miałabym ją odprawić? Nigdy! Pan sobie nawet nie wyobraża, co to dla mnie znaczy, że ona się odnalazła.

- Wobec tego, madame, proszę wyjawić prawdę... jest to pani winna Prudence.

- Madame, proszę nie obawiać się, że może pani mnie zranić - powiedziała dziewczyna, powodowana nagłym odruchem współczucia dla tej kobiety, która bez wątpienia przeżyła wstrząs. - Czy pani nie rozumie, że wolę poznać najgorszą prawdę, niż nie dowiedzieć się nigdy, kim byli moi rodzice? - Ujęła zimną dłoń lady Woodforde.

- Jeśli takie jest twoje życzenie, nie będę nic przed tobą ukrywać. Proszę, żeby i pan usiadł, sir. To zajmie nam trochę czasu... Zadzwoń jednak najpierw, żeby przyniesiono nam wino.

Prudence już miała zamiar odmówić, lecz Sebastian powstrzymał ją wzrokiem. Lady Woodforde musiała się czegoś napić, aby dojść do siebie. Kiedy polecenie gospodyni zostało spełnione, Wentworth nalał jej wina do kieliszka. Wypiła dwa łyki i wtedy bladość ustąpiła z jej policzków.

- W chwili twoich narodzin, Prudence, twoja matka miała dziewiętnaście lat. Dwa lata przedtem poznała człowieka, którego pokochała, ale nasz ojciec nie chciał nawet słyszeć o ich małżeństwie.

- Dlaczego?

- Przyrzekł ją wcześniej sąsiadowi, mężczyźnie starszemu nawet niż on sam. Twój ojciec był bardzo młody i załatwił sprawę na swój sposób, choć pochodził z dobrej rodziny. - Spojrzała na Prudence w zadumie. - Wydaje mi się, że masz temperament matki. Miała silny charakter i była odważna. Kiedy John Herries poprosił, żeby z nim uciekła, nie wahała się ani chwili. Ja miałam wówczas piętnaście lat i widziałam w tym romantyczną przygodę. Gdybym wtedy potrafiła przewidzieć... - Urwała, niezdolna mówić dalej.

- Proszę się uspokoić - powiedziała Prudence. - Czy chce pani odpocząć? Nie spieszy nam się...

- Nic mi nie jest, zaraz wrócę do mojej opowieści. - Lady Woodforde ponownie podniosła do ust kielich. - Mój ojciec ruszył za nimi w pogoń. Odnalazł ich po trzech dniach. Zdążyli się już pobrać, ale to niczego nie zmieniło...

- Wzięli ślub? - Prudence z trudem panowała nad sobą. - Myślałam, że byłam bę... to znaczy dzieckiem miłości?

- Bo rzeczywiście byłaś dzieckiem poczętym z miłości, moja droga. Nigdy nie widziałam dwojga ludzi tak w sobie zakochanych. A przecież spędzili razem tak mało czasu... - W jej oczach zabłyśły łzy.

- Powiedziała pani, że lord Manvell przybył za późno, bo oni byli już mężem i żoną. Ojciec musiał mu o tym powiedzieć.

Lady Woodforde ukryła twarz w dłoniach. Ciałem jej wstrząsał szloch.

- Nie dano Johnowi żadnej szansy. Mój ojciec postrzelił go bezlitośnie i John zmarł jeszcze tego samego dnia.

Prudence bezwiednie poszukała oparcia u Sebastiana, który przytrzymał ją za rękę.

- Twierdzi pani, że lord Manvell go zamordował? - wyszeptwała.

- Oczywiście zostało to zatuszowane i powiedziano, iż był to wypadek. Mówiono, że doszło do pojedynku, lecz wiem od Frances, że twój ojciec nie miał przy sobie broni. Moją siostrę przywieziono na powrót do domu i zamknięto w jej pokoju na górze.

Lady Woodforde drżała, przywołując te straszne wspomnienia, lecz po chwili przemogła się i mówiła dalej:

- Nie od razu zorientowaliśmy się, że Frances była w ciąży. Przy ówczesnej modzie łatwo było to ukryć, a ona bardzo bała się o swoje dziecko. W końcu jednak ojciec się dowiedział i wszystko zaplanował. Zabrał cię, gdy tylko się urodziłaś, a Frances powiedział, że umarłaś przy porodzie.

Prudence nie była już w stanie panować nad wstrząsającymi nią dreszczami i Sebastian, usiadłszy obok, objął ją ramieniem. Kiedy zaś odzyskała zdolność mówienia, potrząsnął głową ze słowami:

- Nie przerywaj. Pewnie opowiada o tym pierwszy raz i to jej dobrze zrobi.

Wydawało się, że lady Woodforde zapomniała o ich obecności. Mówiła głośno, lecz właściwie do siebie:

- Najdroższa moja Frances! Dla niej oznaczało to koniec wszystkiego. Usłyszała płacz swego dziecka i nie uwierzyła ojcu. Pomyślała, że zabrał cię, by zabić, tak jak zabił twój ojca. W kilka dni potem siostra umarła. Nie miała gorączki popołogowej, po prostu straciła ochotę do życia.

Prudence, załamana, nie odzywała się, lecz w głębi duszy wiedziała, co musi zrobić.

- Chcę go zobaczyć - powiedziała w końcu.

- Mojego ojca? Prudence, proszę cię... nie...

- Wiem, że on jeszcze żyje. Sebastian mi to powiedział, a ja przyrzekłam sobie, że muszę się z nim spotkać. Czy boi się pani, że zemści się na pani za to, że opowiedziała mi pani to wszystko? Proszę się nie denerwować, nic pani nie grozi.

- Nie w tym rzecz! Nie jest w stanie mnie teraz skrzywdzić, ale błagam cię, zastanów się jeszcze.

- Kochanie, to nikomu nie przyniesie nic dobrego. - Sebastian oparł dłoń na ramieniu Prudence.

- Twierdzisz, że mnie kochasz. - Prudence mówiła głośno i stanowczo. - Czy tak mało mnie znasz? Ja to muszę zrobić. - Wyraz gniewu w jej oczach jasno dowodził, że nie zmieni postanowienia. - Musi stać się sprawiedliwość! Niech się dowie, jak skrzywdził mnie i tych, którzy mieli prawo do mojej miłości.

- Chodź więc ze mną! - Lady Woodforde wstała i poprowadziła ich przez mroczny hol, a potem krętymi schodami na górę. Przeszli kilka metrów korytarzem na pierwszym piętrze, aż znaleźli się przed ciężkimi dębowymi drzwiami. Wówczas wyjętym z kieszeni grubym kluczem otworzyła zamek.

- Wejź! - powiedziała już całkiem opanowana. Sebastian chciał towarzyszyć Prudence, ale lady Woodforde powstrzymała go.

- Myślę, że powinna wejść tam sama. Nic jej nie grozi. Ojciec dziś zachowuje się spokojnie.

Prudence nie usłyszała tych słów. Przekroczyła próg i weszła do tonącego w mroku ogromnego pokoju sypialnego. Szybko rozejrzała się wokół i zauważyła puste łóżko. W pierwszej chwili pomyślała, że ją oszukano, bo nikogo nie dostrzegła.

Podeszła do okien, by odsłonić ciężkie kotary, i wtedy usłyszała krzyk:

- Nie! Nie chcę światła!

Odwrociła się gwałtownie i stanęła jak sparaliżowana. Ujrzała w odległym kącie sypialni skulonego w fotelu mężczyznę, owiniętego w grube pledy.

Kiedy zrobiła kilka kroków w jego kierunku, zamachał rękami, jakby odganiał od siebie jakąś straszliwą zjawę.

- W końcu przyszedłeś? - wychrypiał. - Spodziewałem się ciebie od wielu lat. Nie czułeś się dobrze w grobie, prawda, Frances? Dlaczego czekałaś z tym tak długo?

Prudence nie zauważyła jeszcze jednej osoby w pokoju, dopóki ów mężczyzna nie podszedł do niej.

- On majaczy. Niech się pani nie przejmuje jego słowami. Jemu wydaje się, że widzi duchy...

Odwrocił się, gdyż dwie szponiaste dłonie sięgnęły mu do gardła.

- Nic z tego, milordzie. Mam oczy z tyłu głowy i nie uda się panu mnie zaskoczyć.

Prudence cofnęła się. Gwałtowność tego ataku przeraziła ją. Wydawało się jej, że ten starzec nie jest zdolny zrobić najmniejszego ruchu. Teraz belkotał coś niewyraźnie, pchnięty z powrotem na fotel.

Ponieważ zrzucił na podłogę okrywające go pledy, dostrzegła, że w tym skurczonym ciele pozostało jeszcze dużo siły, lecz przede wszystkim zwracały uwagę oczy. Był w nich strach.

- Gdy jest sam, zachowuje się lepiej. Boi się wszystkich. - Powiedziawszy to, pielęgniarz poprawił pledy i okrył nimi chorego, zostawiając na wierzchu tylko jego rękę.

Prudence nie mogła oderwać od nich oczu. W wydatnych niebieskich żyłach widać było pulsującą krew, a skórę pokrywały ciemne plamki, charakterystyczne dla ludzi w starszym wieku. Ręce te dawno temu odebrały życie jej ojcu i w konsekwencji zabiły także jej matkę, ją samą zaś skazały na straszliwą poniewierkę.

Prudence jednak przeżyła. Nagle opadł z niej cały gniew. Ten nikczemny starzec zapłacił już za swoją podłość i jeszcze będzie płacił. Nie mogła mu życzyć gorszego losu od tego, który był teraz jego udziałem. Żył bowiem w na pół realnym świecie grozy i strachu. Prudence odwróciła się.

- Chodźmy już stąd - poprosiła Sebastiana, gdy drzwi pokoju zamknęły się za nią.

Lady Woodforde objęła ją w pasie i razem zeszli schodami w dół.

- To nie był widok dla twoich oczu, kochanie. Próbowałam cię ostrzec...

- Tak, ale mimo to jestem zadowolona, że tu przyszedłam. - Prudence wciąż jeszcze była pod wrażeniem tego, co zobaczyła, lecz obecnie kierowała swoje myśli ku ciotce. Przecież to jej ciotka! Uściskała ją w serdecznym odruchu.

- Cierpiałaś dziś przeze mnie - powiedziała do niej ze smutkiem. - Przepraszam cię za to.

- Moja droga, sprawiłaś mi przede wszystkim ogromną radość. Odnaleźć siostrzenicę... córkę mojej najdroższej siostry... Nie potrafię ci wyjaśnić, ile to dla mnie znaczy.

- Madame, czy zechce pani zamieszkać z nami po naszym ślubie? - powiedział Sebastian, nie patrząc na Prudence.

- Macie zamiar się pobrać? Tak mi się też wydawało. Życzę wam, moi drodzy, dużo szczęścia. Będę czekała na zaproszenie na twój ślub - dokończyła, obejmując czule Prudence.

Odprowadziła ich do powozu i z uśmiechem na twarzy pomachała ręką na pożegnanie.

- Prudence, dlaczego nic nie mówisz? - zapytał Sebastian, trzymając ją za rękę. - Żadnych sprzeciwów?

- A czemu miałabym się sprzeciwiać, sir? - Odwróciła od niego wzrok.

- Spodziewałem się, że znajdziesz jakiś powód... choćby wybór kościoła czy trasy naszej podróży poślubnej...

- Jeszcze nie powiedziałam, że wyjdę za pana - odrzekła z przekorą.

- Chodź do mnie, ty okrutnico, niech ci natrę uszu. Objął ją i długo całował. Czar miłości sprawił, że świat przestał dla nich istnieć. Kiedy wreszcie ją puścił, nie mogła złapać tchu. Tymczasem Sebastian zaczął całować jej dłonie, a dotyk gorących warg wywoływał w niej dreszcze rozkoszy.

Westchnąwszy ze szczęścia, oparła głowę na jego ramieniu.

- Nie śmiałam myśleć, że zwróci pan na mnie uwagę - wyznała. - W każdym razie, nie w ten sposób...

- Co ty mówisz! Czy uważałaś mnie za ślepego? Było to absolutnie niemożliwe. Tym bardziej że zaraz na początku naszej znajomości usiłowałaś mnie zabić.

- Byłam wtedy w przebraniu chłopca - przypomniała wesoło.

- Nie dałem się nabrać ani przez chwilę. Myślę, że pokochałem cię od pierwszego wejrzenia. Prudence, mam nadzieję, że nie zrobisz już tego więcej?

- Nie będę próbowała cię zabić, lordzie? Nie, chyba że pojawi się poważny powód... jak na przykład jakaś inna kobieta... - Uśmiechnęła się z ufnością, pewna jego miłości.

- Nie masz się czego obawiać. Pragnę tylko ciebie. Żadna inna kobieta na świecie nie ma twojej odwagi, energii, siły ducha.

- Wydawało mi się, że chciał pan natrzeć mi uszu - zażartowała.

- Zawsze zdążę to zrobić - odpowiedział z czułością.

- Wiesz dobrze, co mam na myśli. Już nigdy więcej nie wkładaj spodni.

- Dlaczego, przecież one są bardzo wygodne - zaprotestowała z figlarną miną.

- Za każdym razem, kiedy je nosiłaś, wpadałaś w nowe kłopoty. Od tej chwili w naszym domu kobietom nie będzie wolno nosić spodni. I jeszcze jedno, Prudence, nie zwracaj się do mnie per „panie” czy „sir”. Mam na imię Sebastian. Zrozumiałaś?

- Tak, Sebastianie. - Poglaskała go z miłością po policzku. - Bardzo cię kocham - szepnęła. - Uciekłam, bo nie mogłam znieść myśli, że będę tak blisko ciebie i zarazem tak daleko. Musiałam zaprzeć się samej siebie...

- Dobrze ukrywałaś swoje uczucia. Czasami traciłem nadzieję, że cię zdobędę. Jesteś najbardziej niezdolną i buntowniczą istotą na świecie.

- A mimo to mnie kochasz? - udała zdziwienie Prudence.

- Czy jeszcze w to wątpisz?

- Nie, nie wątpię - odparła powoli. - Poprosiłeś mnie, żebym została twoją żoną, zanim dowiedziałeś się, że pochodzę z...

- Z dobrej rodziny? - odpowiedział Sebastian.

- No właśnie.

- Zrozum, że nigdy nie uważałem cię za osobę niegodną szacunku, a zwłaszcza po tym, kiedy zamierzałaś wstąpić do marynarki wojennej. Jak na kobietę, to dość niezwykle. - Mówiąc to, patrzył na nią lekko kpiącym wzrokiem.

- Wcale nie miałam takiego zamiaru! - zawołała z oburzeniem. - Uderzono mnie w głowę...

- Prawda! Jak się ma twoja głowa? - Dotknął ręką sińca.

- Nic już nie czuję.

- To świetnie! - Znajomym gestem pogłaskał ją po włosach. - Nie mogę przywieźć cię do Hallwood z guzem na głowie. Moja matka pomyśli sobie, co tylko najgorsze. Kiedy wyjeżdżałem z domu, błagała mnie, żebym zbyt mocno cię nie bił.

- Pewnie byś to zrobił... o ile byś mnie odnalazł.

- Co do tego nie miałem najmniejszej wątpliwości i znalazłbym cię nawet bez pomocy Dana. Wystarczyło tylko popytać o jakieś niedawne zamieszanie w mieście. Kłopoty lgną do ciebie, moja najdroższa, jak pszczoły do miodu.

- Nie powinieneś ciągle ze mnie drwić - powiedziała z wymówką. - Zawsze kpisz z tego, co robię.

- Wolisz, żebym rozmawiał z tobą z ponurą miną? Kochanie moje, miałaś tak niewiele radości w życiu. Chcę, żebyś od tej pory zawsze się śmiała. Moim jedynym pragnieniem jest ochronić cię przed nieszczęściem. Uwierz mi!

- Wierzę! - powiedziała Prudence, patrząc na niego oczyma pełnymi miłości.

- No to mnie pocałuj, najmilsza. - Przycisnął usta do jej szyi, oczekując od niej potwierdzenia ogarniającej go namiętności.

Prudence odszukała wargami jego usta i szepnęła:

- Kocham cię, Sebastianie.

A kiedy ich usta zetknęły się, cała jej ponura przeszłość odeszła w niepamięć. Teraz liczyła się już tylko przyszłość.